

# JOHN D. MACDONALD

TRAVIS MCGEE

PRZEBIEGŁA I RUDA

Od Johna D. MacDonalda uczyli się najwięksi!

## O książce

Czy Łysa Dean zasługuje na pomoc? Travis McGee nie jest co do tego przekonany. Ale kończą mu się pieniądze i nie może przebierać w zleceniach. A piękna gwiazda filmowa, która kiedyś poszła na całość i teraz jest z tego powodu szantażowana, proponuje niezłe honorarium. Trudno się dziwić: jeśli kompromitujące zdjęcia przedostaną się do prasy, będzie to oznaczało koniec jej hollywoodzkiej kariery i zaprzepaszczenie szansy na ślub z narzeczoną milionerem.

Przyjmując zlecenie, McGee nie wie, że będzie miał za anioła stróża atrakcyjną asystentkę, z którą przemierzy całą Amerykę – od Florydy po Nowy Jork, Las Vegas i Phoenix. I że sprawa jest poważniejsza, niż na początku założył. Że zginą ludzie.



# JOHN D. MACDONALD

TRAVIS MCGEE

## PRZEBIEGŁA I RUDA

Z angielskiego przełożyła  
ANNA ESDEN-TEMPSKA



WERSJA ELEKTRONICZNA

## JOHN D. MACDONALD (1916-1986)

Jeden z najwybitniejszych twórców amerykańskiego kryminału, z dorobkiem literackim obejmującym prawie 70 powieści oraz kilka zbiorów opowiadań. Zainspirował takich autorów, jak Stephen King, Dean Koontz i Lee Child. W 1980 r. otrzymał najbardziej prestiżową nagrodę literacką w USA – National BookAward.

Światową sławę przyniosła mu seria 21 powieści z prywatnym detektywem Travisem McGee, którego Lee Child uważa za pierwowzór Jacka Reachera.

Po twórczość MacDonalda niejednokrotnie sięgali filmowcy, na przykład powieść *The Executioners* została zekranizowana aż dwa razy jako *Przylądek strachu* – najpierw z Gregorym Peckiem i Robertem Mitchumem, a potem z Nickiem Nolte i Robertem de Niro.

Tytuł oryginału:  
THE QUICK RED FOX

Copyright © John D. MacDonald Publishing, Inc. 1964  
Copyright renewed 1992 by Maynard MacDonald  
Introduction copyright © Lee Child 2013  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Anna Esden-Tempska 2017

Redakcja: Agnieszka Łodzińska

Zdjęcie na okładce: Vero Photoart/Stock Snap

Projekt graficzny okładki: Katarzyna Meszka

ISBN 978-83-6578-117-8

*Wydawca*

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

(dawniej Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.)

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://Facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://Instagram.com/wydawnictwoalbatros)

*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie*

*w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Przygotowanie wydania elektronicznego: Magdalena Wojtas, [88em.eu](http://88em.eu)

# Spis treści

Wstęp. Lee Child

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

# Wstęp

## Lee Child

Literatura sensacyjna bazuje na zaskakujących, niespodziewanych zwrotach akcji. Z czymś takim mamy do czynienia i tutaj. John Dann MacDonald urodził się w 1916 roku w Sharon, w stanie Pensylwania. Dzieciństwo upływało mu spokojnie, w dostatku klasy średniej, który był dość powszechny w Stanach Zjednoczonych czterdzieści, pięćdziesiąt lat później, jednak na początku dwudziestego wieku stanowił jeszcze rzadkość. Sharon leży pod Pittsburghiem, dominował tam przemysł ciężki, a ojciec Johna był kulturalnym, prawym obywatelem zatrudnionym na dobrze płatnym kierowniczym stanowisku w księgowości u lokalnego producenta. John, nazywany w dzieciństwie Jackiem, mieszkał na przedmieściach Sharon w eleganckim domu stojącym przy wysadzonej drzewami ulicy. Nosił ubranko z marynarskim kołnierzem, czytał książki, bawił się z psem, przekomarzał z młodszą siostrą i kuzynką. Kiedy miał osiemnaście lat, ojciec zafundował mu wielką podróż po Europie i poradził w liście: „Korzystaj... jedz i sprawuj się dobrze... chodź na msze święte przynajmniej raz w niedzielę... i zapisuj wydatki, żeby przeciwiczyć to przed wyjazdem do college’u”.

Po bezpiecznym powrocie młody Jack kontynuował edukację w dwóch przyzwoitych placówkach na Wschodnim Wybrzeżu, ożenił się z koleżanką ze szkoły i wyjechał studiować na Harvardzie, gdzie zrobił dyplom, a w 1940 roku zgłosił się na ochotnika do wojska. Z wojny wrócił w stopniu podpułkownika po wzorowym odbyciu służby na tyłach jako poważny, sumienny oficer w okularach.

I co taki facet robi potem? Pracuje dla General Motors? IBM? Pentagonu?

Nic z tych rzeczy. John MacDonald został ubogim pisarzem literatury klasy B.



Podczas pierwszych czterech miesięcy po wojnie schudł dziesięć kilogramów, siedząc przy biurku i wystukując na maszynie osiemset tysięcy słów, których nikt nie chciał czytać. Wreszcie piątego miesiąca udało mu się sprzedać jedno opowiadanie za dwadzieścia pięć dolarów. Potem kolejne za czterdzieści i w końcu następne za ponad pięćset. Bywało, że jego utwory, podpisane różnymi pseudonimami, wypełniały całe magazyny. Kiedy w latach pięćdziesiątych wielką popularnością zaczęły cieszyć się tanie wydania literatury w miękkiej oprawie, dołączył do tego trendu pierwszą pełnowymiarową powieścią, po której wydał sześćdziesiąt sześć następnych, wśród nich sporo nowatorskich kryminałów oraz serię sensacyjną zaliczaną do najwspanialszych w tym gatunku.

Dlaczego? Czemu pochodzący z klasy średniej wykształcony człowiek z dyplomem Harvardu, dobrze ustosunkowany w sferach przedsiębiorców i ze świetnymi referencjami z wojska, odwrócił się plecami do wszystkiego, do czego był predestynowany, by siedzieć przy sfatygowanym stoliku i stukać w maszynę do pisania, w asyście zatroskanej żony? Tego nie wie nikt. On sam nigdy tego nie wyjaśnił.

My jednak możemy snuć domysły. Może nigdy nie marzyło mu się spokojne, wygodne mieszczańskie życie? Może po burzliwych doświadczeniach wojennych czuł, że jest w stanie zrzucić z siebie ciężar ojcowskich oczekiwań, którym wcześniej podporządkowywał się tak posłusznie? Kiedy ma się osiemnaście lat, trudno sprzeciwić się ojcu, który właśnie zapłacił nam za podróż do Europy. Jedenaście lat później, ze stopniem oficerskim, było już łatwiej.

I z tego, co napisał, wiemy, że miał światu coś do przekazania. Zaczynał od pisania czegokolwiek, byle tylko jego rodzina miała co jeść – tworzył opowiadania detektywistyczne, kowbojskie, przygodowe, na temat sportu, a nawet fantastycznonaukowe – ale wkrótce w dłuższych formach pisarskich zaczęły przewijać się pewne stałe tematy. W *Śmiertelnym blasku złota* z cyklu o detektywie Travisie McGee stwierdził: „Jedyną wartością na tym świecie jest ta dziwna, wzruszająca, beznadziejna, zdumiewająca szlachetność ludzkiej duszy”. A w *Where Is Janice Gantry?* (Gdzie jest Janice Gantry), thrillerze, który stanowi w jego twórczości wyjątek, napisał: „Nie wolno się poddawać, bo inaczej żądni szybkich zysków wyasfaltują całe wybrzeże, zajmą każdą zatokę i wymordują wszystkie żywe stworzenia niezdolne nosić portfeli”.

Te dwie kwestie pojawiają się stale w jego powieściach. Potrzeba – nawet jeśli przyjmowana z oporami czy utyskiwaniem – by stawać i opowiadać się po stronie słabych, bezbronnych, pokrzywdzonych, zarówno ludzi, jak zwierząt oraz tego, co obecnie nazywamy środowiskiem naturalnym. MacDonald okazał się bardzo przewidujący, wcześniej wyczuł zagrożenia – jego *Janice Gantry*, na przykład, wyprzedziła o rok przełomową książkę prekursorki ruchów ekologicznych – Rachel Carson, *Silent Spring* (Milcząca wiosna).

Ale zbroja tego dobrego rycerza zawsze była przykurzona i pordzewiała. Walka nigdy nie jest łatwa i, jak wiadomo, nigdy nie kończy się stuprocentowym zwycięstwem. Trzeba ją jednak podjąć. Ta specyficzna mieszanka znużenia, szlachetności i cynizmu to coś najbardziej charakterystycznego dla MacDonalda. Skąd się to wzięło? Raczej nie z tej sielankowej dzielnicy, gdzie spędził w dostatku lata dorastania. Musiała wyrzucić na niego wpływ wojna, tak jak odmieniła całe pokolenie i świat.

Chyba najlepszą jego powieścią nienależącą do serii o detektywie Travisie McGee jest *The Executioners*, przeniesiona dwukrotnie na ekran jako *Przylądek strachu*. To wnikliwe studium psychologiczne podstawowego instynktu – lęku – błędów, jakie popełniamy, i atawistycznych zachowań. Opowiada o mężczyźnie – być może przypominającym ojca MacDonalda albo nawet jego samego – który opuszcza bezpieczną strefę egzystencji i wchodzi na tereny bardziej pierwotne. Te dwa przeciwstawne bieguny stanowią też temat niesamowicie ciekawej serii, której bohaterem jest Travis McGee, a która stała się swego rodzaju kanonem. Niewiele innych może równać się z nią pod względem poziomu i dojrzałości. McGee to człowiek zamknięty w sobie, w głębi ducha zdumiony i oburzony tym, co często uznaje się za postęp. Na co dzień zajmuje się bejcowaniem pokładu łodzi, na której mieszka, i polerowaniem jej mosiężnych elementów, zawsze jednak gotów jest przywdziać zbroję i ruszyć na odsiecz tym, którzy są w potrzebie i zasługują na jego pomoc. Także ten bohater nie może mieć korzeni w dostatniej młodości dyrektorskiego dziecka.

Skąd więc wziął się McGee i inni bohaterowie MacDonalda? Dlaczego Floryda? Skąd czarne wizje? Nigdy nie będziemy wiedzieć tego na pewno, ale może uda się nam wpaść na właściwy trop, kiedy przekopimy się przez miliony słów spisywanych w pośpiechu, z tak wielkim zapalem i pasją, pomiędzy 1945 a 1986 rokiem.

Lee Child  
Nowy Jork, 2012

# 1

Po południu gwałtowny wiatr z północnego wschodu przyniósł lutowy chłód i przegonił z plaży turystów. Musieli się przed nim schronić i okropnie narzekali. Przygnał szare fale z odległych rejonów Atlantyku i uderzał nimi o brzeg plaży po drugiej stronie szosy z Bahia Mar. Bębnił drobinami piasku o osłony przy drodze, wdzierał się w labirynt przystani, między cumujące łodzie. Łopotał proporczykami. Ze świstem przedzierał się przez takielunek i konstrukcje wieżyczek. To sobotnie popołudnie w Fort Lauderdale turyści musieli spisać na straty. Lepiej było wracać do Scranton.

Zaszyłem się w przytulnej mesie *Busted Flush*, jachtu, na którym mieszkam, zacumowanego przy kei F-18. Rozkręciłem na maksa ogrzewanie i ubrany w znoszone wełniane portki i starą flanelową koszulę, która po wielu pięknych latach spłowiała na jasny błękit, wyciągnąłem się na dużej żółtej kanapie.

Kilka dni wcześniej wyrzuciłem stare głośniki i wymieniłem je na kolumny AR 3, które zamontowałem na przeciwległej ścianie. Tuner Scott nastawiłem na odbiór stacji WAEZ z Miami. Wzmacniacz Fishera ładnie współpracował z nowymi głośnikami. Nadawali nagranie Columbie, *Piątą Szostakowicza*. Dyrygował Bernstein. Kawał świetnej heroicznej muzyki. Miałem dość dobrą antenę, by to w pełni docenić. Można było zamknąć oczy i dać się ponieść.

Po drugiej stronie mesy pochylała się nad blokiem do rysowania Skeeter w szarym, zbyt obszernym na nią sztruksowym kombinezonie. Wszystkie jej ubrania zawsze wydawały się na nią za duże. Sądzę, że skończyła trzydziestkę, ale wciąż wygląda na nie więcej niż osiemnaście lat. Ma wiecznie potargane blond włosy, buzię szmacianej lalczki i smukłe, pełne wdzięku ciało nastolatki. Nie jest zbyt zorganizowana, ale całkiem nieźle sobie radzi jako ilustratorka książek dla dzieci występująca pod pseudonimem Annamara. Mój przyjaciel Meyer wypatrzył ją na plaży jakiś rok temu. Ten zarośnięty, paskudnie

uroczy typek podczas spacerów brzegiem potrafi zbierać oryginalne osoby, tak jak inni rzadkie okazy muszli.

Skupiona Skeeter wysunęła w kąciku ust czubek języka i ze skupieniem rysowała swawolną mysz polną o imieniu Quimby. Pracowała u mnie na łodzi, bo w jej mieszkaniu trzy przecznice dalej tak śmierdziało po remoncie farbą, że nie dało się wytrzymać, a musiała dotrzymać terminu. Jakiś czas temu, kiedy nie mogłem się pozbierać po utracie kogoś bardzo mi bliskiego, zniosło nas ku sobie i mieliśmy krótki romans. Ale przekonaliśmy się, że nie jesteśmy w stanie tworzyć udanego związku. Najwyraźniej wyzwaliśmy w sobie nawzajem to, co w nas najgorsze. Starcia stawały się coraz bardziej bolesne i choć czuliśmy, że nie wolno nam tego dać po sobie poznać, oboje z ulgą przyjęliśmy decyzję o rozstaniu. Na szczęście udało się nam przejść na swobodne niezobowiązujące relacje. Od tej pory łączyła nas czuła przyjaźń.

W momentach, kiedy muzyka stawała się szczególnie patetyczna, Skeeter wymachiwała ołówkiem, jakby chciała pomóc Bernsteinowi w dyrygowaniu, a potem wracała do mysiego portretu. Niespodziewanie ujawniła właśnie wielki talent do przyrządzania grogu po marynarsku. Byłem lekko i przyjemnie zrelaksowany napitkiem, który mi podała. Sobie naląła słabszą wersję. Musiała zająć się Quimbym na trzeźwo.

Wśród potężnych dźwięków muzyki nieśmiało odezwał się dzwonek, który zamontowałem razem z łańcuchem na słupku przy moim stanowisku na przystani, przed wejściem na krótki trap...

Podniosłem się i wyrzałem. Zobaczyłem wysoką dziewczynę w oficjalnym czarnym kostiumie z wyglądającą jak aktówka torebką. Stała wyprostowana, jakby w ogóle nie wiało, jakby chodziła po okolicy, żeby zapisywać kandydatów na studia biznesu i trafiła tu przypadkiem. Kiedy tak się jej ukradkiem przyglądałem, jeszcze raz nacisnęła dzwonek. Widać było, że nie odpuści.

Wyszedłem na tylny pokład i ruszyłem w jej stronę po szerokim, krótkim trapie. Przyjrzała mi się, ale nie umiałbym powiedzieć, jak wypadłem. Różnie bywa. Jestem bardzo wysoki. Życie mnie nie rozpieszczęło. Wyglądam na lenia i nie bez powodu. Jak ujęła to raz pewna dziewczyna z Teksasu, robię takie wrażenie, jakbym się wiecznie obijał.

Ta kobieta miała czarne, krótkie włosy. Nawet większość muzyków płci męskiej nosi dłuższe. Spod ciemnych, grubych brwi patrzyły na



mnie uważnie ciemne oczy. Podłużna twarz z wydatnymi kośćmi policzkowymi byłaby surowa, gdyby nie perkaty nos i pełne, ładnie zarysowane usta. Robiła wrażenie modnej, kompetentnej i pozbawionej poczucia humoru.

– Czy pan Travis McGee? – spytała aksamitnym, głębokim kontraltem.

– We własnej osobie.

– Dana Holtzer. Nie mogłam się do pana dodzwonić.

– Telefon jest wyłączony, droga pani.

– Chciałabym porozmawiać z panem w sprawie poufnej.

Czasami tak to właśnie wygląda. Widać było po niej kasę. Żadnych zbędnych precjozów, tylko ciężko zarobione pieniądze. Musiała mieć niezłą posadę i nie wyglądała na osobę, która wpadła w tarapaty. Raczej była wysłannikiem takiego kogoś. Gdyby pojawiła się parę miesięcy temu, nie zawracałbym sobie w ogóle nią głowy. Ale teraz trzeba było uzupełnić środki. Wkrótce musiałbym zapolować na jakiś dochodowy problemik. Fajnie, jak coś samo się napatoczy i nie trzeba się trudzić szukaniem.

Ale ostrożności nigdy dosyć.

– Ma pani pewność, że jestem tym, o kogo pani chodzi?

– Wspominał o panu Walter Lowery z San Francisco.

– Co mówił? Jak się ma stary Walt?

– Dobrze, jak sędzę. – Zmarszczyła brwi. – Powiedział, że brakuje mu gry w szachy z panem.

Czyli w porządku. Nigdy w życiu nie graliśmy z Waltem w szachy. W każdym razie nie ze sobą. Ale było to hasło uwierzytelniające, kiedy kogoś mi podsyłał. Zdarzają się wścibscy, szukający guza, różni cwaniacy i zawodowi śledczy. Dobrze jest mieć sposób, aby od razu wykluczyć kontakty z kłopotliwymi osobnikami.

– Proszę wejść, schować się przed wiatrem – powiedziałem, zdejmując łańcuch i zapinając go z powrotem, kiedy prześlizgnęła się obok mnie. Miała smukłą talię, mocne kształtne biodra i poruszała się z gracją naturalną dla wielu kobiet o takiej budowie. Trzymała się prosto, postawa bez zarzutu.

Otworzyłem drzwi i skinąłem, by weszła w grzmiące dźwięki muzyki. Skeeter zerknęła na nią w roztargnieniu, uśmiechnęła się odruchowo i pracowała dalej. Nie wyłączyłem muzyki, tylko

przeprowadziłem pannę Holtzer przez mesę i kambuz do małej wnęki, która służyła za jadalnię. Zamknąłem za nami drzwi.

– Kawy? Czegoś mocniejszego?

– Nie, dziękuję – odparła, siadając.

Nalałem sobie kubek kawy i zająłem miejsce naprzeciw niej.

– Nie podejmuję się wszystkich spraw, z którymi ludzie do mnie przychodzą – zacząłem.

– Zdajemy sobie z tego sprawę, panie McGee...

– Wie pani, jak działałam.

– Tak sędzę. W każdym razie, wiem, co mówił o tym pan Lowery. Jeśli komuś coś zostanie skradzione, a nie można tego odzyskać na drodze prawnej, pan podejmuje się sprawy za połowę wartości owej rzeczy. Czy to się zgadza?

– Muszę wiedzieć, o co chodzi.

– Oczywiście. Ale wolałabym... aby to wyjaśnił panu kto inny.

– Zgoda. Niech go pani do mnie przyśle.

– To kobieta. Pracuję dla niej.

– Niech przyjdzie.

– To niemożliwe. Muszę zabrać pana do niej.

– Przykro mi. Jeśli jest w takich tarapatkach, że mnie potrzebuje, to chyba problem jest na tyle ważny, żeby się tu osobiście pofatygować.

– Ale pan nie rozumie. Naprawdę. Ona po prostu nie może tu przyjść. Porozmawiałaby z panem, gdyby udało mi się do pana dodzwonić. Pracuję dla... Lysy Dean.

Zrozumiałem, o co chodzi. Lysa Dean to zbyt rozpoznawalna twarz, nawet w najciemniejszych okularach przeciwsłonecznych. Nie chciałyby pojawiać się tu w tak poufnej misji z eskortą policji. A gdyby wybrała się tu sama, każdy dupek rozpoznałby ją nawet z odległości stu metrów. Zrobiliby się zbiegowisko, ciekawscy staraliby się podejść jak najbliżej, gapiliby się na nią z głupkowatymi uśmiechami, ślinili na widok gwiazdy. Dziesięć głośnych filmów, cztery nieudane małżeństwa, jeden marny serial telewizyjny i kilka słono opłaconych występów gościnnych w telewizji zrobiło z niej postać znaną w każdym domu. Jej pojawienie się wywołałoby taką samą sensację jak Liz Taylor, Kim Novak czy Doris Day. Publiczność to zwierzę, któremu nie można ufać.

– Nie umiem wyobrazić sobie Lysy Dean w sytuacji, w której byłbym jej potrzebny.

Miałem wrażenie, że w ponurej twarzy panny Skutecznej dostrzegłem coś w rodzaju niesmaku.

– Właśnie o tym chciałyby z panem pomówić.

– Zaraz, zaraz. Walter chyba kiedyś napisał dla niej scenariusz.

– Tak, i od tamtej pory się przyjaźnią.

– Sądzi pani, że jej problem pasuje do tego, jak działałam?

Zmarszczyła czoło.

– Tak myślę. Nie znam wszystkich szczegółów.

– Ale ona pani ufa?

– W większości spraw. Jednak, jak powiedziałam, w tym przypadku nie znam wszystkich szczegółów. To sprawa osobista. Po prostu... jest coś, co ona chce odzyskać. I to jest dla niej wiele warte.

– Nie mogę nic obiecać. Ale wysłucham jej. Kiedy?

– Natychmiast. Jeśli tylko pan może.

Symfonia dobiegła końca. Wstałem i poszedłem wyłączyć sprzęt. Kiedy wróciłem, pani Holtzer ostrzegła:

– Lepiej, żeby nie wspominał pan o tym nikomu. Nawet o kogo chodzi.

– Właśnie chciałem wyskoczyć na chwilę, podzielić się nowiną z kilkoma przyjaciółmi.

– Przepraszam. Przywykłam do tego, że muszę ją chronić. Od poniedziałku zaczyna się promocja *Wiatrów losu*, a światowa premiera ma się odbyć w przyszłą sobotę wieczorem w ośmiu kinach w Miami. Przyjechałyśmy wcześniej w nadziei, że uda się nam z panem spotkać. Zatrzymała się w domu przyjaciółki, a jutro wieczorem przeprowadza się do apartamentu z tarasem na najwyższym piętrze hotelu przy plaży. Od poniedziałku ma całkowicie wypełniony kalendarz.

– Od dawna pani dla niej pracuje?

– Dwa lata. Może trochę dłużej. Dlaczego pan pyta?

– Zastanawiałem się, jak się nazywa pani funkcja.

– Sekretarka osobista.

– Ciągnie ze sobą sporo świty?

– Niespecjalnie. W takiej podróży jak teraz jestem tylko ja, jej osobista służąca, fryzjer i człowiek z agencji. Naprawdę wolałabym, żeby pan zadawał pytania jej. Mógłby pan... przygotować się i pojedziemy do niej?

– Do Miami?

– Tak. Czeka na nas auto. Czy... mogłabym zatelefonować?

Zaprowadziłem ją do mojej kajuty. Telefon mam w skrytce u węzłowia. Znalazła numer w czarnym skórzanym notesie, który wyciągnęła ze swojej wielkiej torby. Połączyła się z centralą i zamówiła rozmowę płatną na kartę kredytową.

– Mary Christine? Proszę, powiedz jej, że nasz przyjaciel przyjedzie ze mną – powiedziała. – Nie, to wszystko. Niedługo. Dziękuję, kochanie.

Wstała i rozejrzała się po kajucie. Nie umiałbym powiedzieć, czy widok ogromnego łóżka ją zszokował, czy rozbawił. Kusilo mnie, żeby jej to wyjaśnić. Dziwne. Miałem ochotę się tłumaczyć, że mebel był w wyposażeniu, kiedy wygrałem ten jacht w długiej pokerowej potyczce w Palm Beach. Facet upierał się, żeby spróbować jeszcze raz, na koniec był gotów postawić swoją brazylijską kochankę, byle tylko odzyskać łódź. Musiałbym odmówić, ale jego przyjaciele oszczędzili mi tej przykrości i delikatnie odprowadzili go od stolika.

Panna Holtzer nie wyglądała na szczególnie surową. Tylko na taką, która łatwo szufladkuje ludzi.

Zdecydowała, że jeśli można, należy sobie trochę kawy, kiedy będę się przebierał. Założyłem rzadko używany krawat i dość porządny garnitur.

– Hej, wy, rzućcie okiem na tę paskudną mysz – poprosiła Skeeter, kiedy przechodziliśmy przez mesę.

Pokazała nam skończony właśnie rysunek.

– To chwila, kiedy Quimby odkrywa, że naprawdę jest myszą. Ten kot mu to właśnie powiedział. Quimby jest zdruzgotany. Myślał, że jest małym rasowym pieskiem. Ale zastanawiam się, czy nie wygląda bardziej na wystraszonego niż załamanego. Popatrzcie, czy to nie robi wrażenia, jakby on bał się kota?

– O, jaki śliczny rysunek! – zachwyciła się Dana Holtzer. – Co za potworność, odkryć, że cały czas było się tylko myszą.

– Quimby nie potrafi się z tym pogodzić – stwierdziła Skeeter.

Uśmiechnęły się do siebie miło.

– Dana Holtzer, Mary Keith, znana jako Skeeter. Musimy lecieć, Skeet, nie zapomnij pozamykać, gdybym nie wrócił, zanim wyjdiesz.

– Dobrze. Gryzie się tym, ile pracy włożył w to, żeby nauczyć się szczekać.

– Pałaszuj, co tylko chcesz, jak zgłodniejesz.

Ale ona już wróciła do pracy, skupiona i niepomna na wszystko. A my wyszliśmy na wiatr i skierowaliśmy się w stronę parkingu.

– Co za urocza, niesamowita dziewczyna. Ma wielki talent – oceniła panna Holtzer. – Pana sympatia?

– Właśnie pomalowali jej mieszkanie, więc zaproponowałem, żeby pracowała u mnie na łodzi. Terminy ją gonią.

Po kolejnych trzech krokach panna Holtzer szybko się ogarnęła i znów zamknęła w swojej skorupie idealnej sekretarki. Ale ja zapamiętałem, jak ożywiła się zachwycona rysunkiem myszy, jak w jednej chwili stała się młodsza i bardziej spontaniczna. To nie było jednak w jej stylu czy zwyczaju – tak się odkrywać. Wypełniała swoje zadanie, zdystansowana, czujna, skuteczna. Nie płacono jej za reagowanie na ludzi ani za okazywanie emocji, jeśli w ogóle jakieś były.

Czekała na nas błyszcząca czarna limuzyna, Chrysler. Obok stał mężczyzna w średnim wieku ubrany w szarą liberię ze srebrnymi guzikami. Sięgnął dłonią czapki i otworzył dla nas drzwi. Wyglądał jak senator w telewizji. I miał tę niezwykłą umiejętność, właściwą świetnym szoferom, płynnego lawirowania wielkim autem w ulicznym tłoku. Przy tym wszelkie wysiłki innych kierowców wydawały się chaotyczne i bezsensowne.

– To samochód panny Dean? – spytałem.

– O, nie. Należy do naszych gospodarzy.

– Kiedy przyjechałyście?

– Wczoraj.

– Incognito?

– Tak.

– Sprytnie.

– Wynajęty samolotem – dodała.

Pomiędzy nami a wygoloną szyją utalentowanego kierowcy była szyba. Holtzer siedziała odwrócona ode mnie, patrząc spokojnie przez szybę na szary dzień.

– Panno Holtzer...

– Tak? – powiedziała, oglądając się z uprzejmym wyczekiwaniem.

– Chciałbym wiedzieć, czy się nie mylę. Wydaje mi się, że wyczuwam pani cichą dezaprobatę.

Miałem wrażenie, że dostrzegłem błysk lekkiego rozbawienia.

– Czy to dla pana takie ważne?

– Tego nie pomyślałem.



– Wie pan, w ciągu tych dwóch lat zlecano mi tyle niezwykłych zadań, że gdybym miała wszystko oceniać, byłabym wrakiem.

– Unika więc pani wydawania jakichkolwiek sądów?

– Poza sytuacjami, kiedy się tego ode mnie oczekuje. Ona płaci za opinie. Prawne, podatkowe, artystyczne. Słucha ich i podejmuje decyzje. Opinie wolontariuszy niespecjalnie ją interesują.

– To dobrze płatna praca?

– Rekompensuje trud.

– Chyba powinienem się poddać.

Z niemal niezauważalnym wzruszeniem ramion odwróciła się znów do okna, prezentując mi ładny, mocny zarys brody i szyi, zgrabnego ucha widocznego pod naturalnie wijącymi się, przystrzyżonymi czarnymi włosami, gęste ciemne rzęsy nad delikatną linią policzka, leciutki, dyskretny i nienarzucający się zapach delikatnych perfum.

## 2

Dom stał na prywatnej wyspie. Prowadziła do niego droga biegnąca po grobli odchodzącej od jednej z głównych tras pomiędzy Miami a Miami Beach. Ogrodnik zamasyście otworzył przed nami bogato zdobioną bramę. Wjechaliśmy na teren posesji po żwirowej alejce wijącej się wśród bujnej, pieczołowicie pielęgnowanej dżungli, okrążyliśmy biało-różową podmurówkę i zaparkowaliśmy pod niewielką wiatą obok ogrodu.

To musiało być tylne wejście. Dana Holtzer zaprowadziła mnie do mrocznego holu na półpiętrze. Usiadłem na babilońskim tronie w cieniu zawieszanej wyżej zbroi. Panowała martwa cisza. Żadnych odgłosów. Nic. Holtzer wróciła – bez kapelusza, bez torebki – i skinęła na mnie z powagą siostry przełożonej. Ruszyłem za nią korytarzem, całym w dywanach i boazerii. Zastukała w warowne drzwi, popchnęła je i usunęła się na bok, robiąc mi przejście.

– Za chwilę będzie – powiedziała.

Zamknęła drzwi i zostawiła mnie samego w czymś, co robiło wrażenie apartamentu gościnnego. Był to długi, bardzo wysoki pokój. Na podłodze ciemnowiśniowy dywan; na ścianach boazeria. Siedem zakończonych łukami, wysokich witrażowych okien na jednej ścianie. Głębokie parapety. Ciemne hiszpańskie meble. Środek pokoju niżej niż narożniki. W jednym z nich stało łóżko z baldachimem. Naprzeciwko, przed niewielkim kamiennym kominkiem, meble tworzyły kącik do mniej formalnych spotkań towarzyskich. Część na niższym poziomie miała charakter dość oficjalny. Tam gdzie stało łóżko, było dwoje drzwi. Jedne, otwarte, prowadziły do garderoby, gdzie zauważyłem komplet eleganckich walizek. Drugie drzwi były zamknięte, a zza nich dochodził ledwie słyszalny szum ciekącej wody.

Chociaż zasłony były rozsunięte, w pokoju panował półmrok. Podszedłem do jednego z okien i wyjrzałem na dół. Spomiędzy liści

tropikalnych drzew z trudem dostrzegłem fragmenty trawnika. Dalej, po lewej stronie, mignął mi białą róg basenu.

Nagle drzwi łazienki się otworzyły i wyszła z nich Lysa Dean. Była drobna, jak się spodziewałem, bo przecież musiała być dużo mniejsza niż postać spoglądająca na mnie z wielkiego ekranu, w pełnym kolorze i zbliżeniu, z szarozielonymi oczami wielkości volkswagena garbusa. Miała na sobie delikatne złote sandały na płaskich obcasach, wzorzyste zielonkawe spodnie z cienkiego materiału, oblepiające jej nogi tak bardzo, jak to tylko możliwe, prawie jak farba albo tatuaż. Do tego włożyła dziwną włochatą bluzę z dekoltem i rękawami trzy czwarte. Wyglądało to tak, jakby narysowany przez Skeeter Quimby oraz parę setek jego krewnych oddali blade skórki ze swoich brzusków na tę kreację. Na szczupłej szyi luźno zawiązała szalik z zielonego jedwabiu, idealnie pasujący do jedynej sztuki biżuterii, którą nosiła – szmaragdu wielkiego jak kostka cukru – na małym palcu lewej dłoni. Rozegrała swoje wejście po mistrzowsku – minęła część sypialną i zeszła trzy schodki w dół.

Szybko zbliżyła się do mnie z wyciągniętą ręką i ciepłym uśmiechem, niczym kobieta z zachwytem witająca powracającego kochanka.

– Jak to dobrze, że pan przyszedł! – powiedziała łagodnym, zbliżonym do szeptu głosem. Kiedy ująłem jej dłoń, obróciła się lekko, jakby szukała promieni słońca, najokrutniejszego oświetlenia, na jakie może pozwolić sobie kobieta. Jej dłoń była mała, sucha i ciepła. Ufne małe zwierzątko tak intymne jak jej głos.

One stosują szczególne zawodowe triki. Mnóstwo ekspresji w pracy ust, brwi i gestów.

Pamiętałem długą rozmowę z pewnym kaskaderem. Nazywał się Fedder. Musiał wycofać się z branży z powodu zapalenia stawów.

– Nie daj sobie wmówić, że one nie są warte zachodu – poradził mi. – Wiele z nich rzeczywiście jest do niczego. Ale trzeba się dobrze przyjrzeć, żeby to wyczuć. Wszystkie muszą być niesamowicie ładne i dobrze zbudowane. Powiedzmy więc, że masz szansę na coś z jakąś niezłą aktoreczką. Daj sobie spokój. Rzecz w tym, że one sublimują. Kiedyś poznałem to określenie. Całą parę ładują w pracę i na łóżko zostaje niewiele. A teraz przypuśćmy, że trafia ci się taka, która uważa się za piekielnie dobrą aktorkę, ale tylko jest afektowana. Tę też sobie odpuść. Ona całą tę afektację zabierze do łóżka i będzie tak w sobie

wpatrzone, że nie włoży w to serca. Te, na które warto poczekać i wiele dla nich poświęcić, to dziewczyny mające aktorstwo we krwi. Te w ogóle nie muszą nic grać. Kamera łapie, jakie są świetne. Człowieku, one aż się palą, żeby to wypróbować. Kolejny raz jest zawsze największy i najlepszy w życiu. One, jak to się mówi, naprawdę to lubią.

Miałem wrażenie, że Fedder tę by pochwalił. Nie spodziewałem się, że jest tak autentycznie młodzieńcza. Jakkolwiek bym liczył, musiała mieć koło trzydziestu trzech lat. A jednak była to w bardzo naturalny sposób młoda dziewczyna. Szczupła, jasnooka o niesamowicie bystrym spojrzeniu, z idealną cerą i burzą połyskliwych włosów. Robiła wrażenie i wiedziała o tym, a jednocześnie nie było w niej nic sztucznego. Łobuzerski błysk w oku wskazywał na rozkoszną skłonność do bycia niegrzeczną.

Ale poznałem wystarczająco wiele takich, by wiedzieć, że to tylko jeszcze jedna rola. Atrakcyjna kobieta innej profesji ma pięć, sześć twarzy. A aktorka z kilkadziesiąt i w jednej chwili tę właśnie wybrała dla mnie.

Zastosowała sztukę show-biznesu i stanęła bardzo blisko mnie. Zwykle ludzie trzymają się na dystans około metra. W Hollywood to zaledwie dwadzieścia centymetrów. Czuje się ciepło oddechu dziewczyny na szyi, a sterczące sutki są jakieś trzy centymetry od twojej piersi.

– Przyjaciele Walta... – zacząłem bez sensu.

– Bardzo go cenię. – Cofnęła się ćwierć kroku, żeby unieść głowę i pochwalić mnie żartem. – Mówił, że duży z ciebie facet, ale nie, że aż taki olbrzym, Travisie. Trav? Tak chyba o tobie mówi. Ja dla przyjaciół jestem Lee. Trav, mój drogi, Walt powiedział mi, że jesteś wysoki, wyglądasz na zbója, jesteś zgryźliwy i czasem niebezpieczny, ale nie zdradził, że jesteś tak zabójczo przystojny.

– Prawdziwa lalka – skwitowałem.

– To cudownie, że zgodziłeś się mi pomóc.

– Nie zgodziłem się.

Na ułamek sekundy zamarła, analizowała moje słowa, ale nie przestała się uśmiechać. Nieskazitelnie białe przykryte koronami zęby lśniły pomiędzy wilgotnymi wargami. Na zielonych tęczęwkach wokół źrenicy dostrzegłem miodowe plamki. Delikatna geometria złotorudych brwi. Ciemniejsze rzęsy zdawały się nieprawdopodobnie długie.

Leciutki puszek nad górną wargą. To była niezwykła i dziwnie znana mi twarz. Nieco ostre rysy, bardzo zmysłowe, niepowtarzalne. Z lekko przechyloną głową, spoglądała na mnie spod rzęs, a zasłaniające twarz i prawe oko złotorude bujne włosy prawie mnie dotknęły. Nagle zdałem sobie sprawę, kogo mi przypomina. Lisicę. Sprytnego rudego lisa. Widziałem taką dawno temu wiosną w Adirondack. Był ranek, lisica szła przodem, w sporej odległości przed samcem. Jej ruchy były sprężyste i czujne, ogon miała uniesiony. Oglądała się, żeby sprawdzić, czy on nadal idzie za nią. Z uśmiechniętego po psiemu pyska wystawał język.

Lee nagle się odwróciła i ruszyła w kierunku podwyższonej części pokoju, gdzie stały fotele przed kominkiem.

– Ale pomożesz mi? – szepnęła załamującym się głosem.

Poszedłem za nią. Usiadła na małej kanapie i podwinęła pod siebie nogi. Wzięła z pudełka na stole papierosa, a ja podałem jej ogień. Wypuściła dym z delikatnych, owalnych nozdrzy lekko spiczastego noska. A kiedy zająłem miejsce na fotelu ustawionym ukośnie przed kanapą, uśmiechnęła się do mnie.

– Kontakt z tobą jest orzeźwiający, Travisie McGee.

– Jak mam to rozumieć?

Wzruszyła ramionami i roześmiała się, jakby przyganiała samej sobie.

– Nie mówisz tego, co zwykle słyszę: „Uwielbiałem panią w tej roli. Zachwyciła mnie pani w tamtej. Chodzę na wszystkie pani filmy. Wygląda pani piękniej niż na ekranie”. Wiesz, co mam na myśli.

– Nic z tego nie pomnę, kiedy będę prosił o autograf.

– Wiesz, że jesteś złośliwy, co? A może boisz się pokazać, że jesteś pod wrażeniem? Albo wcale cię to nie rusza? To trochę irytujące, wiesz?

– Twoja panna Holtzer wytrąciła mnie z równowagi w ten sam sposób.

– Dana to skarb. Nie ukrywa, co czuje.

Wzruszyłem ramionami.

– Uwielbiałem cię w tej roli. W tamtej mnie zachwyciłaś. Na żywo wyglądasz równie dobrze jak na ekranie.

Znów zamarła w bezruchu. Dziwnie było siedzieć tak blisko niej. Pomyślałem o tych niezliczonych milionach mężczyzn na świecie, którzy są zapatrzeni w jej obraz, wielbią ją, pożądają, rozbierają w



wyobraźni i zagłębiają się między te gładkie drobne uda. Zastanawiałem się, ile potajemnych, samotnych orgazmów zostało przeżytych z myślą o niej. Niesamowity zasięg i ogrom anonimowego pożądania sprawiały, że wywierała szczególne wrażenie na żywo. To prawda, latami się głodziła, katowała, prężyła, nacierała, depilowała, polerowała, perfumowała i trenowała, żeby osiągnąć absolutny szczyt fizycznej doskonałości. Bez żelaznego charakteru i dzikiej siły woli nie wytrzymałaby tego tak długo. Ale można było też sądzić, że jako symbol seksu i tę sferę życia wynosiła na nieznane wyżyny – zapewniając niebywałe uniesienia, płomienne porywy, głębsze doznania, dłuższe umieranie z rozkoszy, niż śniło się jakimkolwiek innym kobietom na ziemi. Oczywiście to złudzenie, przed którym mężczyzna powinien się bronić. Ale jej fizyczna pewność siebie i aroganckie podejście mogły łatwo zwieść nieostrożnych.

– Przepraszam cię na chwilę – powiedziała uprzejmie i szybko poszła do garderoby. Dziewczęcy, pełen wdzięku pośpiech, wieczna osiemnastolatka. Wróciła z żółtą kopertą okazałych rozmiarów i położyła ją na stoliku obok pudełka z papierosami.

– Ta duża szafka tam to barek. Nalej sobie, czego tylko chcesz. Ja poproszę trochę sherry. Tylko pół kieliszka.

Ruszyłem do barku.

– Zupełnie nie wiem, od czego zacząć, mój drogi – dodała nieco głośniej. – I nie ułatwiasz mi specjalnie zadania.

– Po prostu powiedz, w czym problem. Mówiłaś Waltowi, tak?

– Trochę. Ale, jak sądzę, ty chcesz... wiedzieć wszystko.

– Jeżeli mam ci pomóc...

Podszedłem do niej z drinkami.

– Sława! Gdyby wszyscy, którzy o niej marzą, wiedzieli, co to znaczy. Tak naprawdę człowiek staje się celem. Paskudne intrygi, żeby się podczepić i obłowić bez żadnych nakładów. Nie można sobie pozwolić na żaden nieprzemyślany ruch.

To była nowa poza. Wypiła łyceczek wina – cierpiąca gwiazda, ofiara popularności.

Usiadłem, a ona uśmiechnęła się do mnie smutno.

– To nic niewarte. Ale trzeba w tym tkwić tak głęboko jak ja, by zdać sobie z tego sprawę. A wtedy jest już za późno. Nie można się uwolnić. Nadal śledzą Garbo. A od kiedy nie występuje w filmach? Już z tysiąc lat, co najmniej. Oczywiście były wspaniałe chwile. Ale to, co naprawdę

cenie, wewnętrzny spokój, przyjaźń, małe radości, małżeństwo... nic z tego nie może w tych warunkach przetrwać. Straszna samotność, Trav. Jakby się było na szczycie góry, bez nikogo.

– Za to ci płacą.

– Płacą rzeczywiście bardzo dobrze. Miałam niezłych doradców. Uzbierałam sporo pieniędzy. Oczywiście, są zainwestowane w mnóstwo rzeczy, ale gdybym musiała je wszystkie wycofać, byłaby z tego niezła sumka. Dlatego próbowałam... wykupić się od kłopotów.

– Szantaż?

Odstawiła kieliszek, szybko wstała i zaczęła się nerwowo przechadzać.

– Rozumiesz, jakie to dla mnie cenne... jak bardzo istotne, żeby mieć odrobinę czasu, kiedy mogę być sobą? Jak teraz, przy tobie. Możemy rozmawiać jak ludzie. Nie muszę przed tobą grać. Chcę czasami zapomnieć, że jestem Lysą Dean i być zwyczajną Lee Schontz z Dayton, w stanie Ohio, córką strażaka. Z ulicy Madison tysiąc sześćset dziesięć.

Podeszła do mnie. Poczułem ciepło jej nogi na swoim kolanie.

– Rozumiesz tę podstawową potrzebę ludzką, prawda?

– Nie da się stale żyć na cenzurowanym.

– Dziękuję, że to pojmujesz!

To już była inna rola. Podejrzywałem, że to kwestia z jakiegoś starego filmu, przeredagowana na tę okazję.

– A kiedy... się zapomnę, staję się najbardziej bezbronna.

– Jasne.

– Tak bym chciała, żebyś mnie zrozumiał. Nie jestem specjalnie skomplikowana, Trav. Tylko taka jak wszyscy. Bywam w rozpacz, zachowuję się, jakbym sama siebie chciała zniszczyć. Czasami robię coś głupiego. Zdarza się, że nie obchodzi mnie, co się ze mną stanie.

– Pewnie.

Wyciągnęła rękę i przesunęła mi palcami po policzku, po czym obróciła się i znów usiadła na kanapie.

– Wiem, że nie jesteś świętoszkiem. Czuję to. Muszę z tobą rozmawiać tak jak z lekarzem albo prawnikiem. Ale okropnie mi trudno. To takie krępujące.

– Co się stało?

Westchnęła i zrobiła żalostną minę.

– Stał się mężczyzna. Oczywiście. Bardzo interesujący facet. Przynajmniej dla mnie. To było w lipcu, półtora roku temu. Właśnie

skończyliśmy zdjęcia do *Jacka i gry*. Byłam wykończona, ale postanowiłam wyjechać z Carlem. Carlem Abelle'em. Prowadził szkółkę narciarską. Tak naprawdę nigdy nie mieliśmy szansy zostać sam na sam. Znalazł dla nas miejsce. Fantastyczny mały domek. Znasz Kalifornię? Tuż pod Point Sur, uczepiony skał. Należy do jego przyjaciół. Nazywają się Chipmannowie. Wyjechali wtedy do Szwajcarii. Tam mają drugi dom. Byliśmy sami, tylko we dwoje...

Zawahała się.

– Tak?

– Trav, przez większość czasu obowiązuje mnie żelazna dyscyplina. Bardzo ciężko pracuję.

– I kiedy sobie odpuszczasz, to na całego?

– Pewnie bardziej niż inni. Przez chwilę nie pilnuję każdego grama i centymetra, każdego głupstwa i drinka, i kalorii, i czy będę miała siniaki... Do diabła z tym wszystkim, chcę poczuć się dla odmiany zwyczajną kobietą. Jajka smażone, rozpuszczone włosy, narąbać się, pobałować. Mam raczej ognisty temperament. Ale zawsze nad tym panuję. Odpuszczam sobie tylko czasami. Jak wtedy, półtora roku temu. Z Carlem. Tak staram się robić. Uciekam na chwilę z pewnym typem mężczyzny. I wtedy wszystko, co się uzbierało...

– Prawo natury. Nie sądziłem, że w czasie wolnym wstępujesz do klasztoru. Ale nie bardzo rozumiem, w czym rzecz.

– Chcę tylko wyjaśnić bieg wypadków. To było takie zaciszne miejsce. Carl jeździł po jedzenie i alkohol. Wykute w skale stopnie prowadziły na maleńką, zalewaną przez przypyływy plażę, daleko w dole. Korzystaliśmy z maciupieńkiego tarasu od strony oceanu. Nawet rano można było się trochę poopalać. Był otoczony niskim, szerokim murkiem, pod którym leżała sterta odpornych na każdą pogodę materaców i poduch w najróżniejszych kolorach. Zorganizowaliśmy wszystko, żeby mieć trzy tygodnie tylko dla siebie. Może to było za długo. Chyba tak. Pasowaliśmy do siebie idealnie, pod względem czysto fizycznym. Wiedzieliśmy o tym, oczywiście, jeszcze przed wyjazdem. Tyle że na stoku czy w łóżku Carl nie jest specjalnie stymulujący. Szał trwał może tydzień. Dzień mieszał się z nocą. Jedliśmy, kiedy byliśmy głodni, spaliśmy, kiedy nam się chciało. Gdy gorączka opadła, oboje zaczęliśmy więcej pić. I spędzaliśmy coraz więcej czasu na tarasie, w słońcu. Wiedziałam, że za mocno się opalam, ale byłam zbyt rozleniwiona i zrelaksowana, żeby się tym przejmować. Piłam

mnóstwo wódki. Upał i wódka wprawiały mnie w stan ciągłego odurzenia. Kochaliśmy się na słońcu, powoli, cali spoceni i... czy ja wiem... jacyś tacy nieobecni. Miałam ciężę pozamaciczną jako nastolatka, mało brakowało, a byłabym umarła, i nie muszę się martwić zabezpieczaniem. Chodzi o to, że czuliśmy się tam tak bardzo pewni, że nic nam nie grozi. Widywało się w oddali łódzie, czasem przeleciał po niebie samolot albo usłyszało się ciężarówkę na szosie. Telefon był wyłączony. Miałam małe radyjko. Musisz zrozumieć, że nic nie wydawało się ważne, absolutnie nic. Pojmujesz to, Trav?

– Jakbym tam był.

– W każdym razie to musiało się stać pod koniec drugiego tygodnia. Potrzebowaliśmy paru rzeczy i Carl pojechał po nie do miasta. Wyruszył jakoś wczesnym popołudniem. I przepadł na tak długo, że zaczęłam się na niego pieklić. Strzeliłam sobie kilka setek, więc nim wrócił, nieźle mnie ścięło i niewiele już do mnie docierało. Zaparkował na podjeździe, a za nim dwa inne samochody. I nagle do domu wparowała cała pijana banda, rycząc jakieś niemieckie narciarskie przyśpiewki. Pięciu facetów i trzy dziewczyny. Jedną z nich Carl poznał w górach. Natknął się na nich w mieście, wypili parę drinków i zdecydowali, że urządzą u nas imprezę. Mało nie padli trupem, jak zobaczyli, kim jest jego dziewczyna. Przywieźli z miasta tony jedzenia, piwa, mocniejszych trunków i papierosy. Byłam wściekła na Carla, ale uznałam, że skoro już mnie rozpoznali, mleko się wylało, jeśli to w ogóle ma znaczenie, i do diabła z tym. Chyba Carl zaczynał mnie już nudzić i całkiem straciłam czujność. To byli nieźli imprezowicze, wszyscy, co do jednego. Urocze panienki i zabawni faceci. Pewnie muszę opowiedzieć ci wszystko do końca, mój drogi. To był wariacki wieczór, pod każdym względem, i późnym popołudniem następnego dnia ostatnia trzymająca się na uboczu dziewczyna, którą nazywali Whippy, tak się skuła, że pozwoliła Sonny'emu ściągnąć z siebie kostium kąpielowy i włączyła się do zabaw na tarasie. Wydawało się, że wszyscy poszaleli i nikt się tym specjalnie nie przejmował, patrzyło się na to i robiło się to w dziwnym otumanieniu, tak że nie wszystko dokładnie pamiętam. Po raz pierwszy i ostatni byłam w takiej sytuacji. Na Rivierze to normalka, daje się znać światłami i klaksonem, żeby zwołać chętnych. Mnie to nie gorszy. W pewien sposób to jest bardzo ekscytujące. Ale dla kogoś z moją pozycją zbyt niebezpieczne. I nie chciałam tego. Carl sprowadził ich do nas, od tego się zaczęło, i trwało

może ze cztery dni, jak sędzę. Kiedy wróciłam do Brentwood, tygodniami dochodziłam do siebie. Wszystko wydawało mi się snem. I raptem pod koniec sierpnia dostałam pocztą dużą kopertę. W środku było dwanaście fotografii. Odbitki na błyszczącym papierze dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. To wielka różnica, pamiętać coś, ale zobaczyć to... w ten sposób. Zobaczyć siebie... Boże! Zwróciłam lunch.

– To przyszło pocztą?

– Tak. Do mnie do domu. Bóg jeden wie, jak to się stało, że Dana nie dobrała się do tego przede mną. W środku był list. Zachowałam go. Ukryłam w sejfie. Oto on.

Wyjęła list z koperty i podała mi. Napisany na elektrycznej maszynie z czarną taśmą. Wiele liter było poprawianych kolejnym uderzeniem w klawisz.

– Masz kopertę, w której został wysłany?

– Nie. Nadano go na poczcie głównej w Los Angeles. Żadnym poleconym ani nic z tych rzeczy. Nawet bez zaznaczenia, że to korespondencja prywatna. Zaadresowany był na tej samej maszynie do pisania. Bez nadawcy. Proszę. Czytaj.

Tekst brzmiał następująco: *Lyso, kochanie, jesteś taka zorganizowana. Wiesz, na co się stawia w tym biznesie. Nie masz więc, oczywiście, wyjścia. Jestem w posiadaniu dziesięciu kopii takich zestawów i wiem dobrze, komu je porozsyłać. Polecam inwestycję. Spłaty ratalne, ptaszyno. Po dziesięć tysięcy w używanych setkach. Zapakowane w zwykły biały papier. Porządnie związane. Co niedziela wieczorem od przyszłego tygodnia. Ty albo twoja ciemnowłosa sekretarka zrobicie sobie przejażdżkę. Dokładnie o północy podjedź pod restaurację Narana Kai przy plaży Topanga. Zamów coś i pójdz do pawilonu, trzymając paczkę tak, żeby była dobrze widoczna. Zatrzymaj się na końcu, przy automatach telefonicznych. Zadzwoń telefon. Policz dzwonki uważnie. Poczekaj. Zadzwoń znowu, tyle samo razy. Wracaj do auta. Wyjedź z parkingu dokładnie o dwunastej trzydzieści. Popatrz na wskaźnik przejechanych kilometrów. Jeśli na końcu masz, na przykład, osiem i sześć dziesiątych, a telefon dzwonił siedem razy, to kiedy przebieg będzie kończył się piątką i sześć dziesiątych (trzeba po prostu dodawać, kochanie), bądź gotowa. Kieruj się na zachód drogą 101. Jedź prawym pasem, z otwartym oknem po prawej, z pakietem w twojej malutkiej prawej rączce. Uważaj na światła przed tobą z prawej strony. Zwolnij do*

pięćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę i trzymaj się najbliższej pobocza, jak to możliwe. Kiedy zobaczysz migające dwa razy zielone światelko, natychmiast wyrzuć paczkę. Jeśli dwa razy zamruga czerwone, wracaj z pieniędzmi do domu i przyjedź z nimi w następną niedzielę. Za każdym razem dostaniesz negatyw jednego zdjęcia i wszystkie odbitki. Przyjdą pocztą. Jeśli wszystko dobrze pójdzie i nie będziesz próbowała chytrych głupich sztuczek, powinniśmy skończyć z całą tą sprawą w dwanaście tygodni.

– Diabelnie skomplikowane – stwierdziła.

– Tak naprawdę to dość sprytne. Dwoje ludzi poradzi sobie z czymś takim bez większego ryzyka. Jeden na parkingu przy pawilonie, żeby obserwować ciebie albo pannę Holtzer i kiedy usłyszysz dzwonki, zatelefonować do czekającego dalej kumpla, żeby zajął wyznaczoną pozycję. Łatwo sprawdzi, czy nie masz kogoś schowanego w aucie. Jedzie za tobą, wyprzedza cię, kiedy uzna to za bezpieczne, dociera pierwszy na miejsce i sygnalizuje kumplowi światłami, żeby dał zielony sygnał latarką. Niezłe. Bardzo trudno byłoby ich przyłapać. I co poszło nie tak?

– Nic. Przynajmniej nie wtedy. Zapłaciłam. Jednej nocy mignęło czerwone światelko. Nie wiem czemu. Potrwało to więc trzynaście tygodni. Dostałam co trzeba pocztą. Najgorsze zdjęcia przyszły ostatnie. Dana przekazywała pieniądze. Chyba ma więcej zimnej krwi niż ja.

Zerwała się i zarumieniła.

– Tylko nie praw mi morałów, McGee. Na *Wichry losu* wydano siedem milionów. Ryzykowna inwestycja. Ktoś, kto napisał tę wiadomość, zna ten biznes. Wiedział, jak mnie podejść. To nie dawne czasy, kiedy można było liczyć na ochronę ze strony wytwórni. Każdy film to osobna operacja finansowa. Teraz jest może z dziesięciu gości, którzy są w stanie sfinalizować wielkie przedsięwzięcia. Gdyby każdy z nich otrzymał zestaw takich odbitek, kto chciałby podejmować ryzyko i mnie angażować? Po co? Te zdjęcia są zabójcze. Co znaczy sto dwadzieścia tysięcy dolarów w porównaniu z tym, co mogę osiągnąć? Polikwidowałam jakieś lokaty, które marnie się sprawdzały, coś, co przynosiło straty, i zapłaciłam. Nie mów mi tylko, proszę, co powinnam była zrobić!

Dobrze zagrane. Musiałem to docenić.

– Jak mam ci pomóc, skoro ściemniasz?

– O czym ty, do diabła, mówisz! – wrzasnęła.

– W tej branży liczą się tylko pieniądze w banku. Twoje nazwisko gwarantuje, że film przyniesie zysk. Jak udział Liz, Frankiego, Mitchuma, Avy. A to też nie były do końca niewinne kwiatuszki. Czasy bojkotowania Arbuckle’a dawno minęły. Dziś publiczność by cię nie potępiła, nie byłoby nacisków, żeby wygnać cię z wielkiego ekranu. Jak się nieco opatrzysz, to piarowcy każą ci wspomóc schronisko dla psów i znów cała Ameryka cię kocha. Przestań udawać.

Fałszywe oburzenie wyparowało w jednej chwili. Usiadła i przygnębiona popatrzyła na mnie badawczo.

– Cwaniaczek – rzuciła.

– Dlaczego więc zapłaciłaś?

– Z powodu kilku drobiazgów. Jakiś czas temu nie pilnowałam wagi. To opóźniło końcowe zdjęcia i podniosło koszty. Niektórzy uznali, że może nie mają już ochoty ze mną pracować. Ale wzięłam się w garść. Rozumiałam, co się kroi. Wiesz, jak z Monroe czy Brando. Mimo wszystko tamci nadal byli nieufni. Poza tym zdarzały się jeszcze drobne wpadki. Nie tak okropne jak te zdjęcia, ale... z tego gatunku. To nie był odpowiedni czas, żeby dawać im więcej powodów do niepokoju.

– I?

– Rety! Naprawdę chcesz wiedzieć wszystko?

– Przekonałem się, że to pomaga.

– Mam bliskiego przyjaciela. Jest bardzo wierzący i bardzo konserwatywny. Ma nieprzysłowicie wielkie posiadłości w Kalifornii i na Hawajach. Jeśli uda mu się dostać odpowiednie zaświadczenie z Watykanu i odzyskać wolność, nigdy w życiu nie będę już musiała od nikogo brać byle czego. A jeden komplet tych zdjęć powędrowałby do człowieka, który czułby się w obowiązku pokazać je mojemu przyjacielowi. I to by przekreśliło wszystko.

– O jaką stawkę chodzi?

Oblizła usta.

– Połowa z około osiemdziesięciu milionów, mój drogi. Jestem dla niego jego wierną ukochaną. Przez to sytuacja była o wiele bardziej... niebezpieczna. W innym razie wypożyczyłabym sobie jakichś osiłków od starego kumpla w Vegas i poszczułałabym ich na tego pajaca fotografa. Poradziliby sobie z nim, ale z tym, co teraz jest mi potrzebne, to już nie. Tak naprawdę, jeśli pan X nic nie wie o moim przyjacielu i o tym, jak długo trzeba się starać, żeby cokolwiek załatwić w Watykanie, zrobił strasznie głupi ruch. Ale mając na uwadze mojego przyjaciela,

nie chciałam ryzykować. Trzeba sobie uświadomić, jaka jest stawka. A to wszystkie moje szanse na przyszłość plus wypchany portfel przyjaciela. Dlatego zapłaciłam.

– I miałaś nadzieję, że na tym koniec. Ale tak się nie stało. A tak przy okazji, czy on może i tobie załatwić rozwód kościelny?

– Nigdy nie brałam ślubu kościelnego, więc to się nie liczy. Mam czystą kartę. À propos, panie McGee, Dana nic nie wie o moich planach wobec tego przyjaciela.

Spytałam, jak według niej ktoś mógł zrobić te zdjęcia.

– Musiał mieć teleobiektyw – powiedziała. – Widać efekt spłaszczenia obrazu. Pamiętam, że po lewej stronie, na południe od domu, wznosiła się niewielka skała. Rosły na niej jakieś karłowate drzewka. To musiało być fotografowane stamtąd. Wskazuje na to kąt, pod jakim zrobiono zdjęcia. Ale ten facet musiałby być prawie kozicą górską i mieć fantastyczny teleobiektyw.

– Czy w liście jest coś, cokolwiek, co nasuwałoby ci na myśl konkretną osobę?

– Nie. Czytałam to wiele razy. On musi mieć jakiś związek z branżą. I, jak sądzę, starał się, żebym odniosła wrażenie, że mnie zna. Ale nazywa mnie Lysą, a nie Lee. Oczywiście to może być kamuflaż. W dodatku chyba chce zasugerować, że jest Angolem, bo zwraca się do mnie „ptaszyno”.

– Jakiej wielkości były negatywy?

– Małe. Mniej więcej takie.

Pokazała palcami wysokość około trzydziestu pięciu milimetrów.

– Sprawdzałaś za każdym razem, czy to są naprawdę negatywy tych odbitek?

– No pewnie. Ale najczęściej odbitki były powiększeniem fragmentu negatywu, czasem nawet mniejszego niż połowa.

– Spłaciłaś więc wszystko ponad rok temu. I myślałaś, że jesteś wolna. Kiedy ten ktoś skontaktował się z tobą znowu?

– Dwa miesiące temu. Może mniej. Na początku stycznia. Mój stary przyjaciel, próbując wrócić na scenę, występował w The Sands w Las Vegas. Wybraliśmy się tam całą bandą, żeby mu kibicować. Gazety pisały, że będziemy tam wszyscy. Dana pojechała ze mną. Miałyśmy apartament w Desert Inn. Ktoś zostawił tę kopertę dla mnie w recepcji The Sands. Pewnie sądził, że tam się zatrzymałam. Przysłali mi ją, a Dana odebrała. Właśnie budziłam się z drzemki, kiedy weszła z



paskudną miną i podała mi kopertę. Otworzyła ją, niestety. To był kolejny zestaw zdjęć. Nie było nadawcy. W recepcji nie mieli pojęcia, kto zostawił kopertę. Dana chciała z miejsca rzucić pracę. Dziwna z niej dziewczyna. Musiałam wyjaśnić jej wszystko tak jak tobie, Trav. Od razu się zorientowała, że to ta sprawa kosztowała mnie tyle pieniędzy. Mimo to nadal chciała odejść. Musiałam błagać ją, żeby została. Między nami nie jest już tak jak dawniej, odkąd zobaczyła te zdjęcia. Nie mam do niej pretensji, ale bardzo nie chcę jej stracić. To ta koperta. Widzisz, jak jest zaadresowana. Ktoś po prostu wyciął moje imię i nazwisko z okładki magazynu dla fanów, coś w tym rodzaju. A to list, który załączono.

Był całkiem inny. Poszczególne słowa i litery zostały wycięte z gazet i nalepione na tani żółty papier przebitkowy. Przeczytałem: *Bezwstydną dziwko Babilonu rozplata cię miecz sprawiedliwości i pieniądze nie uratują twojego brudnego życia tym razem ale lepiej szykuj pieniądze dziwko zła przyjdę do ciebie i dowiesz się prawdy i ja cię uwolnię.*

Skuliła się i objęła się ramionami.

– Ten list potwornie mnie przeraził, Trav. Jest jakiś chory, szalony... okropność. To nie ta sama osoba. To niemożliwe.

– Poszłaś więc zobaczyć się z Walterem?

– Nie, po prostu im więcej o tym myślałam, tym bardziej byłam roztrzęsiona. Dalej nie mogę się uspokoić. Poszłam na wielkie przyjęcie w Springs, trochę się wstawiłam, zrobiłam scenę i kochany Walter, który tam był, zaproponował, żebyśmy się trochę przeszli. Rzuciłam mu się na szyję i płakałam jak dziecko. Opowiedziałam mu o swoim zmartwieniu. Pomyślał, że może ty byś mi pomógł. Mógłbyś uznać, że coś mi skradziono. Moją prywatność czy coś w tym rodzaju. I ktoś chce mi ukraść moją karierę, a nawet życie. Nie wiem. Noszę ze sobą gotówkę. W banknotach tysiąc dolarowych. Pięćdziesiąt. Nie spodziewam się, że odzyskasz to, co zapłaciłam. Ale jeśli ci się uda, możesz zatrzymać połowę. A gdybyś załatwił, że ten czubek da mi spokój, możesz wziąć sobie całą tę forszę, którą noszę.

– Te zdjęcia są w kopercie?

– Tak. Ale czy musisz je oglądać?

– Tak.

– Tego się obawiałam. Nie pozwolę ci ich zobaczyć, nim obiecasz, że postarasz się mi pomóc. Za każdym razem, kiedy myślę o tamtym liście,

czuję się jak wystraszone dziecko.

– To bardzo wąły trop, Lee.

– Walter mówił, że jesteś bystry, twardy i masz szczęście, a uważa, że najważniejsze to mieć szczęście. – Spojrzała na mnie dziwnie. – Mam wrażenie, że mnie szczęście właśnie zaczyna opuszczać.

– Kto o tym wszystkim wie?

– Tylko nas czworo. Ty, Dana, ja i Walter. Ale oni wiedzą mniej niż ty. Nikt więcej. Przysięgam.

– Czy nie byłoby rozsądnie powiedzieć Carlowi Abelle?

– Mój słodki, kiedy takie rzeczy się kończy, to definitywnie. Nigdy więcej.

– Czy to on mógł cię tak wystawić?

– Carl? Wykluczone. To pocziwina. Proste potrzeby i bardzo proste zwyczaje. Absolutnie przewidywalny, wierz mi.

– Zwykle nie biorę zaliczki na wydatki, potem odbieram sobie przy podziale odzyskanej sumy. Ale ta sprawa jest zbyt niepewna.

– Zwrot za wydatki do pięciu tysięcy gwarantowany – oświadczyła bez wahania. – A kiedy to się skończy, pogadamy, co dalej.

– Walt musiał powiedzieć, że można mi ufać.

– A mam jakiś wybór? Jedno jest w tym dobre: że nie miałam problemu z decyzją, bo nie było innych opcji. Spróbujesz? Proszę. Bardzo proszę.

– Póki sprawa nie wyda się beznadziejna.

Rzuciła mi kopertę na kolana.

– Bóg mi świadkiem, że nie jestem wstydliva, kochanie, ale nie mogę patrzeć, jak ktoś to ogląda. Przejdę się. Przejrzyj to sobie bez pośpiechu, spokojnie.

Podeszła do ciężkich drzwi i wycofała się cicho z pokoju.

### 3

Chwilę później wsunąłem dwanaście fotografii z powrotem do koperty. Wolno przeszedłem się po pokoju. Jestem za stary, żeby szokowało mnie to, co innych kręci.

Nie czułem też potrzeby moralizowania. To były współczesne zwierzaki uchwycone na czarno-białych fotkach przy swoich głupich zabawach. Takie rzeczy nie bawią ani mnie, ani chyba nikogo z grona osób, które zaliczam do przyjaciół. Dokonałem dość surowej selekcji. Akceptacja takich zachowań pociągnęłaby za sobą odrzucenie wielu rzeczy, choćby wiary w ludzką godność.

Ale niepokoiło mnie jeszcze coś, czego nie umiałem do końca określić. Wyjąłem więc ponownie zdjęcia i je przejrzałem. I już wiedziałem, co to jest. W twarzach zatrzymanych w kadrze malowała się potworna samotność. Każda z tych osób, w całym tym leniwym poplątaniu intymności, układance anatomicznych detali, wyglądała na totalnie, rozpaczliwie samotną.

A byli to piękni ludzie. Na każdym ujęciu była Lysa Dean. Miała ciało tak doskonałe, jak można się było spodziewać.

Zdawało mi się, że odkryłem wielki paradoks. Groteskowo skrajna forma bycia razem okazuje się szczytem duchowego osamotnienia. A kiedy już raz człowiek się znajdzie na tej uschniętej gałęzi, nie ma szans, by z niej naprawdę zejść.

Wzruszyłem ramionami i jeszcze raz popatrzyłem na zdjęcia, żeby przekonać się, czy odczytam z nich, w jakich odstępach czasu zostały zrobione.

W ujęciach wyraźnie zmieniał się kąt padania światła, cienie były raz dłuższe, raz krótsze, zmieniały się konfiguracje. Z tego wnioskowałem, że zdjęcia robiono przez wiele godzin, może nawet nie jednego dnia.

Wkrótce wróciła. Na wpół zaczepna, na wpół pozując na zażenowaną.

– No i? – spytała.

– Nie wygląda na to, żeby to była świetna zabawa.

Aż ją zamurowało. Przyjrzała mi się uważnie.

– Masz absolutną rację! Wiesz, mam wrażenie, że to się działo wieki temu. Chyba próbowałam wymazać to z pamięci. Chryste, to wygląda w pewien chory sposób na podniecające. Ale pamiętam tylko, że stale się wściekałam, irytowałam, traciłam cierpliwość. I chciało mi się spać. Potwornie, bo nigdy nie mogłam się porządnie wyspać, a oni zlewali mi się w jedno... tak jakby byli całością. Dziwne. Zupełnie inaczej niż na zdjęciach.

– Czy to są dokładnie te same zdjęcia, jakie dostałaś wcześniej?

– To dwanaście tych samych ujęć, ale są trochę inne. Mniej ostre, jakby wyblakłe. Mniej wyraźne. Ale, oczywiście, nie zachowałam żadnego z tamtych, żeby porównać.

– Musimy przejrzeć je razem, żebyś powiedziała mi, kto jest kto, Lee. I co wiesz o każdym z nich.

– Pewnie trzeba tak zrobić.

– Potraktuj to jak wizytę u dentysty. Sądzę, że każdą z tych osób przynajmniej raz dobrze tu widać.

Naburmuszyła się.

– Te zdjęcia naprawdę mnie podbudowują. Fajnie jest wyglądać jak dzdзира za pięćdziesiąt pesos z jakiejś speluny w Juarez.

Włączyłem światło i usiedliśmy przy biurku w niższej części pokoju. Znalazłem ołówek i papier. Wskazywałem na zdjęcia i zadawałem pytania. Odpowiadała cienkim głosem na przydechu, prawie nie patrząc. Spisałem informacje.

1. Carl Abelle – lat około dwudziestu siedmiu, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, muskularny, blondyn, wyjechał z Sun Valley – próbować szukać w Mohawk Lodge pod Speculator w stanie Nowy Jork.
2. Nancy Abbott – lat około dwudziestu dwóch, wysoka brunetka, szczupła, ostro pije, dobrze śpiewa, uważali ją za rozwódkę, chyba córka architekta. Brała lekcje jazdy na nartach u Abelle'a w Sun Valley. Podobno zatrzymała się u...
3. Vance'a i Patty M'Gruderów. Byli małżeństwem, chyba z Carmel w Kalifornii. Oboje około dwudziestu pięciu lat, wyglądali na zamożnych. Vance uwielbia żeglarstwo, regaty na oceanie itd., ma

dom na Hawajach (?). On bardzo opalony, niski, krępy, muskularny, przedwcześnie łysiejący. Ona blondynka o bujnych kształtach i bardzo długich włosach; kłótniwa, wyraźny angielski akcent.

4. Cass – może to imię, może nazwisko, a może ksywka. Zdaje się, że znał wcześniej M'Gruderów. Około trzydziestki. Ciemny, zarósnięty, przystojny, bardzo silny. Zabawny (?). Malarz, chyba. Przyjaciel...
5. Sonny'ego. Nieco młodszy od Cassa, szczupły, o zimnym spojrzeniu, lubi przemoc, milczący, nie wiadomo, kim jest z zawodu, przywiózł ze sobą...
6. Whippy. Miała wtedy dziewiętnaście lat. Rude loki, piegi, chyba kelnerka albo ekspedientka, bała się go.
7. Dwaj studenci ze Wschodniego Wybrzeża na wakacjach, najwyraźniej przyłączyli się do grupy w barze, gdzie Abelle natknął się na Nancy Abbott. Chłopcy koło dwudziestki. Harvey – wysoki blondyn, wesoły. Richie – niższy, brunet, narwany. Uniwersytet Cornella.

Na wyraźniejszych zdjęciach każdego z nich zaznaczyłem odpowiednie numery. Czuję ulgę Lee, kiedy chowałem zdjęcia do koperty.

– Kto był pomysłodawcą tej zabawy? – zapytałem.

Znów zrobiła się spięta.

– Czemu? O co ci chodzi?

– Nie wierzę, że aparat miał tyle szczęścia. Ktoś musiał cię podprowadzić. Chyba że prawdziwym celem był kto inny, a ty trafiłaś się jako bonus.

– To było dawno, a ja większość czasu byłam nawalona.

– Opowiedz mi, co pamiętasz. Jak to się zaczęło.

Wstała, pomału podeszła do okna i zapatrzona w nie, położyła zaciśnięte w pięści dłonie na parapecie. Kiedy patrzyłem na nią pod światło, jej miękkie jak sierść lisa rude włosy zdawały się jarzyć. Oparłem się ramieniem o ścianę obok okna. Zaczęła opowiadać, a jej głos brzmiał żałośnie. Twarz miała prawie całkiem zasłoniętą przez opadające na policzki włosy. Dostrzegalem zaledwie wypukłość czoła, delikatny czubek nosa. Nie ponaglałem jej. Pozwoliłem szukać słów, w tempie, jakie jej odpowiadało. Lepiej pamiętała kombinacje niż

zdarzenia. Sześciu facetów i cztery dziewczyny pierwszego wieczoru i nocy. Cztery miejsca do spania – dwie sypialnie, długa kanapa w salonie i leżanki na tarasie obite czymś w rodzaju skóry. Zaczęło się polowanie, naciski i spięcia. Poza Carlem wszyscy najbardziej chcieli mieć Lyse Dean. Przygaszone światła, ustalenia i jakieś rozszady, kiedy partnerzy posnęli.

Zdanie po zdaniu, wśród teatralnych westchnień i pięknie wkomponowanych zawiesznień głosu, odmalowała mi nastrój panujący na gorącym, skąpanym w słońcu tarasie pierwszego pełnego dnia balowania. Dzbanki krwawej mary, szumiąca w głowie wódka, jaskrawe światło rażące zmrużone oczy, transowe rytmy z radia tranzystorowego, zapach olejku i mleczka do opalania, żarty i pijackie śmiechy. Gra w fanty, w którą nikt nie wygrywał, a kiedy przegrywał, to szybko okazywał się nagi.

W północy, lekko i przyjemnie wstawiona po skończeniu gry, odparła coraz bardziej natarczywe awanse ze strony Cassa. Kiedy zaczął się do niej dobierać zbyt brutalnie, nawrzeszczała na niego. Wreszcie, kiedy zerwała się, żeby znów się napić, zobaczyła, że niektórzy smacznie śpią, a pozostali akceptują to, na co ona się nie zgodziła. Więc zacisnęła powieki, żeby mieć złudzenie prywatności, i poddała się Cassowi i reakcjom swojego ciała.

Wyprostowała się i obróciła do mnie. Złapała mnie za pasek, przycisnęła czoło do mojej piersi, westchnęła i powiedziała:

– A potem chyba przestaje się to tak bardzo liczyć. Nie wiem. Tak jakbyś uczył się wyłączać coś w swojej głowie. To wszystko po prostu się dzieje. Wszyscy płyną na tej samej fali. Przestaje więc to mieć jakiegokolwiek znaczenie. Nic nie jest ważne.

Znów westchnęła. Zimne światło wieczoru oświetliło jej głowę tak, że skóra pod miedzianymi włosami wyglądała jak biała kość czaszki.

– Nie wiem, kto to zaczął. Patty strasznie się rządziła. Niektórzy się złościли. Whippy czasem płakała. Cass rzucił się raz na Carla. Nie wiem czemu. Jeden z tych studentów, ten wysoki, stale wymiotował. Nie umiał pić. Pamiętam to jak przez mgłę. Gdyby patrzeć na to z boku, to wszystko było głupie i nudne, ale jak cię zaczynało trochę nosić, można się było wciągnąć albo zainicjować coś nowego, albo iść wziąć prysznic, albo zrobić kanapkę czy kolejny dzbanek koktajlu. To po prostu... nie miało wielkiego znaczenia.

Przesunęła swoimi małymi dłońmi po mojej talii, objęła mnie i mocno przytuliła głowę do mojej piersi. Pogładziłem ją po włosach. Wzięła głęboki wdech.

– Słuchaj! – mówiła dalej. – Boże, wiem, że to było ważne. Są takie trucizny. Wydaje się, że już jesteś uratowany, ale tak naprawdę nigdy się ich nie pozbędziesz. Chciałabym bardzo, żeby ktoś wbił mi w głowę nóż i wyciął te cztery dni i noce. Po czymś takim dziewczyna już nigdy nie myśli o sobie jak dawniej. Od tamtej pory stale miewam ohydny sen. Wpadam do pustego białego basenu, który jest za głęboki, żeby się wydostać. Światła są zapalone i jest tam jasno jak na scenie. Widzę, jak po kafelkach pełźnie sześć obrzydliwych identycznych węży. Chcą się do mnie dobrać. Biegam i robię uniki i daję radę im uciec, choć próbują mnie osaczyć. Potem wołam: „Ratunku!” i nagle widzę, że ściany basenu się zbliżają. Robi się coraz ciasniej i teraz wiem, że mnie dopadną. Kiedy basen maleje, węże rosną, a ja krzyczę i budzę się cała złana potem, roztrzęsiona. Przytul mnie mocno, Trav. Proszę.

Dygotała i zastanawiałem się, czy udaje. Po kilku minutach uspokoiła się i odsunęła ode mnie. Odgarnęła włosy do tyłu.

– Nie chcesz mnie, prawda? – zapytała z przekornym, nieśmiałym uśmiechem. – Czuję to. Po twoich rękach. Ich dotyk jest taki delikatny i... ojcowski, obojętny. Boże, nie mogę mieć do ciebie pretensji, że nie pragniesz czegoś tak publicznego użytku.

– To nie tak.

– Nie? Ty na pewno nie jesteś taki jak oni, kochany.

– Nie. A właściwie, tak szczerze, jeśli już chcesz wiedzieć, chyba te zdjęcia mają z tym coś wspólnego. Sądzę, że mężczyźni lubią iluzję wyłączności, nawet na najbardziej tymczasowych zasadach. Zresztą zdjęcia, nie zdjęcia, powiedzmy, że nie jestem łowcą trofeów.

– A cóż to, do diabła, znaczy?

– Każdy temperamentny chłopak w Ameryce musi umieć jeździć na rowerze bez trzymanki, zdobyć jakieś odznaczenia i przespać się z kimś znanym. Niektórzy z tego nie wyrastają i tyle. Zaliczyłem parę sław, ale nie przechwalam się tym w męskiej szatni. Wyrosłem też z roweru, Lee. To wielka scena. Bogaty cichy dom, zamknięte drzwi, twoje obcisłe spodnie i łoże na podium. Wzajemne przyciąganie. Ale nie warto. To byłoby jak nauka tańca ze starszą siostrą. Będzie próbowała prowadzić, dawać denerwujące wskazówki, liczyć na głos i

psuć przyjemność słuchania muzyki. A potem poklepie cię protekcyjnie po ramieniu i powie, że nieźle ci poszło.

Przez chwilę miała minę jak złośliwy demon z buddyjskiej świątyni. Potem pojawił się tak dobrze znany z kina łobuzerski uśmiech.

– Mój Boże, naprawdę jesteś dziwny, McGee. Nie chciałbyś mnie, choćbyś mnie dostał na tacy?

– Nie. Chyba że znaczyłoby to dla nas obojga coś więcej, Lee. Dopiero wtedy.

– Masz na myśli coś takiego jak prawdziwa miłość?

– Uczucie, zrozumienie, namiętność i szacunek. Możesz sobie z tego kpić, jeśli chcesz. Pójść do łóżka to najłatwiejsze, co dwoje ludzi może zrobić. Kiedy towarzyszy temu wiele innych rzeczy, to może być ważne. Ale jeżeli chodzi tylko o łóżko, to strata czasu.

Przeszła dalej i usiadła w fotelu, podwijając nogi. Zastanawiała się nade mną, opierając palec o swój zgrabny nosek.

– Następnym razem, panie McGee, zapraszam do Dayton jakiegoś piętnaście lat temu, dobrze?

– Wezmę to pod uwagę, panno Dean.

– Mam zbyt bogatą przeszłość.

– Niekoniecznie.

– Wspomniałeś o szacunku.

– Od czasu do czasu przestajesz przede mną grać i cytować kwestie ze starych filmów. Wtedy szanuję osobę, która się ujawnia.

– Dziwnie byłoby mieć takiego przyjaciela jak ty. Nie mam przyjaciółek, naprawdę. I tylko dwóch przyjaciół, świetnych starszych facetów, obydwaj są dobrze po sześćdziesiątce. Uwielbiam ich. Mężczyźni z twojej półki to napalone ogiery albo konkurujący ze sobą wyczynowcy, kochanie, albo tacy, którzy kombinują, jak się na mnie wzbogacić.

– Może z czasem zostaniemy przyjaciółmi, Lee. Teraz powinienem już się zbierać. Wezmę te zdjęcia.

Kiedy podniosłem je z biurka, zerwała się z fotela, podbiegła i złapała za kopertę. Nie dałem jej sobie wyrwać.

– Albo mi zaufasz – powiedziałem. – Albo się wycofuję, Lee. Te fotografie są mi potrzebne do zebrania informacji i wywierania nacisku.

Przez chwilę lustrowała mnie niespokojnie wzrokiem, po czym puściła kopertę.



– Nie sądziłam, że je kiedykolwiek komuś pokażę. Ale będziesz bardzo ostrożny, Trav?

– Tak.

– Przyślę jutro Danę z pieniędzmi na wydatki. Dobrze?

– Doskonale.

– Błagam, pilnuj tych zdjęć. Jeśli pójdą gdzieś dalej, moja kariera jest skończona. A... jak na pewno zdajesz sobie sprawę, to jedyne, co mi pozostało.

Oczy jej się zaszklily, po policzku spłynęła jedna łza. Nie wyglądało to autentycznie. Tak jakby na plan wbiegł charakteryzator i wkropił jej coś do oczu. Czysta gliceryna. Może to był blef. Nauczyła się płakać niemal na zawołanie i to tak, że nadal wyglądała cudownie.

– Uważaj na siebie, Lee. Nie podoba mi się ton tego listu. Ludzie seksualnie zwichrowani często chcą być mieczem Boga, zabijając grzeszników. Postaraj się o naprawdę dobrą ochronę przez ten tydzień w Miami.

Odprowadziła mnie do drzwi. Przytrzymała moją rękę i cmoknęła w policzek, delikatnie, ufnie jak dziecko. Potem poszła ze mną korytarzem, zawołała Danę Holtzer, która siedziała nad jakimiś pismami w małym pokoju, i zostawiła mnie z nią. Dana wstała i poprowadziła mnie schodami w dół i dalej, aż do czekającej na zewnątrz limuzyny. Dostrzegłem, że szybko i z niepokojem rzuciła okiem na kopertę, którą niosłem, a na jej twarzy pojawił się niesmak.

Szofer miał na imię Martin. Kazała mu mnie odwieźć na przystań albo tam, gdzie sobie życzę. Było po piątej. Poprosiłem, żeby zatrzymał się przy jakimś telefonie. Zadzwoiłem do Gabe'a Marchmana w Lauderdale i powiedziałem, że mam problem. Zaproponował, żebym przyjechał z tym od razu.

Wiedziony dziwnym przeczuciem, z rodzaju tych, które mogą uratować ci życie, choć nigdy w żaden sposób nie da się tego udowodnić, kazałem Martinowi podrzucić się do centrum. Wszedłem do wielkiej drogerii i wyszedłem z drugiej strony, gdzie wsiadłem do taksówki.

Gabe Marchman był wspaniałym fotografem wojennym. Jego nazwisko widywaliście przy najbardziej znanych zdjęciach z Korei. Mina przeciwpiechotna strzaskała mu nogi. Podczas rekonwalescencji na Hawajach poznał i ożenił się z Doris, bardzo bogatą i bardzo piękną, drobniutką dziewczyną z chińsko-hawajskiej rodziny. Sam wygląda jak

zmasakrowany Abraham Lincoln i nadal chodzi o kulach. Mają sześcioro dzieci. Ponieważ Gabe nie może już się swobodnie poruszać, zajął się innym rodzajem fotografii. Ma jedno z najlepiej wyposażonych prywatnych laboratoriów fotograficznych na południu, zajmujące dobudówkę niemal tak dużą jak cały jego dom. Eksperymentuje ze zdjęciami i za spore pieniądze podejmuje się szczególnie trudnych zleceń. Jest zgryźliwym typkiem, uwielbianym przez wszystkich, którzy mają okazję go poznać.

Doris, kwitnąca w kolejnej ciąży, skierowała mnie do atelier. Siedzący tam Gabe coś do mnie burknął, a ja powiedziałem mu, że chcę dowiedzieć się jak najwięcej o zdjęciach, które przyniosłem. Znajdowaliśmy się w jego ciemni. Włączył więcej światła. Pomału usiadł na stołku i rozłożył na stole przed sobą w jednym rzędzie dwanaście fotografii z koperty.

Patrzył na nie tak obojętnie, jakby przedstawiały szczeniaki albo klomby w ogródkach.

– Co o nich wiesz? – spytał. – Technicznie rzecz biorąc.

– Wykonano je półtora roku temu w Kalifornii na filmie trzydzieści pięć milimetrów. Osoba, o którą chodzi, ocenia, że można je było zrobić jedynie z miejsca odległego o jakieś sto metrów, ale to tylko przypuszczenie. Ta osoba zobaczyła inny komplet odbitek ponad rok temu. Przedstawiały to samo, ale te wydają się mniej ostre i jakby wyblakłe.

Mrucząc coś pod nosem, wyjął duże szkło powiększające i zaczął bardzo uważnie oglądać zdjęcia jedno po drugim.

– Zapomniałem powiedzieć, że mój klient zniszczył negatywy – dodałem. – Na negatywach było widać więcej niż na większości tych odbitek.

Dalej badał fotografie. Wreszcie obrócił się twarzą do mnie.

– Dobrze, przyjmijmy, że wykonano je z odległości stu metrów. Myślę, że to prawdopodobnie był film Plus-X. Bardzo dobry teleobiektyw z ogniskową tysiąc milimetrów. Może f/6.3 Nikkor z podwójną soczewką. Jest mniej więcej tej długości, nieduży, waży półtora, może dwa kilogramy. Użyto go ze statywem albo został ustawiony na czymś innym. Przy filmie trzydzieści pięć milimetrów pozwala to na dwudziestokrotne powiększenie, więc ze stu metrów uzyskuje się efekt jak przy normalnej soczewce z czterech i pół metra. Te trzy zdjęcia to jedyne, gdzie na odbitce jest pełen kadr. Teraz, jeśli

chciał mieć tylko połowę ujęcia, wygląda to jak robione z odległości dwóch, dwóch i pół metra od obiektu. I tak tu jest w większości. Tylko to wielkie zbliżenie zrobione jest z najwyżej jednej czwartej negatywu i przedstawia kobietę widzianą jakby z odległości mniejszej niż metr. Nieco gorsza ostrość. Ale jest niezła głębia i zdjęcia nie są poruszone. Tak że sto metrów kupuję. Jak na razie wszystko się zgadza?

– Tak.

– Przyjmując, że oryginalne odbitki zrobił ten sam gość co zdjęcia, to fachowiec. Świetnie nastawiony czas, ostrość. A kiedy wywoływał negatywy i robił odbitki, troszczył się o jakość. Widać, że pracował nad odpowiednim doświetleniem i nie potrafił się powstrzymać przed zadbaniami o kompozycję. Powiedziałbym, że musiał zrobić mnóstwo zdjęć, może kilkaset i wybrał najlepsze. Bardzo ostre, wyraźne, zrobił odbitki na dobrym błyszczącym papierze. Zaryzykowałbym twierdzenie, że to zawodowy fotograf, jeśli coś ci to pomoże. A potem jakiś partacz dobrał się do odbitek. Widzisz to rozjaśnienie tu i tu? To odbłask flesza od błyszczącego papieru. Facet zrobił zestaw nowych negatywów i odbitek. To kiepski papier i gość spartolił wywołanie, ale tamte odbitki były na tyle dobre, że i tak koniec końców wyszło nie najgorzej. Gość, który zrobił oryginały, nie byłby w stanie odwalić takiej tandety za drugim razem, nawet gdyby zabrał się za to w jakiejś motelowej klitce. Ale jak się ma znów negatywy, to takich kiepskich odbitek można zrobić, ile tylko dusza zapagnie. To, że twój klient zniszczył oryginalne negatywy, nie ma już teraz żadnego znaczenia. To pewnie ona. Jest na każdym ujęciu. Domyślam się, że to dla niej pracujesz.

– Tak. Zastanawiam się, czy mógłbyś teraz coś z tym zrobić.

– Tego się obawiałem.

– Czy dałoby się z tych zdjęć przygotować kolejny zestaw negatywów i odbitek, które będą nieco inne niż te?

– McGee, tak krawiec kraje, jak materii staje. Nie mogę przywrócić im pierwotnej jakości. Mogę podciągnąć nieco ostrość i zlikwidować te białe skazy, ale jak jest ziarno, to będzie.

Po wstępnych oporach zaczął się wciągać. Wziął specjalny aparat, na szerszy film, z dobrą rozdzielczością. Kiedy wywołał negatywy, Doris zaczęła wołać, żeby w czymś jej pomógł, więc powiesił filmy, żeby przeschły, i poszliśmy się napić. Opiekunka zaczynała szykować dzieci do snu. Starsze grzecznie przydreptały powiedzieć nam

dobranoc. Doris przyrządziła i podała tradycyjną chińsko-hawajską specjalność – steki, pieczone ziemniaki i zieloną sałatę z pomidorami i cebulą. Siedliśmy we trójkę przed dużym kominkiem, gdzie płonął niewielki ogień, i zreorganizowaliśmy Departament Stanu, uprościliśmy przepisy podatkowe, zburzyliśmy pół Florydy i odbudowaliśmy ją na bardziej zdrową i przyjazną dla człowieka modłę.

Potem zabraliśmy się z powrotem do pracy. Gabe wkładał negatyw do powiększalnika, wyświetlał go na maskownicy, ja mówiłem mu, co potrzebuję, a on wykonywał zadanie. Kawałkiem papieru zasłaniał twarz Lysy Dean, naświetlał zdjęcie dość długo, żeby uzyskać wyraźne portrety reszty sfotografowanych. W efekcie miałem czternaście dobrych do wykorzystania odbitek, na grubszym papierze. Niektóre, przedstawiające więcej osób, zostały zdublowane, za każdym razem nieco inaczej, aby kolejno każdego dobrze wyeksponować.

W czasie tej obróbki zdjęcia jakoś przestały szokować. Liczyło się tylko właściwe doświetlenie, ostrość, wydobycie rysów twarzy. Gabe włożył odbitki do swojej szybkiej suszarki, a potem wyprasował na płasko. Obejrzałem je dokładnie pod lampą. Twarz Lysy Dean została ocenzurowana. Gabe starannie zebrał negatywy i odbitki testowe, które nie wyszły, jak należy, i wszystko mi oddał. Spieraliśmy się co do honorarium, ja starałem się zaproponować więcej. W końcu stanęło na stu dolarach. Doris poszła już spać.

Pokuśtykał ze mną do drzwi i wyszliśmy razem. Noc była zimna i wietrzna.

– Wybierasz się w małą podróż, jak sądzę – powiedział.

– Tak.

– To nie mój interes, ale pewnie ktoś zrobił się zbyt pazerny.

– Zwykle tak bywa.

– Uważaj na siebie, Trav. Jeśli taka bestyjka uzna, że jakimś wyjściem byłoby zepchnięcie cię w przepaść, to nie zawaha się ani chwili. Interesująca buźka, ale to nie jest dobra twarz.

Nadjeżdżająca taksówka zwolniła, kierowca poświecił na numer domu. Skręcił w podjazd. Kiedy się obejrzałem, zobaczyłem, że Gabe nadal stoi na progu.

## 4

Kiedy dochodziłem do jachtu, zauważyłem, że światło jeszcze się pali, a było już po jedenastej. Drzwi do mesy były zamknięte. Otworzyłem je i wszedłem. Skeeter spała mocno, z twarzą wtuloną w żółtą kanapę, z jedną ręką zwisającą do podłogi. Wciąż miała na sobie swój workowaty szary kombinezon. Wszędzie były porozrzucane rysunki z Quimbym. Mądre, zabawne, świetne. Patrzyłem na nie z zachwytem. Na środku podłogi leżała duża koperta z naklejonymi znaczkami i liścik do mnie.

*Co za PODŁA mysz. Doprowadziła mnie do szafu. PROSZĘ, zapakuj ją do tej koperty. Wszystko zważone i jak trzeba, PROSZĘ, zaklej tylko kopertę i pobiegnij z tym na pocztę. Lotnicza SPECJALNA mysia przesyłka. Naprawdę musiałam się przespać, bo inaczej bym UMARŁA!!!!*

Popatrzyłem na nią z góry. Typowe. Nie wiadomo, ile czasu nie spała i nie jadła. Perfekcyjniści starający się dotrzymać terminu potrafią dać sobie nieźle w kość.

Przeszedłem na tył łodzi i schowałem nieprzyzwoite zdjęcia w zamaskowanym sejfie. Może spec nie potrzebowałby całej nocy, żeby go otworzyć, ale najpierw musiałyby poruszyć niebo i ziemię, żeby go znaleźć. Pozbierałem Quimby'ego, zalepiłem kopertę i wyłączyłem jedną lampę.

Skeeter poruszyła się i uniosła swoją zaspaną lalkowatą twarz. Popatrzyła dokoła wielkimi oczami jak z guzików; delikatne naelektryzowane włosy sterczały we wszystkie strony.

– Kóá dzina? – wymamrotała.

Przykucnąłem przy kanapie.

– Jadłaś coś?

– Co? Jeść? Mmm... nie.

Znałem te problemy. Żyłem z nimi. Poszedłem do kambuza, wziąłem puszkę zupy pieczarkowej, otworzyłem, zagrzałem i nalałem parującą do kubka z dwoma uszami. Skeeter znów odpłynęła.

Posadziłem ją i podałem jej kubek do rąk. Kiedy byłem pewien, że pomalutkę wypije zupę, wyszedłem, zaniósłem Quimby'ego na pocztę i wrzuciłem do skrzynki na przesyłki lotnicze.

Kiedy wróciłem, pusty kubek leżał na podłodze, a Skeeter znów spała. Wziąłem ją na ręce i zaniósłem do gościnnego pokoju. Ta zwariowana dziewczyna jest lekka jak piórko, pomyślałem. Nagle, zamiast ją położyć, w jakimś dziwnym odruchu samotności usiadłem na łóżku, tuląc ją do siebie. Z daleka widać było blade światła portu. Woda uderzała delikatnie o burty, trzeszczały cumy.

Objęła mnie za szyję.

– A myślałam, że z tym skończyliśmy – powiedziała.

– I skończyliśmy. Sądziłem, że śpisz. Śpij.

– Do licha, przecież spałam. I co to za smutna mina? Obudził mnie ten czuły nastrój.

– Chyba chciałem się ciebie przytrzymać. To wszystko. Śpij.

– Po co chciałeś mnie trzymać? Boże, Travis, nieźle sobie dopiekliliśmy nawzajem i przeboleliśmy to dawno temu.

– Czemu ty zawsze chcesz wszystko wiedzieć? To jeden z twoich problemów.

– Musisz mi powiedzieć, bo inaczej nie zasnę, dlatego.

– No dobrze. Nie mam zbyt wielu złudzeń. Ale właśnie trafiłem na tak straszne zepsucie, że... nie, nie jestem zszokowany... tylko smutny.

– Dziewczyna zepsuta do szpiku kości?

– Nie wiem. Ale to rysztoł. Śpij już.

Umościła mi się wygodniej na kolanach, objęła mnie i wtuliła twarz w moją szyję. Zasnęła prawie natychmiast. Jej ręka opadła bezwładnie. Oddech stał się głębszy.

Pewnie to może wydać się wzruszające. Tak wielka ufność. Ciepło w ramionach. Tak jakby kot drzemał ci na kolanach, czując się całkowicie bezpieczny.

Trzymanie w ramionach czegoś żywego, ciepłego, pogrążonego we śnie jest jak dotyk świeżej wilgotnej ziemi w upalnym słońcu. Pokrzepiające.

Po jakimś czasie wpadłem na pomysł, że jako dobry przyjaciel powinienem wyłuskać ją z tego jej kombinezonu i położyć pod kołdrę. Miły gest, pewnie. Oto jak McGee oszukuje sam siebie.

Otrząsnąłem się lekko, jak pies po wyjściu z wody. Przez ten krótki czas, kiedy było dobrze, zanim zaczęliśmy się głęboko ranić, odkryłem,

że to smukłe drobne ciało jest zadziwiająco silne, osobliwie doskonałe. Teraz byłem zmęczony, powinienem iść spać.

Podniosłem ją więc i postawiłem na nogach, aż złapała równowagę.  
– Co do diabła! – ofuknęła mnie.

Pocałowałem ją, klepnałem po pupie i życzyłem, żeby spała smacznie. Usłyszałem rozsuwany zamek błyskawiczny, jeszcze zanim zamknąłem za sobą drzwi.

Brałem prysznic z dziwnym uczuciem, że zmywam z siebie pot i olejek do opalania, które przyłgnęły do mojego ciała na zalanym słońcem tarasie prawie pięć tysięcy kilometrów stąd.

Włożyłem szlafrok i wyszedłem na pokład zapalić przed snem. Nabiłem aromatycznym irlandzkim tytoniem sfatygowaną fajkę marki Comoy. Przysiadłem na relingu. Wiatr ustał, ale nadal było słychać niekończący się szum fal uderzających o brzeg. Trochę dalej zabawa w domu na wodzie Tygrysów z Alabamy miała się ku końcowi. Dobiegło mnie stamtąd tylko parę dziewczęcych pisków, ktoś kiepsko grał na bongosach. U Meyera było ciemno.

Idź, pochwal się chłopakom w szatni, McGee. Byłeś z Lysą Dean, a ona miała na sobie te obcisłe jak skóra portki i było tam to cholernie wielkie łóże. Uwiesiła się na mnie, wzdychała. Dalej, McGee. Dawaj!

Ludzie, kiedyś jechałem na rowerze bez trzymanki, trafiłem na kamień i zdarłem sobie z pół metra kwadratowej skóry z paru bolesnych miejsc. A innym razem wygrałem darmowe lekcje tańca u Arthura Murraya, bo potrafiłem powiedzieć bez namysłu, co było w 1776 roku.

• • •

Kiedy wstałem rano, Skeeter już wyszła, zostawiając po sobie nieposłane łóżko i pusty dzbanek po kawie. Ale przy zlewie położyła rysunek. Szczupły szczur, bardzo podobny do mnie, trzymał na rękach uśpioną myszkę całkiem jak Skeeter. Podpis głosił: *Niepoprawny szczur tym razem oszczędził niewinną ofiarę. Podejrzenie – niedobór witamin.*

Po śniadaniu zadzwoniłem do niej. Powiedziała, że dziękuje, w jej mieszkaniu pachnie już dużo lepiej.

– McGee – dodała. – Chyba stajemy się przyjaciółmi. Całkiem nieźle, nie sądzisz?

– Na innych zasadach jesteś zbyt niebezpieczna. Co to za żarty z tymi witaminami?

– Chyba już spałam. Zaczęłaś ciężko dyszeć. I nagle, hop! Na nogi, dziewczyno. I wyparowałaś, jakbyś startował w sprincie.

– Przyjaciołom należy się fair play, Skeet.

– E, tam. Nie wiem. Nie jestem pewna. Byłeś smutny, a ja mam kompleks plastra. Może to po prostu kobiece. Przerzuciłam na siebie odpowiedzialność, zasypiając. W każdym razie byłam potwornie zmęczona.

– Quimby to świetna mysz.

– Trav, kochanie, zamierzam pospać trzy dni, a potem możesz mnie zabrać na ryby.

– Umowa stoi – zgodziłem się.

Odłożyła słuchawkę. Przykre, że był między nami jakiś dziwny seksualny antagonizm, który zmuszał nas do niszczenia się nawzajem. Musieliśmy dopiec sobie do żywego, by przekonać się, jak to bardzo boli. I bolało często. Nie da się tak żyć. Ale można nauczyć się nieźle żyć bez tego.

• • •

O jedenastej, wytworna i opanowana jak wrogi dyplomata przekazujący ultimatum, pojawiła się Dana Holtzer z pieniędzmi. Pięć tysięcy gotówką. Podsunęła mi rachunek do podpisania. Przypominał list intencyjny. Pieniądze były przeznaczone na *wydatki związane ze zbieraniem informacji do filmu na razie bez tytułu. Honorarium zostanie ustalone później...*

Najwyraźniej miałem do czynienia z firmą o nazwie Ly-Dea Productions. Holtzer dała mi kopię umowy. Siedziała wyprostowana na wyściełanej klapie jednego ze schowków znajdujących się pod ścianą mesy. Ubrana w dopasowany granatowy kostium z plisowaną spódnicą i śnieżnobiałą bluzką, nie miała dziś kapelusza. Po jej wydętych wargach i wyczekującym wyrazie uważnych, przenikliwych ciemnych oczu widziałem, że nie jest skłonna do ustępstw. Gdybym nie zobaczył jej reakcji na mysz Skeeter, dałbym sobie z nią spokój.

– To ze względów podatkowych – wyjaśniła.

– Oczywiście – powiedziałem i podpisałem jej egzemplarz umowy.



Szybko złożyła go i schowała.

Zastanawiałem się, czy cokolwiek jest w stanie zburzyć ten profesjonalny spokój. Spodziewałem się, że zaraz wstanie i opuści pokład, stukając obcasami, ale najwyraźniej miała inne plany. Mimo to chciała, żebym to ja wykonał pierwszy ruch. Domyślałem się, dlaczego nie jest mną specjalnie zachwycona. Po prostu ufa tylko wielkim firmom z komputerami w klimatyzowanej piwnicy, podpowiadającymi innym maszynom metody działania. Lysa Dean miała wielki problem. A w zaistniałej sytuacji powinna się zwrócić do szefa FBI, Johna Edgara Hoovera, a nie jakiegoś wycirucha z przystani, cygana mieszkającego na łodzi, rozlazłego snajpera, który nie ma dostępu do szybkich komputerów. Panna Holtzer widziała we mnie tylko kolejny kłopot. Moje ubrania niegdyś w kolorze khaki spłowiały na jasny beż, ze znoszonych mokasynów wystawały palce, a niebieska koszula była przetarta na łokciach. Siadłem więc tylko na fotelu, przewieszając przez jedno oparcie nogę, i przypatrywałem się jej łagodnie.

Znosiła to dzielnie i dość długo, a potem w górę od szyi na jej policzki powędrował rumieniec.

– Panna Dean powinna to panu powiedzieć – zaczęła.

– Co takiego, moja droga?

– W przypadku pańskich obiekcji mogłaby to dużo lepiej wytłumaczyć. Agencja już wysłała kompetentną dziewczynę, która czasowo przejmie moje obowiązki przy panie Dean. Mam ją wprowadzić w sprawy dziś wieczorem.

Nabrała głęboko powietrza.

– Panna Dean skierowała mnie do pracy nad tą sprawą razem z panem, panie McGee.

– To absurd!

– Niech mi pan wierzy, to nie był mój pomysł. Ale, szczerze mówiąc, będzie to miało swoje dobre strony. Jestem w stanie skontaktować się z nią natychmiast o każdej porze dnia i nocy. Może będzie pan potrzebował jakichś dodatkowych informacji o niej albo jej przyjaciółach czy osobach, z którymi pracuje. Pewnie będę też mogła zdjąć panu z głowy różne drobiazgi, jak załatwianie biletów, hotelu, prowadzenie notatek, rozliczenia finansowe. Panna Dean czułaby się... pewniej, gdybym panu towarzyszyła.

– Pracuję sam, Dano. I nie potrzebuję żadnej sekretarki, naprawdę. Nie wiedziałbym, co robić z osobą drepczącą za mną z notesem i

aktami. Przy takim zadaniu często muszę... udawać, że jestem kimś, kim nie jestem.

– Potrafię się dostosować i bywam dość pomysłowa, panie McGee.  
Wstałem.

– Ale to nie pani profesja. Może się zrobić naprawdę gorąco, jeśli w ogóle uda mi się do czegoś dotrzeć.

– Zgodziłam się na prośbę panny Dean z jednym zastrzeżeniem. Muszę pana spytać, czy... czy został pan wynajęty, żeby kogoś zabić?

Popatrzyłem na nią zaszokowany.

– Słucham?

– Takiego ryzyka bym się nie podjęła.

Usiadłem i zacząłem się śmiać. Przeczekała to w milczeniu, z kamienną twarzą.

– To dla mnie wystarczająca odpowiedź – rzuciła, kiedy się uspokoiłem. – Musiałam zapytać. Muszę wiedzieć, co ryzykuję.

– Panno Holtzer, nie wiem, czy wytrzymam to nieustanne potępienie z pani strony.

– Co pan ma na myśli?

– Wiem, że zobaczyła pani te zdjęcia przypadkiem, te zostawione w recepcji w The Sands, i że chciała pani natychmiast rzucić pracę. W życiu wiele się dzieje i czasem dzieje się coś nie tak.

W jej ciemnych oczach pojawił się groźny błysk.

– Naprawdę?

– Nie zauważyła pani?

Zamyślona, wyjęła z torebki papierosa, nacisnęła zapalniczkę i wydmuchnęła smugę dymu w moim kierunku.

– To, co panu teraz powiem, to oczywiście nie pański interes. Ale myślę, że powinniśmy od początku trochę lepiej się rozumieć. Moje życie osobiste pozostaje poza sferą jakichkolwiek dalszych dyskusji. W mojej pracy liczą się umiejętności, takt, ogromna energia, inteligencja i całkowita lojalność. Sprzedaję ten pakiet Lysie Dean za piętnaście tysięcy dolarów rocznie. Skoro zostałam przydzielona do pana, dostanie pan ten sam zestaw. Kiedy zobaczyłam, co to za zdjęcia, obejrzałam je, żeby ocenić, na ile są groźne. Przeczytałam list. Dla mnie oznaczało to, że stawianie na Lysę Dean może być nie tak dobre jak przedtem. Martwiłam się tym wcześniej, kiedy brałam udział w tamtej trzynastotygodniowej szaradzie.

Zauważyłem, że jej ręka lekko drży, kiedy unosiła papierosa do ust.

– Jestem mężatką, panie McGee. A może byłam. Mój mąż chorował na padaczkę. Zdolny pisarz, zrobił też kilka udanych rzeczy dla telewizji. Małżeństwo z nim łączyło się z wkalkulowanym ryzykiem. Mieliśmy dziecko, syna. Z początku wydawał się całkiem normalny. Potem stopniowo przekonaliśmy się, że nie rozwija się jak inne dzieci. Jedynym rozwiązaniem był dom opieki. To nie miało związku z chorobą męża. Po oddaniu synka musieliśmy spróbować się jakoś od tego wszystkiego oderwać. On nigdy nie będzie w stanie nas, czy w ogóle kogokolwiek, rozpoznać. Bill sprzedał coś za spore pieniądze. To była naprawdę piękna podróż, na ile może tego oczekiwać dwoje wyczerpanych emocjonalnie ludzi. Pozbieraliśmy się trochę i mogliśmy wracać do domu. Wieczorem zatrzymaliśmy się gdzieś przy drodze na kawę. Nie piliśmy alkoholu. Bill nagle dostał ataku padaczki. Nigdy nie trwało to długo, ale wyglądało dramatycznie. Był tam jakiś policjant po służbie. Pomyślał, że Bill wpadł w pijacki amok, i strzelił mu w głowę. Nie zabił go. Bill leży w śpiączce, panie McGee, podłączony do rurek do karmienia, odprowadzania moczu, nacierany spirytusem, żeby nie zgnić od odleżyn. Z punktu widzenia medycyny istny cud, oczywiście. Wydarzyło się to cztery lata temu. Potrzebuję tych piętnastu tysięcy dolarów. To ledwie starcza dla mnie i moich bliskich. Jeśli Lysa Dean ma skończyć w ryszotku, moim obowiązkiem jest odejść od niej, zanim to się stanie, i poszukać podobnie dobrze płatnej pracy. Mogę takiej nie dostać, jeśli będę w jakikolwiek sposób zamieszana w skandal. Tak, panie McGee, życie potrafi od czasu do czasu płatać nam figle.

– Co mogę powiedzieć?

– Oczywiście, nic. Pomyślałam, że lepiej, aby wiedział pan to wszystko, zanim powie pan więcej rzeczy, których potem będzie pan żałował, i tyle. Nie uraził mnie pan. Tak naprawdę nie jestem pewna, czy cokolwiek może mi jeszcze sprawić przykrość. Przepraszam, że to taki melodramat. Nie jestem taka... zadufana w sobie, żeby moralizować. Lee pozwoliła sobie na straszną głupotę. Jestem zgorzonna tymi zdjęciami, bo są wulgarne. I są dla mnie zagrożeniem. Jeśli nie uda się panu wypłatać jej z tej afery, będę musiała od niej odejść i myślę, że ona to wyczuwa.

– Może na coś się tu przydasz.

– Dziękuję.

– Drinka?

Jej uśmiech był dyskretny, idealnie uprzejmy i całkowicie automatyczny.

– Odrobinę burbona, poproszę, jeśli pan ma. Z mnóstwem lodu i wody.

Nie sędzę, żeby naprawdę miała ochotę się napić, ale ja musiałem się jakoś wziąć w garść, bo chętnie odgryzłbym sobie język. Dostrzegłem zimny dystans, odgadywałem tłumione potępienie. A ona była po prostu wypalona. Nastąpiło zwarcie, we wspaniałej maszynie poszedł bezpiecznik i wszystko trafił szlag. Spadł na nią ciężar, który będzie musiała dźwigać przez resztę życia. Czuję się jak gówniarz, który wygłupił się, opowiadając świński dowcip w towarzystwie dorosłych.

Kiedy wróciłem z drinkami, stała do mnie tyłem na lekko rozstawionych nogach, wyprostowana, z dłonią zaciśniętą w pięść opartą na biodrze, z przechyloną głową, zapatrzona w obraz.

– Podoba ci się?

Odwróciła się szybko, z gracją.

– Bardzo.

– Syd Salomon. Mieszka w Sarasocie. To z serii poświęconej Bahamom, nad którą pracował parę lat temu.

– Świetny obraz. Jesteś kolekcjonerem?

– Okazjonalnie. Mam na pokładzie może pięć ciekawych rzeczy, a z kilkanaście schowanych. Co jakiś czas zmieniam ekspozycję.

Wzięła mały łyk.

– W porządku?

– Tak. Dziękuję. A ty co pijesz? Co to?

– Ostatnio gin Plymouth z lodem i dwiema kropelkami wódki.

Niemal usłyszałam kliknięcie, kiedy to zakonotowała. Zyskałem specjalistkę od robienia mi drinków.

Wróciła do obitej tapicerką skrzyni i usiadła.

– A tak przy okazji, moje wydatki nie będą finansowane z tego, co ci przyniosłam. Czy jest coś, co mogłabym zrobić dzisiaj? Nie mam specjalnie spraw zaległych, a ta dziewczyna pojawi się dopiero za jakiś czas.

Zostawiłem ją i poszedłem do sejfu po kopertę. Zamknąłem z powrotem zdjęcia Lysy Dean, a wziąłem tylko te, które zrobił dla mnie Gabe. Pokazałem je Danie. Popatrzyła na pierwsze trzy, a potem na mnie z lekkim zdziwieniem i jeszcze słabiej dostrzegalnym uznaniem.

– Zleciłeś to komuś czy sam to zrobiłeś po wczorajszym spotkaniu?

– Załatwiłem to.

– Całkiem sprytnie. Rozumiem, myślę, że wiem, co planujesz. Te nie stanowią dla niej zagrożenia. A tamte... Czy są bezpieczne?

– Tak.

Poczekaliśmy, aż przejrzy wszystkie i je odłoży.

– Czy mogłabyś coś zapisać?

Natychmiast pojawił się notes, złote pióro i wyraz skupienia na twarzy. Byłem pod wrażeniem. Podałem jej pełne imię i nazwisko Gabe'a oraz jego adres.

– Wypisz czek na sto dolarów i wyślij mu za obróbkę fotograficzną. Książeczka czekowa jest tam w biurku. Sprawdź, czy uda ci się zdobyć kontakt do Carla Abelle'a, jest najprawdopodobniej instruktorem narciarskim w schronisku Mohawk w Speculator, w stanie Nowy Jork, dawniej pracował w Sun Valley. Zadzwoń do niego i porozmawiaj tak, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Jeśli tam jest, sprawdź, jak można najszybciej się tam dostać, i zrób dla nas rezerwację na wtorek.

– Mamy zatrzymać się w schronisku?

– Zostawmy decyzję na później. Najpierw musimy sprawdzić, czy on tam jest. Potem zobacz, czego można dowiedzieć się na temat państwa M'Gruderów. Mogą mieszkać w Carmel. On jest zapalonym żeglarzem. Bierze udział w regatach na oceanie. To dość wąskie środowisko, nie powinno więc być trudno.

Podszedłem, usiadłem obok i podałem jej swoje notatki.

– To nazwiska i numery wszystkich graczy. Z tego, co ona pamięta.

Pokazałem jej ich na zdjęciach.

– Jasne?

– Tak jest, proszę pana.

– Tak, Trav. Możemy być na ty, Dano?

– Oczywiście, Trav.

– Kiedy będziesz wolna?

– Tak naprawdę dziś wieczór, około północy. Ta nowa dziewczyna wprowadzi się na moje miejsce do Sultana w Miami Beach. Zamelduję się tu więc w poniedziałek rano. O dziewiątej?

– Niech będzie o dziesiątej. Albo przyjedź od razu dziś wieczorem, kiedy skończysz. Jest tu dodatkowa kajuta. Z zamkiem w drzwiach.

Skinęła głową.

– Tak byłoby prościej. Z zamkiem czy bez, Trav, mam nadzieję, że z tym jednym nie będę miała problemów, a gdyby zdarzyło się inaczej, to wiem, jak sobie poradzić.

Podszedłem do biurka i rzuciłem jej zapasowy klucz. Złapała go zręcznym ruchem. Wyjaśniłem, że to na wszelki wypadek, gdybym już spał, kiedy ona się pojawi. Oprowadziłem ją. Powiedziała, że będzie jej tu bardzo wygodnie. Cieszyłem się, że w porannym szale porządków zmieniłem pościel na zbarłożonym przez Skeeter posłaniu. Dana poszła do kambuza, opłukała swoją szklankę i postawiła na ociekaczu. Potem usiadła przy biurku i wypisała czek dla Gabe'a. Zanotowała wydatek w moich rozliczeniach i podała mi czek do podpisu.

– Może chciałbyś, żebym zdeponowała na twoim koncie część tej gotówki? Zapisałam sobie twój numer bankowy.

– Połowę z tego, chyba tak. Dziękuję. Przypomnij mi o tym jutro.

• • •

Spałem, kiedy przyjechała. Usłyszałem cichy dźwięk mojego dzwonka ostrzegawczego. Daje znać, kiedy ktoś wchodzi na pokład. Jeden sygnał. To wystarczy. Nie znoszę niemiłych niespodzianek. Zostawiłem dla niej zapalone światło. Z bronią w rękę, nagi, podkradłem się do drzwi, uchyliłem je na parę centymetrów i wyjrzałem z ciemności do mesy. Zobaczyłem, jak Dana sobie otwiera, sięga do tyłu po dużą walizkę i cicho wchodzi z nią do środka. Było dziesięć po pierwszej. Zamknąłem drzwi i wróciłem do łóżka.

Nie hałasowała. W szczelinie pod drzwiami widziałem światło, potem usłyszałem ciekącą za ścianą wodę, po chwili promień pod drzwiami zgaśł. W sąsiedniej kajucie delikatnie kliknął wyłącznik. Cisza nocna. Z jakiejś łodzi w oddali dobiegały ledwie rozpoznawalne dźwięki muzyki. Warkot przejeżdżającej drogą ciężarówki. Gdzieś w oddali przeleciał samolot.

Kobieta na pokładzie. Zupełnie niepodobna do wszystkich tych, które potrafię sobie przypomnieć. Twarda sztuka. Wielu ludzi umie walczyć dzielnie, kiedy jest choćby cień nadziei. Niewielu wytrwa, kiedy nie ma żadnej. Zwierzę ludzkie jest z natury samolubne. Ani dotknięte niedorozwojem dziecko, ani stracony dla świata mąż nie mają pojęcia, jaką opieką są otoczeni. Społeczeństwo nie pozwoliłoby

im zginąć, gdyby ona przestała ich utrzymywać. Nikt by jej nie winił. Ale ona ma tak silne poczucie odpowiedzialności, że nie wyobraża sobie tego inaczej. Oni są jej rodziną. Nie ma wyboru. Życie ją wypaliło, ale to, co pozostało, ma w sobie o wiele więcej kobiecości niż Lysa Dean.

Nocne myśli o Danie Holtzer wprawiły mnie w przygnębienie. Samoocena to wysypka niepewnych emocjonalnie. Czułem się tak, jakbym przez wiele lat miał zbyt często do czynienia z niewyobrażalnie głupimi ludźmi. McGee cwaniak. Tuczyłem się na ich problemach, a potem brałem pieniądze i jakiś czas dryfowałem, odbierając sobie wcześniejszą emeryturę w ratach. Niespecjalnie uczciwy i budujący facet.

Ale, myślałem, jakie mam wyjście? Nie jestem stworzony do pracy od dziewiętej do siedemnastej. Nie dam sobie wmówić, że sztywne godziny to najlepszy model, bo poddaje się mu niewolniczo większość ludzi. Nie potrafię być porządnym konsumentem, z dwójgiem i trzema dziesiątymi dziecka, siedmioma dziesiątymi nowego auta rocznie, który po godzinach kombinuje z sekretarkami. Nie jestem dość zachłanny. Lubię swoją łódź, płyty i obrazy, i te różne małe zbiory, które budzą wspomnienia, ale równie dobrze mógłbym stać na brzegu i patrzeć, jak wszystko idzie na dno, i czułbym, że to ironia losu, i tylko trochę byłoby mi żal. Żadna prawdziwa amerykańska żona nie ścierpiałaby takiego podejścia.

Zasnąłem nastawiony bardzo krytycznie do niespokojnego ducha, zwierza, który nazywa się Travis McGee, a o dziewiętej rano obudziło mnie wpadające zza małych zmechaconych zasłonek kajuty jasne światło, zapach kawy i jakaś cicha krzątanina w kambuzie.

Wziąłem prysznic i poszedłem tam, by zobaczyć ją pogodną i bezosobową jak kelnerka w dobrym hotelu. Powiedziała, że spała dobrze, dziękuje. Jaki piękny dzień. Przestało wiać. Jest dużo cieplej.

Stwierdziła, że zaryzykowała usmażenie jajek. Zapewniłem, że jajecznicą mi odpowiada. Sok był zimny, kawa aromatyczna, bekon chrupki, jajka nie za bardzo ścięte. Podła nam wszystko do wnęki. Przyjemnie było patrzeć na jej ruchy. Były nieśpieszne, ale pewne; jeden przechodził w drugi bez wahania, i wszystko zostało wykonane niesamowicie szybko.

Miała na sobie szare wełniane spodnie i żółty sweter. Wyglądała w spodniach lepiej, niż przypuszczałem, choć nie idealnie. Mocne wcięcie

w talii i trochę zbyt krągłe biodra nie prezentują się w takim ubiorze najlepiej. Venus z Milo w elastycznych portkach – to by dopiero był niewypał. Takie rurki świetnie pasują do patykowatych, dopiero wchodzących w okres dojrzewania nastolatków albo kogoś tak perfekcyjnie odchudzonego jak Lysa Dean. Ale pupa dojrzalej kobiety wygląda w spodniach trochę żałośnie. Dana nie mogłaby sobie pozwolić na noszenie czegoś w rodzaju elastycznych legginsów, wybrała model pięknie skrojony, i słusznie. Podwyższony stan sprawiał, że nogi wydawały się dłuższe. A ona jeszcze chytrze włożyła sandały na kilkucentymetrowych obcasach, żeby dodać figurze lekkości.

Kiedy jedliśmy śniadanie, zrozumiałem, dlaczego jest tyle warta dla Lysy Dean. Umiała zręcznie znaleźć się w każdej sytuacji i działała, nie robiąc wokół tego szumu. Nie odnosiło się wrażenia, że chce się komukolwiek przypodobać. Miała swoją godność.

Opowiedziałem jej o mojej łodzi i o tym, jak ją zdobyłem. Tę historię mam nieźle przeciwioną i choć nie spodziewam się nigdy, że ludzie, słysząc ją, pospadają ze stołków, oczekiwałem, że bardziej ją rozśmieszy.

Podczas kawy i papierosa pojawił się mały notes.

– Udało mi się zadzwonić w kilka miejsc. Carl Abelle jest w schronisku Mohawk. Ma tam szkółkę narciarską na zasadach jakiejś franczyzy, prowadzi też sklep ze sprzętem narciarskim. Nie da rady się tam zatrzymać. Wszystkie pokoje zajęte. Na wypadek, gdybyś jednak chciał tam jechać w pierwszej kolejności, zarezerwowałam bilety na lot z Miami do Nowego Jorku. Bylibyśmy na miejscu jutro o czternastej piętnaście, potem przesiedlibyśmy się do samolotu, który ląduje o szesnastej dziesiątej na Utica-Rome. Stamtąd do Spectacular jest jakieś sto kilometrów ósemką, dobra droga.

– Co masz na myśli, mówiąc: „gdybym chciał jechać tam w pierwszej kolejności”?

– Zaczekaj, aż zreferuję ci wszystko. M’Gruderowie się rozwiedli. Jej nie zdołałam zlokalizować, natomiast on całkiem niedawno ożenił się powtórnie. Popłynął z nową żoną wzdłuż wybrzeża Pacyfiku do Acapulco. Mogą właśnie stamtąd wracać. Sądzę, że uda mi się dowiedzieć czegoś o byłej pani M’Gruder. Ale na razie, mając chwilę czasu, zasięgnęłam języka na temat Nancy Abbott. Z twoich notatek wynikało, że jej ojciec najprawdopodobniej jest architektem.



Sprawdziłam w standardowych źródłach danych i znalazłam na Zachodnim Wybrzeżu w San Francisco architekta Alexandra Armitage'a Abbotta. Mam tam przyjaciela, a właściwie to jeden z dawnych przyjaciół Billa, który zna tam wszystkich. Twierdzi, że architekt ma dwudziestoczteroletnią córkę o imieniu Nancy. Opis pasuje, to musi być ona. Dziewczyna ma za sobą jedno unieważnione małżeństwo i ciągłe problemy z alkoholem. Tyle z nią było afer, że rodzina chyba sobie odpuściła i spisała ją na straty. Mój przyjaciel popytał tu i tam i dowiedział się, że ona jest teraz na Florydzie, na dobrowolnym odwyku w Bastion Key. Ośrodek nazywa się Wyspa Nadziei. Znasz go?

– Dostarczyłem im kiedyś klientkę. Odwoziłem ją tam trzy razy, ale nie dała rady. Może prowadzi to nadal ten sam facet.

– Pan Burley? Sprawdziłam nazwisko.

– Tak, to on. Zrobił dla mojej przyjaciółki wszystko, co mógł. Ale jej i tak udało się pożyczyć samochód, którym wjechała potem w cyprysowy zagajnik z szybkością jakichś stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

– Zastanawiałam się... że skoro mamy ją tak blisko...

– Racja. Pojedziemy tam jutro. Odwołaj rezerwację na lot i nic nie zaklepuj, póki się z nią nie spotkamy.

– Masz auto?

– Jeśli można je tak nazwać. Kiedy wyszłaś ode mnie wczoraj, zastanawiałem się, co o tym wszystkim myślisz.

– Sądziłam, że postawiłam sprawę jasno.

– Chodzi mi o to, co myślisz o tym jako kobieta.

– A co to ma do rzeczy?

– Może pomogłoby mi w rozmowie z tą dziewczyną od Abbottów.

Zastanowiła się chwilę.

– Ujęłabym to może w ten sposób... Lee to nie łatwo ulegające wpływowi dziecko we mgle. Ma za sobą cztery małżeństwa oraz inne związki, w tym także takie niespecjalnie zdrowe. Zawsze jednak była dość ostrożna. Otwarcie prowadzi bogate życie seksualne i dobrze jej z tym, ale sytuacje uwiecznione na tych zdjęciach to coś zupełnie nie w jej stylu. Ktoś musiał ją w to jakoś wmanewrować. Na pewno czuła się z tym nieswojo i nadal ją to dręczy. Nie wiem, jak reagowały na to inne kobiety. Ale wydaje mi się, że jeśli chodzi o pakowanie się w podejrzane układy, Lee nie można porównywać z innymi kobietami.

– Co masz na myśli?

– Ona jest dużą inwestycją, Trav. Ma niewiele prywatności. Jest warta mnóstwo pieniędzy i zależy od niej los zbyt wielu ludzi. Nie mogą sobie pozwolić na to, żeby coś zepsuło jej opinię. Przywykłam myśleć o niej w ten sposób. Kiedy więc patrzę na te zdjęcia, to pod kątem ewentualnego zagrożenia. Tak jak na kłowna żonglującego bezcenną porcelaną. Ci faceci byli tego, oczywiście, świadomi. Niedostępna bogini nagle w zasięgu ręki, zmęczona i pijana, ociekająca potem i napalona. Przechwalają się, łapiesz? To roznosi się jak kręgi na wodzie, a mieli sporo czasu. Aluzje i plotki się kumulowały. Ona się tego boi, choć nic jej nie grozi, póki jakiś film nie okaże się klapą finansową. Wtedy zaczną się wątpliwości. Po co ryzykować?

– A jak pójdzie z tym nowym filmem, tymi *Wichrami losu*?

– Bardzo dobrze, jak sądzę. To rodzaj roli, w jakiej ona zawsze wypada doskonale. Kawy?

– Poproszę.

Kiedy mi dołała, zawahała się chwilę z pustym dzbankiem w ręce.

– Nie powiedziałaś nic o tym, jak byś chciał, żebym się ubierała, Trav. Pomyślałam... Wyobrażam sobie, że pomieszkiwały u ciebie różne kobiety. Budziłabym mniej podejrzeń, gdybym... miała bardziej sportowy styl.

– Świetnie sobie poradziłaś. Polegam na twoim wyczuciu.

## 5

W drodze do Bastion Key Dana zachwycała się moim dostojnym, archaicznym pick-upem. Wszyscy, którzy go znali, nazywali go panną Agnes. To jeden z największych starych modeli Rolls-Royce'a, a jeden z poprzednich właścicieli dawno temu, prawdopodobnie po kompletnym rozbiciu tyłu, sam przerobił go na półciężarówkę i polakierował opalizującym niebieskim lakierem. Wysoki, solidny wóz. Owszem, rozpędza się powoli, jednak jeśli osiągnie sto trzydzieści na godzinę, może sunąć tak cały dzień i jest niesamowicie cichy. Pali jak smok, ale do baku mieści się ponad sto pięćdziesiąt litrów.

Podobał mi się entuzjazm Dany. Przypominał mi jej reakcję na mysz Skeeter. Wiedziałem jednak, że muszę się pilnować i nie starać się jej czarować z nadzieją wydobycia głęboko skrywanego blasku.

Na Wyspę Nadziei trzeba skręcić z autostrady za Bastion Key w prawo, a potem pojechać drogą wysypaną muszlami aż do małej grobli i nią już bezpośrednio na miejsce. To nie jest luksusowy ośrodek. Stan Burley to mistrz nauki wychodzenia z nałogu. Zabudowania ośrodka składają się ze zdobytych okazyjnie przez niego baraków. On i garstka jego pracowników to niepijący alkoholicy. Jeśli ma miejsce, przyjmie każdego, a płaci się tyle, ile się może. Ma swoje teorie, które jemu się sprawdzają. Jakby wziąć szympansa o wzroście dwa metry dziesięć, ogolić i pomalować na różowo, miałyby się dość wierną kopię Burleya. Podopieczni, którzy wyszli z nałogu, regularnie przysyłają mu darowizny.

Zanim zdążyłem wyłączyć silnik, Burley już szedł do nas ze swojego małego przeszklonego biura. Było ciepłe, słoneczne wtorkowe przedpołudnie. Wody w zatoce mieniły się błękitem.

– Witaj, McGee – powiedział, wyciągając do mnie rękę i popatrując przychylnym okiem na Danę. Najwyraźniej brał ją za nową kandydatkę do kuracji.

Przedstawiłem ich sobie.

– Przyjechaliśmy, żeby porozmawiać z kimś z twoich gości, Stan – wyjaśniłem szybko. – Jeśli to możliwe. Z Nancy Abbott.

Powitalny uśmiech przygasł. Stan zagryzł wargę.

– Panno Holtzer, proszę poczekać chwilę w moim biurze. Jenny poczęstuje panią szklanką dobrej mrożonej herbaty.

Dana skinęła głową i poszła. Burley podprowadził mnie do drewnianej ławki, w cień.

– O co chodzi, Trav?

– Była zamieszana w coś mniej więcej półtora roku temu. Chcę zadać jej na ten temat parę pytań. Jest zdrowa?

Wzruszył ramionami.

– Nie pije, jeśli to ma jakieś znaczenie. Mamy ją tu od października. Nie powinienem ci o niej nic mówić. Ale tak się napracowałeś ze mną przy Marianne, Boże zmiłuj się nad nami. Dzielnie walczyliśmy i ponieśliśmy klęskę. Muszę ci powiedzieć, że ona jest tu na moją odpowiedzialność, ta Nancy. To nie miejsce dla niej, ale chyba już nigdzie nie byłoby dla niej ratunku. Przysłał cię jej ojciec?

– Nie.

– Emerytowana policjantka przywiozła tu tę małą w październiku. Upiła do nieprzytomności i skrajnie wychudzoną. Ważyła może ze czterdzieści kilo. Delirium tremens, drgawki. Obraz nędzy i rozpacz. Wtedy dostałem tysiąc i cały czas dostaję tysiąc miesięcznie z banku w San Francisco. Piszę dla nich sprawozdanie raz w miesiącu na temat stanu tej dziewczyny. Kiedy zaczęliśmy ją z tego wyciągać, była dla mnie zagadką. Poprosiłem znajomego lekarza o konsultację. Alkohol to tylko częśćka problemu. Ale tysiąc miesięcznie pozwala zaopiekować się wieloma innymi. Jestem starym cwaniakiem, znasz mnie.

– Co jej dolega?

– Fizycznie jest zdrowa jak rydz. Ma dopiero dwadzieścia cztery lata. Przez dziewięć lat piła, ostatnie pięć ostro tankowała, ale to nie dość, żeby ją zniszczyć. Ma problem, że tak powiem, natury psychicznej.

– Wariatka?

– Bóg mi świadkiem, że przy zdrowych zmysłach to ona nie jest. Trochę za szybko i zbyt brutalnie się za nią wzięli, wiesz, ci spece, przeświadczeni, że najlepszym środkiem na wszystko są elektrowstrząsy. Wyleczą stany lękowe i objawy depresji. Na ile mogą to oszacować, zaaplikowali jej dwadzieścia pełnych serii. To plus ataki

padaczki alkoholowej spowodowało nieodwracalne uszkodzenia. Nie kojarzy najlepiej. Nie radzi sobie z pojęciami abstrakcyjnymi. Wpadła w psychozę maniakalno-depresyjną. Może uda ci się z nią teraz porozumieć, bo jest akurat na fali wznoszącej, ale jeszcze nie w ekstremum. To dla niej dobry czas. Daje sobie radę w towarzystwie, jeżeli nie wymaga się od niej zbyt wiele. Niestety, niedługo zacznie szaleć. Agresja, nieopanowana nimfomania, tak straszna potrzeba picia, że mogłaby zabić dla jednego piwa. Potem udaje mi się ją uspokoić, ale zaraz leci na samo dno. Całymi dniami się nie odzywa i dopiero za jakiś czas zaczyna pomału znów stawać na nogi.

– A jak z jej pamięcią?

– Czasem dobrze, czasem ma luki.

Popatrzyłem na tę zmęczoną małą twarz i przypomniało mi się, jak mówił o Marianne. O miłości i destrukcji.

– Co spowodowało u niej taki stan?

– Co? Raczej kto. Ojciec. Uwielbiany, utalentowany, wpływowy ojciec. To była toksyczna rodzina. Biedna dziewczyna za bardzo przypominała swoją matkę, której ojciec nie cierpiał. Więc odrzucił też córkę, a ona nie pojmowała dlaczego. Podobnie jak Marianne dorastała w przekonaniu, że jest nic niewarta. Tak właśnie zaczynają się uzależnienia, panie McGee. Człowiek nie może znieść tego niezrozumiałego poczucia, że jest do niczego, i szuka sposobu, żeby znaleźć jego uzasadnienie. Ta mała odnajdowała je w seksie i alkoholu. Poczucie winy zachwiało jej psychiką. Niszczyła sama siebie. A elektrowstrząsy i padaczka alkoholowa dopełniły dzieła. Ma zrujnowaną psychikę. Gdzie może pójść? Teraz niewiele już da się dla niej zrobić. Równie dobrze może być tu jak gdzie indziej. Czasami bywa naprawdę urocza.

– Nie chcę jej denerwować.

– O co chcesz ją zapytać?

– Czy potrafi sobie przypomnieć parę nazwisk. Czy pamięta pewne zdjęcia.

– Zdjęcia?

Otworzyłem kopertę, wybrałem dwie fotografie i podałem je mu. Nachmurzył się, patrzył zmartwiony.

– Biedna mała. Wiesz, co ona w efekcie stara się powiedzieć? Kochaj mnie, kochaj. Odrzucona przez ojca, odrzucona przez młodego męża,

dziewczyna po spapranej aborcji, jako siedemnastolatka odsiedziała rok za potrącenie kogoś autem i ucieczkę z miejsca wypadku.

– Jak zareaguje na te zdjęcia?

– Trav, jej już nic specjalnie nie pomoże ani nie zaszkodzi.

– Będzie chciała ze mną rozmawiać?

– Na tym etapie jest bardzo otwarta. Może być nadpobudliwa, zacznie się śmiać. Nie wiem. To może przyspieszyć kolejną fazę cyklu, ale nie sądzę, żeby wyrządziło jej jakąkolwiek krzywdę.

– Czy powinieneś przy tym być?

– Chyba wydobędziesz z niej więcej sam. Kiedy jest w większym towarzystwie, próbuje być dowcipna. Nadmiernie się emocjonuje. Łatwiej porozumieć się z nią w pojedynkę. Boże, chłopie, to dopiero zdjęcia! Półtora roku temu? Podejrzewam, że już wtedy była w kiepskiej formie, ale tylko specjalista zorientowałby się, że coś jest nie tak. Teraz to widoczne dla każdego.

– Jak najlepiej się do niej odnosić, Stan?

– Bądź po prostu naturalny, serdeczny. Jeśli zacznie mówić coś od rzeczy, nakieruj ją z powrotem na to, co cię interesuje. Nie okazuj zdziwienia i nie śmiej się. My tutaj przyzwyczailiśmy się do Nancy, bo każdy pijak już wszystko widział i słyszał. Traktuj ją tak, jakby była... bystrym, uroczym dzieckiem o bujnej wyobraźni.

– A gdzie mogę ją teraz znaleźć?

Podprowadził mnie do biura i wskazał palcem.

– Obejdz jadalnię, po drugiej stronie zaczyna się ścieżka na plażę. Widziałem, że szła tam jakieś dwadzieścia minut temu.

• • •

Usłyszałem ją, zanim ją dostrzegłem na wąskiej składającej się bardziej z muszelek niż piasku plaży. Miała niski, wspaniały kontralt. Śpiewała, wkładając w to całą duszę, piosenkę z reklamy papierosów, o filtrze, aromacie, otwieranym jednym pchnięciem palca pudełku. Siedziała na kłodzie z palmowego pnia, jakieś trzy metry od końca ścieżki, na skąpanej w słońcu plaży. Kiedy ruszyłem w jej kierunku, usłyszała chrzęst muszelek pod moimi butami, zamilkła, odwróciła się i popatrzyła uważnie. Potem wstała i podeszła, witając mnie ciepłym,

ślicznym uśmiechem. Jej białe zęby kontrastowały z ciemną opalenizną twarzy.

– Witaj, witaj! – powiedziała. – Mam na imię Nancy. Jesteś jednym z nowych?

Ubrana była w bladoniebieskie bermudy i męską białą koszulę, której końce zawiązała nad pępkiem. Ciemne włosy zaplotła w warkocze. Była wysoka i gibka, o ciemnoniebieskich oczach. Po chwili wahania zdałem sobie sprawę, że przypomina mi Jane z najstarszych filmów o Tarzanie. Chodziła bosą, nie zważając na muszelki.

– Przyjechałem tylko z wizytą. Mam na imię Trav.

– Odwiedzasz Jackie? Już tak nie wymiotuje. Pewnie można byłoby ją zabrać do domu. Z wizytą.

– Szczerze mówiąc, przyjechałem do ciebie.

Od razu spochmurniała.

– On wiecznie tylko kogoś przysyła. Powiedz mu, że mam to gdzieś. To nie ma już dla mnie znaczenia. I nigdy nie będzie miało. Pieprzę go. Powtórz mu to.

– Nikt mnie nie przysłał. Po prostu znam paru ludzi, którzy znają ciebie. Byłem w okolicy i postanowiłem, że do ciebie zajrzę. Tylko tyle, Nancy.

– Jakich ludzi?

– Carla Abelle'a, Vance'a i Patty M'Gruderów.

Skrzywiła się i wróciła na zwałony pień. Ruszyłem za nią i stanąłem obok. Spojrzała na mnie spode łba.

– Tak, znam Carla. Silny w barach, słaby w głowie, wierz mi. Miał tę idiotyczną obsesję na punkcie idealnego orgazmu. Wyobrażasz sobie? Może myślał, że mnie to kręci. Przeklęty tchórz. Bał się nawet rozpalić ogień w tym szałasie. Boże, jak tam było zimno, w tych górach, a ciotka myślała, że ja cały czas jeżdżę na nartach. Podwędził klucz z recepcji. Płaciła mu pięćdziesiąt dolarów dziennie za prywatne lekcje. Zwalaliśmy wszystkie rzeczy na to legowisko. Co chciał osiągnąć? Powiedz! Albo dochodzisz, albo nie. Prawda? A ja prawie zawsze, choćby nie wiem jak byli szybcy za pierwszym razem. W zeszłym tygodniu, a może w zeszłym roku, starałam się przypomnieć sobie nazwisko Carla. Boże, jaki on był piękny na tych nartach. Kiedy wychodziliśmy z tej chatki, popychał mnie w zaspę i nacierał mi śniegiem policzki, żebym była zaróżowiona jak od świeżego powietrza. Potem prowadził mnie w dół, aż do schroniska, półprzytomną od tego

brandy, rozmarzoną, bujającą w obłokach. Ale czasem mówił kompletne bzdury. Ile wtedy miałam lat? Pewnie ci powiedział. Dziewiętnaście? Chyba tak. Coraz lepiej z moją pamięcią. Zapytaj Stana. On ci potwierdzi. Ale czy to ma jakieś znaczenie? Niektórych rzeczy lepiej nie pamiętać. Siadaj tutaj, tylko proszę cię, nie chcę rozmawiać o tych rzygowinach M'Gruderach. Nie muszę, prawda?

– Nie.

– Co tu masz?

– Zdjęcia.

– Mogę zobaczyć?

Położyła je sobie na kolanach. Obejrzała powoli z powagą jedno po drugim. Obserwowałam uważnie jej twarz. Wyjęła jedno na wierzch. Przeciągnęła kciukiem po plecach Sonny'ego.

– Spalony, spalony, spalony – wyszeptwała.

– Spiekł się na słońcu?

– O, nie. Uderzył w ścianę. Ten mercedes miał silnik ze sprężarką i specjalnymi wałkami rozrządu. Założyłam wielki czerwony kapelusz, żeby Sonny mógł mnie łatwo zauważyć. Siedziałam na murze przy parkingu podczas wyścigów. Ciągnęliśmy ze sobą to auto wszędzie, a ono spaliło go w Georgii. Koziółkowało i koziółkowało.

Pogładziła się po udzie.

– Sonny lubił, kiedy ubierałam się jak dziwka. Kupił mi wszystko. Wąskie krótkie spódniczki i obcisłe sweterki w jaskrawych kolorach, i kazał mi kręcić biodrami. Dumny jak kogut i podły jak wąż. Taki był Sonny.

Przesunęła kciukiem po jego sylwetce na fotografii.

– To ten tu. Sonny Catton. Zabrał mnie, kiedy impreza się skończyła. Byłam z nim może dwa tygodnie, stale mnie bił, za to, że znów coś wypłam albo że ktoś się do mnie podwalał, a czasem, kiedy tylko sobie coś przypomniał z tamtego balowania. Jak na tym zdjęciu tu. Ja z tym facetem. Jak on miał na imię? Cass? Cass jakiś tam. Rysował zabawne karykatury. Dał mi moją, ale zgubiłam. Wiesz, że pogubiłam wszystko, co kiedykolwiek miałam? Obrzydło mi jego wyżywanie się na mnie. Pojechałam do domu, a tam, słuchaj, mój oj...ojc...o... mąż mojej matki miał takie zdjęcia. Powiedział: uprzedź swoich przyjaciół, że transakcji nie będzie. Mogą opublikować to sobie w kronice towarzyskiej. Rany, ale mnie sprął po twarzy. Miał taką zaciętą minę. Pewnie zabolął go



widok zdjęć żony zabawiającej się z innymi. Żony! Słyszałeś to? Jestem jego c... c... có... córką. Wydumał sobie!

Przebiegł mnie dreszcz po karku.

– I co wtedy zrobiłaś, Nancy?

– Jesteś kolejnym lekarzem? Mam ich po dziurki w nosie. Byłam kobietą w wieku czternastu lat, a kiedy mnie na tym przyłapano, posłali mnie do pierwszego i widziałam, że też miałby na to ochotę, gdyby potrafił się odważyć. Pocił się i stale czyścił okulary, stale chodził wte i wewte. Wszyscy robią Bóg wie co z jąkania się, kiedy próbuję powiedzieć... o, jot, ce, i, e, ce. Chcesz mnie zbadać?

– Mam na imię Trav i nie jestem lekarzem.

– Trav. Trav, po co, do cholery, kazał ci przywieźć mi te zdjęcia? Nawet nie są takie same. Na tamtych było więcej mnie. Zaraz! A wiesz, kto to jest? Ta bez twarzy? Bardzo znana aktorka. Lysa Dean! Słowo daję, nie kłamię. Drobniotka, ale naprawdę piękna.

– Kto zrobił te zdjęcia?

– Skąd mam wiedzieć? Nie wiedziałam, że w ogóle ktoś coś pstrykał, dopóki nie weszłam do jego gabinetu, a on je tam miał. Dał mi pieniądze i znów dołączyłam do Sonny'ego. Byłam z nim długo. Chyba parę miesięcy. Wszędzie. Gdziekolwiek się ścigał. Pamiętam dzień, kiedy zginął, a potem tylko, jak jestem w szpitalu w Meksyku. Ktoś musiał mnie tam zawieźć, ale nie wiem kto. Sama tam raczej nie zawędrowałam, prawda? Ktoś podrzucił mnie w środku nocy na parking przed szpitalem, jak się później dowiedziałam. Miałam odoskrzelowe zapalenie płuc, dwa złamane palce, majaczyłam. Najwyraźniej złapałam gdzieś trypra. Kiedy byłam już w stanie im powiedzieć, kim jestem, wysłali telegram do... niego. Gdy tylko nadawałam się do transportu, wysłał po mnie ludzi i umieścił mnie w... Cienistej Ostoi? Górskim Zaciszu? Tak jakoś się to gównem nazywa. Jak możesz oczekiwać, że cokolwiek pamiętam. Nie pamiętam nawet, jak się tu znalazłam!

– Ale w jaki sposób te zdjęcia trafiły do twojego ojca?

– A skąd ja mogę wiedzieć? On oczywiście był przekonany, że ja i moi przyjaciele spreparowaliśmy to wszystko, żeby wyciągnąć od niego pieniądze.

– No i teraz jesteś tutaj. A to jest całkiem niezłe miejsce, Nancy.

– Chyba tak. Chyba mi się tu podoba. Czasami się strasznie denerwuję, a potem robię się smutna. Na długo. Całymi dniami w

głowie nucę sobie smętne melodie.

– Czy podczas tamtej imprezy ktoś mówił coś o zdjęciach Lysy Dean?  
Obróciła się do mnie wyraźnie zirytowana.

– Wiesz co? Przynudzasz z tymi zdjęciami. Nie. Nikt nic nie mówił.  
Nie widziałam aparatu fotograficznego. Skończmy z tym, dobrze?

Odłożyłem zdjęcia.

– Czemu jesteś taka wściekła na M’Gruderów?

– Nie chcę o tym mówić.

– OK.

– Wiesz, jesteś bardzo miły, Trav.

Uśmiechnęła się do mnie promiennie z niewinnym wyrazem twarzy i położyła dłoń na mojej.

– Dziękuję. Miła z ciebie dziewczyna.

– Jestem dziwką, kochanie. Pijaczką i dziwką. Mogę ci zadać jedno bardzo osobiste pytanie?

– Oczywiście.

– Co ty na to, żebyśmy poszli na chwilę w krzaki, skarbie?

Pociągnęła mnie za rękę szybko i mocno, starając się przycisnąć ją do siebie. Wyrwałem dłoń.

– To mnie uspokaja – jęknęła. – Proszę, najdroższy. Proszę, proszę, proszę.

Zerwałem się gwałtownie. Próbowwała mnie złapać i objąć, ale przytrzymałem ją za ramiona. Wtedy zgięła się wpół i polizała mi rękę.

Odepchnąłem ją.

– Nancy! Nancy! Przestań!

Zadrżała, uśmiechnęła się smutno i cofnęła.

– Facetom to nie robi różnicy. Dlaczego się opierasz?

– Muszę wracać. Miło było cię zobaczyć.

– Dziękuję. Przyjedź odwiedzić mnie znowu.

Zebrała się w sobie jak dziecko, które ma coś wyrecytować.

– Kiedy tam wrócisz, powiedz mojemu o-o... powiedz mu, że jestem grzeczna. Powiedz mu, że... mam dobre oceny.

– Oczywiście.

– Do widzenia.

Przeszedłem te parę metrów do ścieżki, a kiedy się obejrzałem i popatrzyłem na Nancy, podniosła zaciśniętą pięść.

– Zapytaj tę Patty M’Gruder, dlaczego mnie ciągle zamykała! – krzyknęła. – Spytaj tę pieprzoną sukę!

W połowie drogi do zabudowań przystanąłem i oparłem się o drzewo. Miałem nogi jak z waty. Zapaliłem papierosa, zaciągnąłem się i zaraz go wyrzuciłem. Stan Burley był w swoim małym biurze. Rozmawiał z Daną. Na mój widok wstał i nalał mi mrożonej herbaty.

– Jak poszło? – spytał.

– Nie wiem. Całkiem dobrze wszystko pamięta. Myślałem, że serce mi pęknie, kiedy próbowała nazwać go ojcem. Co temu sukinsynowi odbiło? Całkiem ją odtrącił. Spisał na straty. A ja sądzę, że to dobra dziewczyna.

– Czy rozmowa z nią trochę ci pomogła?

– Nie wiem. Muszę to sprawdzić. Ale ona prawie się na mnie rzuciła. Uniósł swoje krzaczaste brwi.

– Wydawałoby się, że to trochę za wcześnie. Trzeba będzie ją poobserwować. Dzięki.

– Jakie są rokowania?

Przesunął dłonią po twarzy.

– Nie wiem. Stany euforii nie przybierają na sile, ale okresy apatii wydają się głębsze i trwają nieco dłużej. A kiedy z nich wychodzi, mam wrażenie... jakby jej ubywało. Pozapominała piosenki, które śpiewała miesiąc temu. Robi się nieco bardziej niezdarna, nieuważna przy jedzeniu, zaniedbuje się. Myślę... że zatrzymamy ją tutaj, ile się da. Tak bardzo kocha plażę. Nienawidzi zamknięcia. Tu ma się iluzję wolności. Może w dużym ośrodku umieliby to zatrzymać, a nawet poprawić nieco jej stan, ale nigdy na tyle, żeby mogła sobie samodzielnie radzić w świecie. Nie stanowi dla nikogo zagrożenia. Jest ofiarą. Jego ofiarą.

– Co się stało z jej matką?

– Zginęła w pożarze hotelu, w którym była z kochankiem. Nancy miała wtedy siedem lat... Jest silna. Obawiam się, że pożyje jeszcze długo po tym, kiedy jej mózg przestanie działać. Może nawet ze czterdzieści lat, a nawet więcej. Ma jeszcze brata. Starszego i według wszelkich danych o nieskazitelnej opinii. Dobrze cię znów widzieć, Trav. Miło mi było z panią porozmawiać, panno Holtzer. Świat jest dziwny, wiecie. Potrafimy się bronić przed wrogami, a nawet przyjaciółmi, ale wobec rodziny bywamy bezradni. To dziecko w wieku siedmiu lat zostało wysłane do szkoły z internatem. Uprawiała seks, odkąd skończyła czternaście, rok później po raz pierwszy przeszła łagodną demencję alkoholową, a kiedy była szesnastolatką, poddano ją pierwszej serii elektrowstrząsów. Idę malować krzesła. To ratuje mnie

przed depresją i niepohamowaną wściekłością z oburzenia na otaczający nas świat. Wpadajcie, kiedy tylko chcecie, razem czy osobno.

•••

Zatrzymaliśmy się na lunch w restauracji rybnej w mieście. Mogliśmy swobodnie rozmawiać w narożnej wnęce. Poinformowałem Danę, że jeden z uczestników imprezy nie żyje. Sonny Catton. Opowiedziałem, jak Nancy zareagowała na tych osiem fotografii, o tym, jak ojciec ją spoliczkował, o jej wrogim nastawieniu do M'Gruderów i ostatnim dziwnym zdaniu.

– Widzę po tobie, że to była ciężka rozmowa, co?

– Chyba tak. Nie wiem, dlaczego tak mnie to wytrąciło z równowagi. Może dlatego, że ona robi wrażenie tak młodej, niewinnej, inteligentnej. Myśli się... co za urocza pokręcona dziewczyna, gdyby ją stąd zabrać, kochać, zatroszczyć się o nią, doszłaby do siebie. Ale wiadomo, że nie da się tego zrobić. Może Catton miał ostatnią szansę, żeby coś zmienić, ale to nie ten typ faceta. Myślę, że ona często przechodziła z rąk do rąk i że żaden z tych gości nie zrobił jej szczególnie dobrze.

Powiedziałem Danie o Carlu Abell'u. Kąciki jej wydatnych ust opuściły się w ironicznym uśmiechu.

– Galahad stoków. Raz go widziałam. Pracowałam wtedy dla Lysy dopiero od paru tygodni. To było, jeszcze zanim wyjechali razem do tego domku Chipmannów. Szaleńczo przystojny. Kręcone, ciemnoblonde włosy, takie trochę dłuższe, zachodzące na uszy, szeroki w barach, opalony, ubrany w szytą na miarę sportową kurtkę, jedwabny szalik. Pamiętam, że miał nieco sztuczny niemiecki akcent. Mnóstwo wielkich białych zębów i bardzo europejski uścisk dłoni. Typowy hollywoodzki ogier. Aż do przesady.

– Dość bystry, żeby obmyślić szantażowanie Lee?

– Wątpię. Bardzo wątpię. Na pewno sam nie wpadłby na taki pomysł, ale ktoś mógł go zmusić do współdziałania. Sądzę, że łatwo pęka pod presją. Jednak tylko kompletny głupek mógłby próbować go w ten sposób wykorzystać. Jest za miękki. A to nie idiota zorganizował to wszystko.

– Masz jakiś pomysł?

– Kto miał tu pieniądze, dobre imię albo coś do stracenia? Lee i córka architekta, i M’Gruderowie. Cass, podobnie jak Sonny, Whippy, studenci i Carl to płotki, raczej niewarte zachodu w porównaniu z tamtymi.

– Zgoda. Dawaj dalej.

Wzruszyła ramionami.

– To wszystko. Wiemy, że z dwójką z tej trójki się skontaktowano. Lee zapłaciła. Pan Abbott najwyraźniej nie. A co do M’Gruderów, to dowiemy się później. Myślę, że powinniśmy polecieć do San Francisco. Pytanie czy po Abell’u, czy przed?

– Po.

– Jutro?

Skinąłem głową. Wyślizgnęła się zza stolika.

– Wobec tego lepiej, żebym od razu zabrała się za telefony.

I poszła do kasjerki rozmienić pieniądze.

• • •

Kiedy wróciliśmy na łódź, Dana sprawdziła w swojej kopii harmonogramu promocji filmu, że za kwadrans Lysa będzie miała godziną przerwę. Oczekała dwadzieścia minut i połączyła się z nią przez prywatną linię, nie przez recepcję. Rozmawiały około piętnastu minut. Potem zawołała mnie, przykładając dłoń do mikrofonu.

– Chce z tobą mówić. Powiedziałam jej, na jakim etapie jesteśmy.

– No i jak ci się podoba prezencik, który ci wysłałam, skarbie? – usłyszałem w słuchawce przesłodzony głos Lee.

– Co proszę?

– Ta superskuteczna postać tragiczna, głuptasie.

– A, dziękuję, bardzo.

– Ona dopilnuje, żebyś się uczciwie przyłożył, kochanie. Już za nią tęsknię. Jest tyle uciążliwych drobiazgów, które zaczynają się nawarstwiać. Nie przetrzymuj jej więc zbyt długo.

– Wiesz, że ja o nic nie prosiłem.

– O, nie bądź takim sztywniakiem! A tak przy okazji, McGee, nie trać czasu i nie rób sobie niepotrzebnie apetytu. To twarda sztuka. Zabójcza brunetka z ognistym spojrzeniem. Najwięksi spece się na to nabierali i

odchodzili jak niepyszni z soplami lodu na... no, wiesz na czym. Krążą już na ten temat dowcipy.

– Bardzo zabawne, chyba pęknę ze śmiechu.

– Z ciebie to naprawdę niezły drań, co? Czemu ja nadal cię lubię? Jak rozumiem, ta córka Abbotta wypada z gry?

– Wydawała ci się wtedy dziwna?

– Niespecjalnie. Nieźle tankowała, więc kto by oczekiwał, że będzie się normalnie zachowywać? Od czasu do czasu robiła awantury. Wtryniała się w zabawy innych. Stale opowiadała o swoim ukochanym tatusiu. I śpiewała tę piosenkę ni z tego, ni z owego, w najbardziej zaskakujących momentach. Moje serce należy do taty i tak dalej. Kiedy zobaczysz Carla, kochanie, uściśnij mu dłoń, uśmiechnij się, pozdrów go ode mnie serdecznie i kopnij go porządnie w klejnoty. Dodam ci za to małą premię.

– Jedno pytanie. Czy jego obcy akcent jest autentyczny?

– A skąd! Ale to robi dobre wrażenie u instruktora narciarskiego.

– Masz solidną ochronę?

– Jak na razie wszystko jest jak trzeba. Uważaj na siebie. Dana będzie mnie informowała na bieżąco.

– Chcesz z nią jeszcze mówić?

– Do widzenia i ściskam was oboje. Udanych łowów.

Odłożyłem słuchawkę.

– Planujesz ją informować o wszystkim?

Wzięła książeczkę czekową z biurka, by zapisać dokonaną wpłatę gotówkową. Spojrzała na mnie, unosząc lekko jedną ciemną brew.

– Dla niej intrygi to chleb powszedni. Taki zawód, że każdy każdego podgląda. A jeśli pracujesz dla kogoś, musisz przestrzegać hierarchii. Ona tylko próbuje dopasować cię do układanki, Travis, gdzieś pomiędzy scenarzystą a współproducentem. Nie wie, że to się nie uda, ale nie ma sensu... robić z tego sprawy. Powiem jej to, co powinna wiedzieć, wystarczająco dużo, żeby była zadowolona. Nie mniej i nie więcej. Dobrze?

– Lojalność podzielona?

– Nie do końca. Przecież obojgu wam chodzi o to samo, prawda?

– Czy to pytanie?

– Pan Burley opowiedział mi o Marianne. Nie mam już tyle wątpliwości co do ciebie jak przedtem.

– Jestem dość uczciwy, Dano. Na swój sposób, ale tego pilnuję. Może mam też swoją cenę, jednak nikt jeszcze nie zaproponował mi wystarczającej sumy. Zobaczymy, co przyszłość przyniesie. Na razie ciekawe, jak szybko zdołasz nas stąd wydostać, panno Skuteczna.

## 6

Udało się jej załatwić wcześniejszy lot na środę. Około południa, w szarówce lutowego dnia, wylądowaliśmy wśród śnieżycy w Albany, skąd wystartowaliśmy dalej. Kiedy śnieg przestał padać, niebo przybrało perłowy kolor, a ja obserwowałem z góry zimowy widok północy stanu Nowy Jork. Białe pola z czarnymi pasmami lasów. Dostojeństwo tego pozbawionego kolorów obrazu kontrastowało ze smrodem spalin i toalety panującym w samolocie, który sunął po niebie z warkotem niczym stary podmiejski autobus.

Dana odchyliła fotel i odwróciła twarz do okna. Nie wiedziałem, czy oczy ma otwarte, czy zamknięte. Przyglądałem się jej nieruchomym dłoniom spoczywającym na tweedowej spódnicy kostiumu. Były może nieco zbyt duże, miały bardzo długie, silne palce o mięsistych opuszkach, dość wąskich i lekko wypukłych owalnych paznokciach. Skóra na dłoniach była zadbana, gładka i młodzieńcza. Patrzyłem na te dłonie jak na zwierzęce łapki, myśląc o zwierzęcych cechach ludzkiej natury, i nagle powrócił obraz tego tarasu z widokiem na Pacyfik i tej skrajnej, najbardziej niebezpiecznej formy nienasyceńca.

Pomyślałem, że chyba ostatecznie dzielimy się na kategorie według tego, do czego jesteśmy zdolni, a do czego nie. Pokusa nie każdego skłoni do zła, bo z pokusami stale mamy do czynienia, a zło większości z nas zdarza się sporadycznie.

Do tej pory spotkałem dwie osoby, których tryb życia niemal nieuchronnie prowadził na ten taras. Jedna z nich przyciągała uwagę wszystkich, od kiedy stała się dorosła. Kierowała się nieskończoną zachłannością, huśtawką nastrojów i pragnieniem, żeby ją doceniono. To, co się tam działo, potraktowała jak jeszcze jedną rolę, a nie realne przeżycie. Młodsza była igraszką Kostuchy, jak bohater Jacka Londona ze *Wspomnień alkoholika*, jeszcze długo przedtem, nim Abelle i M'Gruderowie zaprowadzili ją na ten taras. Tamta impreza, tak samo



jak Meksyk czy trasa z Sonnym Cattonem, była dla niej tylko kolejnym etapem samozniszczenia.

Z Cattonem już nie porozmawiam, zresztą pewnie dla niego to wszystko nie miało znaczenia. Żeby ucierpieć na duszy, najpierw trzeba ją mieć. Dla takiego padalca jak Sonny Catton, laski to były tylko laski. Czy brał je grupowo, czy w osobnych pokojach, nie robiło mu różnicy. Przywiózł ze sobą jedną i wymienił na inną, która bardziej mu pasowała. Prawdopodobnie dla niego to było jak giełda.

Nie potrafiłbym być Sonnym. Miałem dawne złudzenia oraz nadzieję, że z upływem lat staję się choć trochę mądrzejszy. A jak się wie co nieco, to się rozumie, że na wyprzedaży nie dostanie się nic wartościowego. Rozsądek podpowiada, że liczy się tylko to, co się naprawdę ceni. Ja wyznaczyłem sobie ryzykowną rolę błędnego rycerza w zbroi z puszek po pomidorach, odganiającego bezwzględne bestie swoim blaszanym mieczykiem. Powinnością rycerza, nawet najbardziej żalostnego, jest adorowanie kobiet i pewnie sposób, w jaki ja je wielbię, to anachronizm w obecnych czasach i miejscu. Choć nieraz zawiodłem, zależy mi, aby związek opierał się na zaufaniu, uczuciu, szacunku. Nie tylko na braniu albo zaliczaniu, czy wykorzystywaniu, lub udowadnianiu sobie czegośkolwiek. Moje podejście wyklucza grupowe przygody. Takich rzeczy nie robi się dla rozrywki, zdrowia czy towarzystwa, lecz dlatego, że doceniasz kobietę, uważasz, że jest wyjątkowa, a ty jesteś mężczyzną, podobnie wartym szacunku. Dookoła jest dość dziewczyn i chłopaków. Poddaj się, McGee. Wyduś to wreszcie. No dobrze, to się robi z miłości i tylko z miłości. Jesteśmy ludźmi, do diabła, nie automatycznymi tarasowymi zabawkami. Oczywiście, niekoniecznie trzeba od razu być Abelardem i Heloizą, Romeem i Julią czy nawet Napoleonem i Josephine. Ale odrobina miłości, chłopie, jest niezbędna. Miłości, żeby słodko było trzymać dziewczynę w ramionach, czule coś szeptać, kiedy wyczerpią się fajerwerki. A tego się nie zazna z tarasową lalą.

Dana obróciła się twarzą do mnie i uśmiechnęła się.

– Prawie zasnęłam – powiedziała.

Zakryła usta zwiniętą w pięść dłonią i ziewnęła.

– Wiesz, jak to jest, myślisz o czymś i nagle roją ci się jakieś zwariowane rzeczy, a potem przytomniejesz i zdajesz sobie sprawę, że musiało ci się śnić.

– Opowiedz mi tę zwariowaną część.

– To nic ciekawego, Trav, naprawdę. Zastanawiałam się, czy samochód będzie czekał, tak jak go zamówiłam, i wtedy przypomniałam sobie, że jak ostatnio ty i ja potrzebowaliśmy auta, a przecież nigdy nie wypożyczaliśmy jeszcze samochodu, wsiedliśmy do niego i okazało się, że ono nie ma kół. Wściekałeś się i powtarzałeś, że zawsze nas to spotyka. A ja myślałam, że tym razem dobrze sprawdzę koła, nim podpiszę rachunek, i wtem zdałam sobie sprawę, co to za idiotyzm. Psychiatra pewnie nieźle by się tym ubawił.

– Uznałyby to prawdopodobnie za uświadomienie sobie, że nigdzie z tobą nie zajadę.

Powiedziałem, co mi ślina na język przyniosła, a Dana patrzyła na mnie przez chwilę.

– Sądzę, że można to odczytać na bardzo wiele sposobów – powiedziała trochę zbyt lekko.

Znów się odwróciła i zobaczyłem, jak od szyi na policzek wędruje rumieniec, oblewa jej czoło i w końcu blednie. Wyjaśnienie było aż nazbyt logiczne i na chwilę to zaakceptowała, ale potem poszła dalej – tłumacząc sobie, co to znaczy, że we śnie obiecała sobie następnym razem sprawdzić koła, nim podpisze rachunek. Zdałem sobie sprawę, że mimowolnie obudziłem jej czujność i teraz będzie się podwójnie pilnować przed jakimkolwiek, nawet najmniejszym, emocjonalnym angażowaniem się w naszą relację.

• • •

Załatwiła samochód, kiedy odbierałem bagaże. Siadając obok mnie, miała w ręce mapę z zaznaczoną trasą. Pokazała mi ją.

– To tylko taki szkic. Będę mówić ci, gdzie skręcić – powiedziała.

Skarb nie dziewczyna.

– Gdzie zjemy? – spytałem.

– Ojej! – zawołała, szybko wygramoliła się z auta i pędem wróciła na terminal. Pojawiła się z nowymi wskazówkami na mapie i zjechaliśmy parę przecznic z naszej trasy, w głąb North Utica, żeby zatrzymać się przy jednym z tych włoskich lokali o nazwie Diplomat, które działają blisko moteli. Nie było szans na ucztę smakosza, ale w to pochmurne, wilgotne popołudnie, kiedy temperatura oscylowała wokół zera, dobrze zrobiło nam po kielichu na rozgrzewkę. Gorąca włoska

kiełbaska ze spaghetti al dente też były przyjemnym zabezpieczeniem przed chłodem.

Wiecie, jak to jest, kiedy człowiek za dużo myśli. Zapadła niezręczna cisza. Jeśli mieliśmy spędzić ze sobą sporo czasu, mogłoby to stać się udręką. Zacząłem kombinować. Zaryzykowałem żart, po którym równie dobrze mogłem spodziewać się chłodnego spojrzenia i pytania, w stylu „A to co znowu?”.

W każdym razie, nawijając na widelec spaghetti, powiedziałem:

– O Boże, Myro, na pewno zapomniałaś przykręcić termostat.

Widelec upadł jej z brzękiem na talerz.

– Ja zapomniałam? – odpaliła bez wahania. – Frank, kochanie, to było na twojej liście. Pamiętasz?

– Oczywiście, ale przypomniałem ci o tym i sobie odhaczyłem.

– Chyba raz, choć raz mógłbyś... Na ile był nastawiony?

– Dwadzieścia cztery stopnie. Jakżeby inaczej... Normalnym ludziom wystarcza dwadzieścia, ale ty musisz mieć dwadzieścia cztery.

– O Boże. Tyle oleju! Kochanie, może zadzwońmy do Hollisbankersów.

– A niby jak wejdą do środka?

Zastanowiła się moment.

– Wiem! Helen ze swoją figurą da radę, Fred może ją wsunąć pod drzwiami!

Parsknąłem śmiechem. Punkt dla niej. Nigdy nic nie wiadomo, póki się nie spróbuje. Śmialiśmy się jak para wariatów, ale w pewnym momencie kolejny jej wybuch zmienił się w stłumiony szloch, zerwała się od stolika i uciekła do toalety dla pań. Inni goście gapili się na mnie i na nią. Ona zjadła już niemal całe swoje danie. Ja dokończyłem swoje. Nie było jej chyba z dziesięć minut. Kiedy wróciła, nie wyglądała dobrze. Jej piękne oczy były zaczerwienione. Potulnie usiadła. Powiedziała kelnerce, że można zabrać talerz. Poprosiła tylko jeszcze o kawę.

– Przepraszam – zwróciła się do mnie. – Nie spodziewałam się tego. To było trochę zbyt osobiste. I nagle się rozkleiłam. Przepraszam, to za bardzo przypominało... dawne żarty. Nie martw się. To nie twoja wina.

– Już nie będę tak się wygłupiał.

– Chyba lepiej nie.

Dostaliśmy kawę. Zapadła ciężka cisza. Kiedy szykowaliśmy się do wyjścia, nagle uśmiechnęła się do mnie i dotknęła drżącą dłonią

mojego nadgarstka.

– Kochanie – szepnęła. – Nie zapomniałeś wysłać kartek do mamy i siostry?

– Nadałem je. Mama dostanie tę z walczącymi kozłami.

Zacisnęła usta. Wiedziałem, że obmyśla, jak by tu mnie podprowadzić, żebym wygrał.

– Zastanawiam się tylko, czy mama nie pomyśli, że to jakaś aluzja. Nie chciałabym sprawić jej przykrości.

– Dziecinko, robienie z igły widły to jej specjalność.

Roześmiała się na znak, że się poddaje. Brzydkie żarty wygrywają. W oczach miała łzy, ale się śmiała. Byłem dumny, że się pozbierała, ale mimo wszystko gnębiły mnie wyrzuty sumienia. Ona znalazła sobie miejsce, zaakceptowała sytuację. To z mojej strony nie w porządku ją z tego wyrywać, po prostu nie fair. Nie powinienem chcieć, żeby się trochę odkryła, pokazała, jaka jest pod tym pancerzem, który pozwalał jej grać rolę zimnej i opanowanej. Dwa skecze ustaliły reguły gry. Byliśmy Myrą i Frankiem. Jeśli spróbowałbym kolejny raz, ona czułaby się zobowiązana to kontynuować. Zostawiłem więc inicjatywę po jej stronie, a ona na pewno zrozumie, że zdaję się na nią, i będzie wiedziała dlaczego. To było zabawne między nami, od samego początku. Nie miałem żadnych wątpliwości, że ona wie, co myślę.

Pojechaliśmy na północ prowadzącą wśród wzgórz drogą numer osiem. Minęliśmy miasteczko o nazwie Poland, które wyglądało jak z bożonarodzeniowej pocztówki. Sucha szosa, a na poboczach wysokie hałdy odgarniętego śniegu. Niespecjalnie chciałoby się tu mieszkać, ale miło byłoby stąd pochodzić.

Dalej, kiedy pięliśmy się do rezerwatu Adirondack Forest, powietrze stawało się coraz czystsze i chłodniejsze, na szczęście ogrzewanie w małym sedanie spisywało się świetnie. Wszystko tu było jak z bajki: serpentyny, jeziora w zimowej szacie, ciemna zieleń drzew iglastych na tle śniegu, poręby i wiatrołomy na zboczach przypominających zgarbione plecy zapatrzonych w przestrzeń, erodujących przez wieczność potworów. Teraz przynajmniej zmieniliśmy jakość naszego milczenia. Albo zmieniła ją ta cudowna kraina.

Do Speculator dotarliśmy o czwartej po południu. Miejscowość podobnej wielkości co Poland, ale o wiele mniej urocza. Jechało się coraz trudniej, bryłki śniegu spod buksujących kół uderzały o nadkola, połyskując w świetle reflektorów. Wszędzie dokoła młodzi amatorzy

narciarstwa, pokrzykujący do siebie zaczepnie i zostawiający na śniegu kolorowe puszki po piwie. Zaparkowałem przed czymś w rodzaju supermarketu o nazwie Chas Johns, który jarzył się wszystkimi światłami w szarówce pochmurnego popołudnia, a Dana zatelefonowała ze stojącej obok budki. Wróciła po krótkiej chwili.

– Mówią, że pojechał do Gloversville, żeby odebrać z pociągu ekspresową przesyłkę z nartami czy coś w tym rodzaju, i że powinien wrócić o szóstej.

– W takim razie musimy się chyba gdzieś zatrzymać. Chcę mieć szansę go przepytać, więc potrzebne mi właściwe miejsce i trochę czasu, żeby się otworzył.

– Pamiętaj, że on mnie rozpozna.

– Wiem. Może się przydasz na koniec, jak zmięknie. Zobaczymy.

– Dziwne, mówisz o nim, jakby to była kasetka na kluczyk.

– Oni właśnie tacy są, Dano. I zwykle ktoś poskąpił na projekcie. Kiepskie spawy i byle jakie zamki.

Znaleźliśmy mały i stosunkowo nowy motel wciśnięty pod dziwnym kątem w sam środek miasta. Spróbowałem. Dżentelmen kierujący recepcją powiedział, że mają jeden pokój z podwójnym łóżkiem – tylko dlatego, że ktoś w ostatniej chwili zrezygnował. Może go wynająć jedynie na jedną noc, bo od czwartku na cały weekend został już zarezerwowany. Zresztą we wszystkich hotelach jest podobnie pełno. Śnieg świetny, prognozy doskonałe, zapowiadał się jeden z najlepszych tygodni w sezonie.

Wyszedłem i usiadłem z powrotem za kierownicą.

– Dano, wiem, jak to zabrzmi, ale wierz mi, to nie moja wina. Czuję się jak nastolatek idący na całość. Możesz wejść i sama zapytać.

Przekazałem jej, jak wygląda sytuacja.

– Może ja wezmę ten pokój, a ty wrócisz do Utica, zatrzymasz się tam i przyjedziesz tu znów z samego rana.

Wahała się ze cztery sekundy.

– Gdybyś wreszcie zrobił coś z tym potwornym chrapaniem, poszedł do lekarza, cokolwiek, to nie musielibyśmy za każdym razem kombinować – powiedziała.

– Myro, otwarcie przyznam, że rzeczywiście trochę ciężko oddycham.

– Trochę ciężko!? Jak wpadniesz w rytm, sąsiedzi wybiegają z domów w środku nocy, krzycząc: „Ratunku, lew!”.

- Tylko kiedy przekręcę się na plecy, kochanie.
  - No to chyba masz plecy po obu stronach. W każdym razie, kochany, będę spała tak dobrze w tym górskim powietrzu, że nie sądzę, abyś tej nocy mi przeszkadzał. Ale postaraj się nie przekraczać jednostajnego rżenia.
  - Zachowujesz się tak, jakby sprawiało mi to przyjemność.
  - Bo, skarbenku, to brzmi tak, jakbyś naprawdę miał z tego radochę.
- Podjechał jakiś samochód. Bałem się, że stracimy i ten pokój, jeśli będziemy się dalej przekomarzać i czekać, kto wygra, więc poszedłem i wpisałem nas jako T. McGee z małżonką. Podwójne łoże wydawało się wypełniać cały pokój. Uprzejmie ustępowaliśmy sobie nawzajem drogi, wnosząc rzeczy do środka. Było przytulnie, bo elektryczny naścienny piecyk ogrzał pokój do przyzwoitej temperatury. Po jednej wyprawie po lód jakimś cudem wyczarowała pękaty niski srebrny kubek z odpowiednią ilością dżinu z lodem i dwiema kroplami gorzkiej wódki.
- Traktujesz mnie jak gwiazdę? – zapytałem zgryźliwie.
  - Nie chciałabym wyjść z wprawy.
  - No... to dziękuję. Świetnie.
  - Na zdrowie, Travis.

• • •

Zdecydowaliśmy, że najlepiej, jeśli Dana zostanie, a ja od razu spróbuję przycisnąć Carla Abelle'a. Schronisko Mohawk było jakieś jedenaście, trzynaście kilometrów za Indian Lake Road i prowadziła do niego wspaniała górská droga. Reflektory rozświetlały ośnieżoną okolicę. Zabudowania schroniska były nowiutkie, zrobione z jasnej bejcowanej sosny, miały spiczaste dachy i zdobienia w szwajcarskim stylu. Tablica reklamowała trzy wyciągi, osiem tras zjazdowych, lekcje jazdy na nartach, oślą łączkę, islandzką łaźnię, wspaniałe steki oraz trunki. Lokal pękał w szwach, wszędzie panował gwar, ludzie wchodzili, wychodzili, chichotali i gwizdali.

Przepychałem się w kierunku czegoś, co wyglądało na salę główną. Miała niski, belkowany strop i ogromny kamienny kominek, na którego różnie bez trudu można by upiec wołu. Dookoła stało mnóstwo miękkich kanap i foteli, a podłogę pokrywały puchate dywany, na których polegiwali młodzi ludzie, wielu z nogami w gipsie i rękami na

temblakach. Wśród tej ciżby krzatali się spoceni kelnerzy, roznosząc z gracją drinki z baru w rogu, zręcznie przechodząc nad leżącymi i twardo ignorując wołania o obsługę. Z wielkiej stereofonicznej szafy grającej lecieli na maksa Beatlesi, a parę śnieżynek próbowało tańczyć twista. Większość miała na sobie lekkie ubrania, dobre do przytulank przy kominku, a nie jazdy na nartach.

Zahaczyłem jakiegoś kelnera, wetknąłem mu banknot do kieszonki koszuli, zyskując w ten sposób kilka sekund jego uwagi.

– Carl Abelle – rzuciłem.

Wskazał go kiwnięciem głowy i dodał:.

– W czerwonej kurtce.

Abelle opierał się o wyłożoną boazerią ścianę. Miał na sobie czerwoną marynarkę z olimpijskim wyszyciem na kieszonce i srebrnymi guzikami, a pod szyją białą jedwabną apaszkę. Stał z pochyloną głową, w otoczeniu ponętnych śnieżynek. Jedna z nich mówiła mu coś do ucha. Skręcała się i robiła takie miny, jakby opowiadała świński dowcip... Poczekalem, aż dojdzie do pointy. Zadzwieczał chichot dziewczyn i tubalne ha, ha, ha Abelle'a. Podeszedłem, a cała trójka zlustrowała mnie uprzejmie jak zgrana grupa obcego. Nie byłem ubrany jak narciarz.

Dziewczyny, ładnie ogorzałe na słońcu, wyglądały na bardzo młode, jednak ich oczy robiły wrażenie doświadczonych i starych. Natomiast Carl prezentował się bosko. Opalony na brąz heros, biel zębów, błysk w oku. Ale jakoś miało się wrażenie, że to tylko makijaż. I pomimo świetnej stylizacji widać było, że zrobił się nieco pełniejszy w talii.

– Abelle?

– Taak?

– Mam dla ciebie wiadomość od przyjaciół.

– Noo?

– Od Cassa, Vance'a i Patty. Od Lee i Sonny'ego, i Whippy i Nancy i całej paczki.

– Znom ich?

– Znosz.

Nie powiedziałem nic więcej, dając mu czas na skojarzenie, o kim mówię. Nie był w tym dobry, ale chyba coś zaczął sobie przypominać, bo się naburmuszył.

– Oho. Masz na myśli pannę Abbott? I M'Gruderów? – spytał nieufnie.

- I chłopaków z Cornell też.
- Pszekasz im zerdeczne pozdrowienia, dobra?
- Rzecz nie całkiem w tym, Carl.
- Noo?
- Może wyjdziemy na chwilę?

Uściskał śnieżynki, coś tam im szepnął i posłał je w kierunku kominka, klepiąc każdą z nich takim samym gestem w wypięty tyłeczek.

- Teraz możemy pogadać tutaj, panie...?
- Mam w aucie coś, co chciałbym ci pokazać.
- To przynieś.
- Przykro mi. Muszę stosować się do instrukcji panny Dean.

Odzyskał nieco pewności siebie.

- A zo, pracujesz dla niej. Urocza mała dama, co?
- Przesyła bardzo serdeczne pozdrowienia.

Aż napęczniał z dumy. Ale zaraz przypomniał sobie imiona, jakie mu podał. Nie potrafił tego zanalizować. Jego zwierzęcy instynkt mówił mu jednak, że coś jest nie tak.

– Co takiego ta miła kobieta mi przysyła, że nie możesz tego tu przynieść?

Mrugnąłem do niego porozumiewawczo.

– Siebie.

Napuszył się jeszcze bardziej i rozpromienił.

– Oczywizda! – Trącił mnie łokciem w bok. – Kumam.

– Nie czeka dosłownie w aucie, wiesz. Jest w prywatnej willi nad jeziorem. Słyszała, że tu działasz. Powiedziała, że zrobi ci miłą niespodziankę. Zatrzymała się u starych przyjaciół. Incognito.

– Wysłała cię po mnie?

– Tak spontanicznie. Rozumiesz.

– O, oczywizda!

– Jedziemy?

Przygryzł wargę, między brwiami supermacho pojawiła się głęboka zmarszczka.

– Później muszę wrócić. Mam tu zobowiązania towarzyskie. Ale jasne, niegrzecznie byłoby teraz odmówić.

Ruszyliśmy do auta. Jego czerwona marynarka wyglądała świetnie w świetle reflektorów na tle śnieżnych zasp. Abelle szedł dumnym krokiem, a na jego umięśnionym karku dostrzegłem teutońską fałdę,



która być może była efektem tego udawanego akcentu. Miałem nad nim około pięciu centymetrów przewagi, jeśli chodzi o wzrost, ale za to on był co najmniej siedem kilogramów cięższy. Nie mogłem ryzykować bezpośredniego starcia, zresztą pewnie umiał się bić.

Wyprzedziłem go i otworzyłem przed nim drzwi auta, co przyjął z królewską satysfakcją. Kiedy się pochylił, żeby wsiaść, zaparłem się stopami w ubitym śniegu, zrobiłem zręczny zwrot i swoim najlepszym prawym sierpowym wbiłem mu środkowy srebrny guzik w stronę kręgosłupa. Te małe przedstawienia zawsze wprawiają mnie w zakłopotanie. Ale trzeba działać szybko. Nagły, bezwzględny, ohydny atak daje wielką przewagę. Po nim mężczyźni stają się ulegli jak dzieci. Noc jest pełna straszydeł i duchów, a im staje w oczach wizja śmierci. Facet, który obrywa w uczciwej walce, zachowuje resztki dumy i honoru, natomiast sprowadzony znienacka do parteru, daje sobą łatwiej manipulować. Zatkąło go i ze zdławionym jękiem zgiął się wpół. Wtedy splecionymi dłońmi walnąłem go w tył szyi, nieco z boku, tuż pod podstawą czaszki. Kiedy padał, przyblokowałem go i nakierowałem do środka auta, potem wkopałem dyndające nogi i zatrzasnąłem drzwi. Pewnie wszystko to trwało jakieś trzy i pół sekundy.

Usiadłem za kierownicą. Trochę mi przeszkadzał, bo kompletnie bezwładny leżał mi częściowo pod deską rozdzielczą. Słyszałem, jak postępuje. Kilkaset metrów dalej zatrzymałem się, wciągnąłem go na fotel, zdjąłem mu apaszkę i skrępowalem nią jego nadgarstki, wiążąc chustkę na krzyż pod umięśnionymi udami Abelle'a. Przechylił się na drzwi i jęknął. Kupa nieszczęścia ze srebrnymi guzikami. Świat jest błyszczący, a jego powierzchnia trochę zbyt krucha. W jednej chwili coś może sięgnąć z dna ciemności i cię porwać. W końcu każdy ma swoje słabości. Możesz dać się znienacka omamić jakiemuś miłemu facetowi, narazić ciało i duszę. To już sprawa przypadku. Natomiast ja nie czułem się miłym facetem, a on nie był jakimś kompletnym łajdakiem. Po prostu głupi ogier. Specjalista od smarów do nart i stref erogennych.

Pojechałem do Speculator, rozglądając się, gdzie by się tu z nim zatrzymać. Wysoki śnieg na poboczu utrudniał sytuację. Skręciłem na zachód z drogi numer osiem i około półtora kilometra dalej zobaczyłem po prawej stronie jakąś nieoświetloną konstrukcję, coś jakby skład materiałów budowlanych. Podjazd i mały parking za szopą były odśnieżone. Okoliczne domy spowijała ciemność. W świetle stojących

daleko jedna od drugiej latarni nie dostrzegłem żadnych przechodniów. Nie widać też było, by ktoś nadjeżdżał z tej czy tamtej strony, skręciłem więc szybko, wprowadzając w poślizg tył auta i odbijając się od hałdy śnieżnej na poboczu. Zgasiłem światła, nim auto znalazło się na parkingu i zatrzymało za budynkiem, ustawione frontem do wyjazdu. Szybko wysiadłem i rozejrzałem się dookoła, by sprawdzić, czy ktoś się mną nie zainteresował. Nic, tylko śnieg i uśpiony krajobraz. Nocne niebo usiane gwiazdami, sylwetki nagich drzew. Gdzieś w oddali ogniki świateł przejeżdżających aut, szczekanie psa. Jakieś minus siedem stopni. Niezbyt zimno, bo nie było wiatru.

Otworzyłem drzwi po jego stronie. Chciał wysiąść i złapać równowagę, ale tylko wyturlał się z auta na ubity brudny śnieg parkingu. Schyliłem się, zebrałem w sobie i dźwignąłem te blisko sto kilo wagi, starając się, by miał wrażenie, że nie sprawia mi to żadnej trudności. Dorosły mężczyzna rzadko bywa noszony na rękach. To budzi wspomnienia z odległego dzieciństwa i wyzwala poczucie bezradności. Przeszedłem z nim cztery kroki i upuściłem go w półtorametrową zaspę, tyłkiem naprzód, jak w fotel. Zapadł się w niej, odchylony lekko do tyłu, ze sterczącymi do góry stopami i podkulonymi kolanami. Skrępowane nadgarstki zatrzymały go w tej pozycji tak bezsilnego, jak tylko można to sobie wyobrazić.

Potrząsnął swoją cudowną lwią grzywą.

– Niedobrze mi... Naprawdę. Proszę...

Kiedy coś zaczyna pasować do ich pojęcia o świecie, które wyrobili sobie na podstawie oglądania telewizji i filmów, starają się odgrywać rolę bohatera. Wtedy trzeba ich skołować, żeby się pogubili. Gliniarze są w tym dobrzy. Pomysłowi. Można się wiele od nich nauczyć.

Stanąłem blisko, wyciągnąłem rękę i lekko potargałem mu jego blond loki, jak to się robi, żeby okazać sympatię małemu chłopcu. Zaśmiałem się cicho. Poklepałem go trzy razy po policzku, a za czwartym razem włożyłem w to nieco więcej siły. Nie było to jeszcze uderzenie, ale i nie dobrotliwe klepnięcie. Raczej upomnienie. Słuchaj się nauczyciela, mały.

Moje oczy przywykły już do mroku. Widziałem go wyraźnie. To wszystko działo się dla niego za szybko. Gapił się na mnie głupkowato, najwyraźniej chciał mnie udobruchać. Właśnie o to mi chodziło. Okazał się być jakim blaszanym pudełkiem o śmiesznie słabym zamku, które otworzyło się za jednym dotknięciem.

– Carl, kochanie, Lee jest tysiące kilometrów stąd i nawet nie odpowiedziałaby ci cześć, gdyby spotkała cię na ulicy.

– Co ty...

– Ona jest wielką inwestycją. Ludzie, dla których pracuję, bardzo się o nią niepokoją. Rozumiesz to, mój mały...

– Nie wiem, co ty...

– Oni naprawdę się na ciebie gniewają, maleńki. Byłeś okropnie głupi i bardzo niegrzeczny. I bardzo naraziłeś ich inwestycję. Nie powinieneś wchodzić do gry z tymi, którzy chcieli sprawiać Lee kłopoty. Powinieneś być zdawać sobie sprawę, że prędzej czy później dobierzemy ci się do skóry, mały.

– To jakaś po...

– Nie zgrywaj tępaka! Mogłeś zastanowić się wcześniej, teraz już za późno na takie numery! Nie dali mi wielkiego wyboru. W najlepszym razie, Carl, mam cię tylko trochę uszkodzić. Pozbierasz się w dwa, trzy tygodnie. Ale jak pójdzie źle, wyjmę szpadel z auta i zakopię cię tu pod śniegiem.

Patrzył na mnie wytrzeszczonymi oczami, a gdy otworzył usta, z których miał wyrwać się krzyk przerażenia i protestu, wpakowałem mu w nie szybko garść śniegu. Kiedy się wykaszał, skończył prychać i pluć, otarłem mu ściekającą po twarzy wodę chustką. Zęby mu szczękały. Śnieg pod nim topniał, robiło mu się mokro. Trząśł się i z zimna, i ze strachu.

– Proszę! – jęknął. – Nie wiem, co...

Zmierziłem mu jeszcze raz włosy.

– Zdjęcia, kochany! Zdjęcia, do których doprowadziłeś ją na tarasie. Takie jak to.

Miałem je złożone na pół w wewnętrznej kieszeni. Przytrzymałem je mu przed oczami, świecąc z boku zapalniczką. Kanapka z Lysy Dean.

Schowałem je z powrotem, kiedy zamknął oczy.

– O Boże – wyszeptał. – Boże...

– A teraz, proszę, przekonaj mnie – powiedziałem łagodnie. – Dlaczego nie powinieneś umierać młodo, mały.

# 7

Wróciłem do motelu kilka minut przed dziewiątą. Drzwi nie były zamknięte. Kiedy wszedłem, Dana wstała z jedyne go fotela w pokoju i zbliżyła się do mnie. Ciemna sylwetka na tle światła lampki nocnej.

– Długo to trwało – zauważyła.

W pokoju było ciepło. Zdjąłem kurtkę i wyciągnąłem się na łóżku.

– Długo. I wracam z dalekiej podróży – powiedziałem. – Dopadłem pewnego instruktora narciarskiego. Możemy już wracać, jeśli chcesz.

Patrzyła na mnie z góry przez dłuższą chwilę, a potem poszła i zrobiła kolejnego drinka w srebrnym kubku. Oparłem się na łokciu i wziąłem łyk.

– Dużo mocniejszy niż poprzedni – zauważyłem.

– Pomyślałam, że to będzie dobry pomysł.

– Masz wycucie.

Usiadła na brzegu łóżka. Cofnąłem stopy, żeby miała więcej miejsca.

– Zrobiłeś... mu coś złego?

– Jest cały i zdrowy. Na koniec pomogłem mu wrócić cichcem do pokoju w schronisku. Nie chciałem, żeby go ktoś zobaczył w takim stanie. Ledwie trzymał się na nogach. Musiałem go podtrzymać, żeby zdołał wysiąść z auta. Objąłem go w pasie i podprowadziłem do drzwi. Płakał jak dziecko. Nie mógł złapać tchu. Wciąż powtarzał, jak bardzo jest mi wdzięczny, że go nie zabiłem. Lubi mnie. To takie szybkie uzależnienie, coś jak przywiązanie się emocjonalne do psychiatry. Pod drzwiami do jego pokoju poklepałem go po ramieniu i poradziłem, żeby dobrze się wyspał. Nie, Dano, jego ciało nie ucierpiało nic a nic. Ale coś naruszyłem w nim w środku. I ten ślad zostanie na dłużej.

– Trav, po co robisz takie rzeczy, skoro sprawiają ci taką przykrość?  
– spytała po chwili milczenia.

– A może to lubię? I może to właśnie mnie niepokoi.

– Popatrz mi prosto w oczy i powiedz, że to lubisz.

– No dobra. To tylko takie gadanie, żeby się podroczyć. Odebrałem mu trochę pewności siebie, wiary i poczucia bezpieczeństwa. Może nawet zrzuci część swojej maski, a w głosie pojawi się cień wahania. Śnieżynki to wyczują i nacisną właściwe guziczki, a wtedy wielki Carl Abelle raz okaże się impotentem. I wystarczy ten raz, bo tylko tyle mu zostało.

Położyła dłoń na mojej kostce. To był lekki szybki dotyk, jak poklepanie dla dodania otuchy.

– Travis, skoro tak to przeżywasz i tak stale jest, to chyba dobrze, co? Gorzej by było, gdybyś zobojeźniał na to całe... otwieranie ludzi niczym małe brudne skrytki.

– Chyba mniej się tym przejmuję niż kilka lat temu.

– Abelle jest taki ważny?

– A czy nie w tym rzecz, Dano? W takim ocenianiu innych? Czy mam prawo robić to dla pieniędzy? Jeśli już tak surowo wszystkich osądzamy, to dlaczego pracuję dla twojej szefowej?

– A ja?

Popatrzyliśmy sobie w oczy, a ona nagle się uśmiechnęła.

– Nie ściemniaj, McGee. Nie oszukuj mnie ani siebie. Gdybyś wycisnął z niego coś istotnego, zachowywałbyś się inaczej.

Przyznałem, że ma rację, i streściłem jej, czego się dowiedziałem. Nie za wiele. W każdym razie Carl był pewien, że nikt nie śledził Lysy Dean w drodze do domku Chipmannów. I nikt z uczestników zabawy nie mógł dać znać nikomu, że ona tam jest, bo on nie powiedział im, z kim się zadekował, a potem nikt nie opuszczał tego miejsca, póki wszystko się nie skończyło. Telefon cały czas był wyłączony. Cass to Caswell Edgars, artysta plastyk z San Francisco. Abelle nie wiedział, że Nancy Abbott wyjechała z Sonnym Cattonem ani że Sonny zginął. Potwierdził, że Nancy była gościem M’Gruderów w Carmel, i dodał, że Vance M’Gruder przyjaźni się z Alexem Abbottem, starszym bratem Nancy.

– Nic więcej?

– Same przypuszczenia. Ale na ile zgodne z prawdą? Sterroryzowany facet powie, co chcesz, jak zahipnotyzowany. Możesz wykluczyć studentów, Cassa Edgarsa i kelnerkę. I, według Abelle’a, można skreślić też Lysę Dean. Nikt o niej nie wiedział. Kto więc mógł być rzeczywistym celem? Nancy Abbott? Vance M’Gruder? Patty M’Gruder? Tu są pieniądze. Ich warto było szantażować. Panna Dean to

nieoczekiwany bonus. Ojciec Nancy nie dostał tych samych zdjęć co Lee. No dobra, facet zużył może kilkanaście filmów, czy nawet ponad dwadzieścia. Zrobił dwieście pięćdziesiąt, pięćset ujęć. Mógł mieć jeden zestaw zdjęć do sprzedania Vance'owi, inny dla Patty, może specjalny wybór dla każdego, póki nie wiedział, kto ma pieniądze. Albo nawet, do licha, zaczynał jako fotograf dzikiej natury, chciał dokumentować gniazdowanie morskich ptaków, a tu na tarasie sto metrów od niego trafiła mu się główna wygrana.

– Ale koncepcja, że to wszystko był przypadek, nie wydaje się przekonująca, prawda?

– Nie. Zanim zrobili zakupy, wszyscy wiedzieli, jak nazywają się nieobecni właściciele domu, do którego się wybierali. Jeśli to było nagrane, każdy z tej grupy w zamieszaniu, nim wsiedli do aut, mógł dać znać fotografowi. Albo ktoś ich śledził. Jednak jakoś bardziej przemawia do mnie to pierwsze przypuszczenie, Dano. Pasuje do tego, jak to się wszystko dalej potoczyło, bo wygląda na to, że było z góry wyreżyserowane.

– Umiał powiedzieć, kto to zainicjował?

– Twierdził, że po prostu tak wyszło. Wszyscy byli dobrzy. Typowa gra salonowa, w której wymienia się partnerów, dostosowana do warunków na tarasie. Komuś zawiązują oczy, musi się czołgać. Pierwszej osobie, którą namaca, nie wolno nawet drgnąć ani pisnąć. Trzeba ją zidentyfikować przez dotyk. Jak się dobrze zgadnie, to ta osoba traci jedną część garderoby i teraz jej zawiązuje się oczy. A jak się nie zgadnie, to samemu traci się coś z ubrania i trzeba próbować od nowa.

– Obłeśne.

– Powiedział, że właściwie nikt tego nie zaczął. Wszyscy wymyślali zasady w trakcie zabawy.

– Musieli mieć niezłą radochę.

– Ciekawa rzecz z tym Abelle'em. Nie wiedział nic o żadnych zdjęciach, ale miał wrażenie, że coś nie gra. A to nie jest wrażliwy chłopak, więc nie potrafił tego określić. Kiedy jednak tamci się rozjechali i znów został sam na sam z Lee, czuł, że dla kogoś to wszystko bardzo źle się skończy.

– Może każdy czułby się podobnie po czymś takim.

– Ktoś, dla kogo byłoby to coś nowego, pewnie tak. Ale Abelle angażował się w takie grupowe zabawy i przedtem, i potem, i nigdy nic

go w tym nie niepokoiło. Musiało tu być coś jeszcze. Ktoś spowodował u niego taką reakcję. Ale on był wtedy pijany, a teraz nie mogłem z niego wydusić nic więcej. Po prostu miał przeczucie, że prędzej czy później ktoś kogoś zabije przez tę imprezę.

– To dokąd teraz, Travis?

– Chciałbym się dowiedzieć, w jaki sposób ojciec Nancy Abbott dostał jej zdjęcia i czy potem się z nim jeszcze kontaktowano.

Odstawiłem srebrny kubek na bok i miałem wrażenie, że już po chwili Dana potrząsa mną lekko, żeby mnie obudzić. W powietrzu unosił się apetyczny aromat. Okazało się, że Dana poszła do restauracji Log Cabin, tuż przy motelu, zjadła coś sama, a mnie przyniosła wielką miskę domowej zupy z małży i opiekanego ogromnego hamburgera. Wszystko smakowało tak świetnie, jak pachniało.

Pamiętam, że kiedy zbudziłem się znowu, w pokoju było ciemno, miałem zdjęte buty i byłem przykryty kocem. Mimo to było mi zimno. Jarzący się na zewnątrz neon przeświecał przez żaluzje. Mogłem dostrzec kształt Dany śpiącej obok na łóżku i jej ciemne włosy na poduszce. Cicho poszedłem do łazienki, wróciłem, rozebrałem się do bokserek, wślizgnąłem w chłodną pościel i natychmiast zasnąłem. Często nie przewidujemy, co nas wyczerpie emocjonalnie. Ta masa suchawatych mięśni to był tylko słaby, zadufany w sobie dzieciak. We śnie słyszałem jego szloch. Proszę, nie. Proszę. Bardzo pana proszę.

• • •

Sprawdziła rozkład lotów. Wynikało z niego, że lepiej wyruszyć z Syracuse. Zebraliśmy się więc wcześniej, dojechaliśmy do obwodnicy i na zachód na tamtejsze lotnisko. Był zimny, szary poranek, od czasu do czasu prószył śnieg. Dana znalazła najlepsze połączenie. Przez Chicago, a potem lot bezpośredni do San Francisco. Zauważyłem coś charakterystycznego, kiedy załatwiała bilety, nadawała bagaże, wypożyczała auta, a nawet w jej kontaktach ze stewardesami. Bez najmniejszego wysiłku dostawała wszystko co najlepsze, dzięki swojemu podejściu – zawsze uśmiechnięta, uprzejma – przez co nie do pomyślenia było, żeby ktoś zaoferował jej coś poniżej pierwszorzędnego standardu obsługi. Wystarczyło, że uniosła brew i już bagażowy pędził do niej z odległości dwudziestu pięciu metrów. To

rzadki dar. Staralem się ją trochę odciążyć, ale odniosłem wrażenie, że to ją krępuje. To była jej praca, przywykła do niej i wiedziała, jak co porządnie załatwić. Korzystałem z jej efektywności. Ludzie gapili się na mnie, jakby starali się przypomnieć sobie, skąd mnie znają. Taki talent do uzyskiwania dokładnie tego, czego się chce, dokładnie wtedy, kiedy się chce, to coś właściwego wielkim damom, członkom rodziny królewskiej i najlepszym sekretarkom. Muszę też przyznać, że jej pełna charakteru ładna twarz i intensywne spojrzenie ciemnych, roziskrzonych oczu sprawiały wrażenie, że gdyby coś nie szło po jej myśli, w jednej chwili mogło rozpętać się piekło. Ale dla mnie było to niecodzienne – mieć kogoś, kto tak się o mnie troszczył. Zaczynałem czuć się jak panna młoda w podróży poślubnej z wpływowym wdowcem albo chłopiec zabrany na biwak przez nadopiekuńczą matkę.

Próbowała oponować, kiedy ustępowałem jej miejsce przy oknie. Zapięliśmy pasy. Zajrzała do swojego notesu.

– W Chicago będziemy mieć godzinę pięćdziesiąt minut – poinformowała. – Podzwonię stamtąd. Jest ci wygodnie, Travis? Może czegoś potrzebujesz?

– Lepiej skocz naprzód i sprawdź z nimi listę procedur przy starcie, skarbie.

Ściągnęła usta i lekko poczerwieniała.

– Nie chciałam być nadgorliwa.

– Jesteś nieco przytłaczająca, Dano.

– Oczywiście mógłbyś to wszystko robić sam, tylko po co?

– W porządku. Dziękuję. Jesteś świetna.

To nie był komplement. Większość moich kobiet nie była specjalnie przydatna poza domem. Popatrzyłem na jej profil. Zacięła się w sobie. Z jej twarzy nie można było odczytać żadnych emocji. Westchnąłem ciężko.

– Myro, daj spokój.

Powoli jej usta się rozluźniły.

– Te twoje paskudne humory, Frank.

– Po prostu stale się martwię, co tam w biurze.

– Kochanie, mogę się założyć, że nawet nie poczuli, że cię nie ma.

– O, dzięki. Dzięki wielkie. Bardzo mnie uspokoiłaś.

Śmiała się ze mną. Jej oczy też się śmiały. To sięgało głęboko. Ten rodzaj porozumienia jest bardzo niedoceniony w związkach na łapu-



capu. Komu można ufać? Temu, kto nas lubi. Kiedy się śmiała albo uśmiechała szeroko, zauważyłem, że jeden ząb z lewej strony jest troszeczkę krzywy, przez co lekko wystaje. Kiedy wada cię wzrusza, to znaczące. Zęby Lysy Dean były okrutnie idealne. Żadnych usterek. Może Dana Holtzer wyczuła, o czym myślę, bo nagle przestała się tak szczerze śmiać. Pochichotała jeszcze chwilę, ale zaraz się uspokoiła i zamknęła w sobie. Niedosiężna i nieprzenikniona, stała się znów sekretarką u mego boku; w eleganckim wełnianym kostiumie siedziała sztywno z uniesioną surowo głową, nieobecny spojrzeniem i ciasno zapiętym pasem przed startem.

•••

Alexander Armitage Abbott, architekt, leżał umierający w sali trzysta dziesięć w szpitalu uniwersyteckim San Francisco. W końcu korytarza była poczekalnia. Po szybach ściekały krople deszczu, który zamazywał widok na szare wzgórza w oddali i padał tak, jakby nigdy nie miał przestać. Był piątek po południu, a Dana i ja tkwiliśmy tu jak ospali pasażerowie pociągu skierowanego na bocznice gdzieś na końcu świata. Odłożyła jakiś stary magazyn na stertę czasopism i podeszła, żeby usiąść koło mnie.

– Świetnie sobie radzisz.

– Nie podoba mi się ten młody człowiek. Ani jego żona.

– To trochę widać. Ale nie szkodzi. Im nie zależy na tym, żeby ich lubić.

Młody człowiek wrócił. Nie był tak młody, na jakiego wyglądał albo starał się wyglądać. Brat Nancy – Alex. Krępy, nijaki brunet. Gość, który pachnie sosną i ma idealnie zadbane paznokcie. Posłał nam odpowiednio smutny uśmiech i usiadł naprzeciwko.

– Przepraszam za to stałe przerywanie. Państwo rozumieją. – Wzruszył ramionami. – Jedno z nas musi stale przy nim być. To mu chyba trochę pomaga. Elaine jest w tym świetna. Nie mają państwo pojęcia...

– Domyślam się, że nie chciałby zobaczyć się z Nancy – rzuciła niewinnie jakby nigdy nic Dana.

– Broń Boże! – zachnął się. – Sądzę, a właściwie jestem przekonany, że pewnie pożyłby jeszcze parę lat, gdyby nie... hańba, na jaką go

naraziła. Złamała mu serce. To moja jedyna siostra. Ale nie mogę pozwolić sobie na sentymenty. Niektórzy ludzie po prostu rodzą się zepsuci.

Zrobił gest wyrażający bezsilność.

– Nic, co staraliśmy się dla niej zrobić, nie pomogło. Dopiekła... nam wszystkim.

– Rozumie pan nasz punkt widzenia – powiedziałem.

– Oczywiście. Oczywiście. Doceniam fakt, że chcą państwo przeprowadzić to bez wdawania się w niepotrzebne formalności. Zdaję sobie sprawę z jej obecnej sytuacji, a także niepokoju pana Burleya. I jak najbardziej napiszę do niego osobiście i zagwarantuję tysiąc dolarów miesięcznie tak długo, jak tylko... ona tam będzie mogła przebywać. Szczerze mówiąc, sam wybrałem to miejsce. Chciałem, żeby znalazła się jak najdalej od San Francisco. Tata nie zostawia jej nic, oczywiście. A w zaufaniu powiem państwu, że majątek jest... spory. Pomoc siostrze uważam za swój moralny obowiązek. Cieszę się, że pan i panna Holtzer wstąpiliście tu przejazdem. Dobrze było pomówić.

Wyczułem, że chce nas spławić. Dziękuję i do widzenia. Śliski facet.

– Jeszcze nic nie ustaliliśmy, panie Abbott – zaznaczyłem. – Pan Burley też ma pewne moralne zobowiązania i jest tego świadomy. Nie jest w stanie zapewnić pana siostrze odpowiedniej opieki psychiatrycznej, jakiej wymaga. Jeśli umowa pozostanie bez zmian, nie będzie mógł pozwolić sobie na regularne sprowadzanie kogoś, kto by ją leczył na miejscu. My występujemy tu tylko jako... przyjaciele Wyspy Nadziei, proszę pana.

– Rozumiem, ale...

– Gdyby opłata miesięczna mogła zostać podwojona...

– To wykluczone – zaoponował z udawanym żalem. – Chyba lepiej byłoby, aby pan Burley załatwił w tej sytuacji przeniesienie do zakładu psychiatrycznego, skoro sądzi, że jej stan tego wymaga.

– Jest tylko jeden mały problem – wtrąciłem. – Czasami pana siostra robi wrażenie całkowicie zdrowej i racjonalnie myślącej. I wyimaginowała sobie, że uknuto przeciwko niej spisek. Oczywiście rozumiemy, że to nieprawda, ale brzmi to bardzo przekonująco. I gdyby poszła z tym gdzie indziej, mogliby uznać, że sprawa wymaga formalnego zbadania.

– Chyba nie do końca rozumiem...

Spojrzałem na Danę, skinąłem głową i teraz wkroczyła ona.

– Nancy twierdzi, że półtora roku temu oddał ją pan w niewolę do niejakich M’Gruderów w Carmel.

– W niewolę!? – oburzył się. – Absurd. Oni tylko mi pomogli. Oczywiście, znali Nancy. Wiedzieli, że może narobić kłopotów. Chodziło jedynie o odseparowanie jej od podejrzanego towarzystwa, z jakim przestawała, i...

– Powtarzam tylko, co mówi Nancy. Wszyscy wiemy, że nie jest zdrowa, panie Abbott. Twierdzi, że M’Gruderowie wyświadczyli panu przysługę, upijając ją i pakując w sytuację, podczas której zrobiono jej zdjęcia w kompromitujących sytuacjach. Te fotografie zostały później wysłane waszemu ojcu, aby, jak twierdzi Nancy, zyskał pan pewność, że zostanie jedynym spadkobiercą. Utrzymuje, że potem pan i ojciec próbowaliście ją oddać do zakładu zamkniętego, ale uciekła stamtąd i jakiś czas pozostawała na wolności, aż wreszcie pan ją wytropił i odesłał na Wyspę Nadziei.

Dana pięknie to odegrała. Patrzyłem na jego twarz. Miał spory wachlarz reakcji. Próbował robić wrażenie rozbawionego i oburzonego zarazem. Prawie mu się udało. Ale nie do końca. Trzeba obserwować niedoróbki.

– Chcecie powiedzieć, że ktoś może uwierzyć w takie bzdury?

– Niekoniecznie – zaprzeczyłem. – Mogą tylko chcieć to sprawdzić.

– Ale dlaczego?

Skinąłem na Danę. Wyjęła zdjęcie ze swojej wielkiej torebki. Wysunąłem je z koperty, nachyliłem się i podałem Alexowi Abbottowi. Wziął je drżącymi dłońmi. I patrzył. Przełykał nerwowo ślinę.

– Tego nie było... – odezwał się piskliwym głosem.

Dał się złapać.

– Ona je miała? Moja siostra je miała?

– To jedno z wielu. Pan Burley trzyma je w sejfie.

– Ale skąd one się u niej wzięły? Przecież nie miała ich, kiedy tam trafiła?

– Ktoś przysłał je pocztą – wyjaśniłem. – Ale pan, zdaje się, coś chciał powiedzieć? Że tego nie było... Tak?

Popatrzył niewinnie i uśmiechnął się smutno.

– Chyba muszę być z wami szczerzy.

– Bylibyśmy ogromnie wdzięczni – powiedziała Dana.

– Przyznam, że popełniłem błąd, kiedy... zorganizowałem jej wyjazd do M’Gruderów. Wiedziałem, że prowadzą bogate życie towarzyskie.

Sądziłem, że będzie się z nimi dobrze bawić, a oni przypilnują, żeby nie wpakowała się w jakieś kłopoty. Nie miałem pojęcia, że oni idą na takie numery.

Oddał mi zdjęcie.

– Spodziewałem się, że pan się trochę bardziej zezłości – przyznałem.

– Prawdę mówiąc, były też inne zdjęcia Nancy. Ojciec dostał je pocztą, z listem, w którym żądano pieniędzy. Doszło do ostrej awantury między nim a Nancy. Wtedy wyjechała, a on pokazał mi zdjęcia. Był zrozpaczony, wręcz zdruzgotany. Kazał mi zniszczyć te fotografie i tak zrobiłem, z ochotą. Kilka dni po tym, jak Nancy znikła, ktoś zadzwonił do ojca w sprawie pieniędzy. Tata powiedział, żeby poszli do diabła i że mogą sobie robić z tymi zdjęciami, co tylko zechcą.

– Nie skontaktował się z policją?

– Nie.

– Czy ten człowiek, który telefonował, czymś mu groził?

– Nie. Tata mówił, że był całkiem uprzejmy. Mówił, zdaje się, z angielskim akcentem klasy niższej. Powiedział, że pewnie odezwie się znowu, ale, o ile mi wiadomo, już nie dzwonił. Na jednym ze zdjęć byli... no tak, M'Gruder z moją siostrą. Przyznam, że byłem na niego wściekły. Pojechałem się z nim zobaczyć. Siedział w domu sam, bo Patty go zostawiła. Potem dowiedziałem się, że małżeństwo zostało unieważnione. Nie wyglądało na to, że czuje się winny albo że jest mu wstyd, nic z tych rzeczy. Po prostu miał to gdzieś. Moje argumenty nie zrobiły na nim wrażenia. Stwierdził, że nie jest ani nigdy nie był niańką, bez względu na to, co mogło mi się wydawać. Nie wiedział, gdzie jest Nancy. Tak naprawdę liczyłem, że ją tam wtedy u nich zastanę. Chciałem się dowiedzieć, kto zrobił zdjęcia tego... cyrku.

– On wiedział?

– Twierdził, że nikt z uczestników imprezy ich nie robił i że to musiał być ktoś z teleobiektywem.

– Czy wyglądał na zaskoczonego tymi zdjęciami?

– Nie. Zastanawiałem się, czy z niego też nie próbowali wycisnąć pieniędzy.

– Spytał pan o to?

– Nie. Obraził się, stracił cierpliwość i najwyraźniej chciał się mnie jak najszybciej pozbyć.

– Rozpoznał pan jakieś inne osoby na tych zdjęciach?

– Poza M’Gruderami tylko jednego faceta, artystę plastyka, którego... Nagle urwał i zmarszczył brwi.

– Dlaczego tak mnie pan wypytuje o te zdjęcia, panie McGee? Wzruszyłem ramionami.

– To chyba naturalne. Pan Burley też się nimi zainteresował. Mają pewne znaczenie dla samooceny Nancy. Przypuszczam, że kiedy widzi w nich spisek, uknutą intrygę, jest jej lżej.

– Panie McGee, jeśli Nancy kiedykolwiek liczyła na połowę spadku, to przekreśliła swoje szanse na długo przedtem, zanim te zdjęcia zostały zrobione, niech mi pan wierzy. Oczywiście będę ją utrzymywał do końca jej życia. Ale to, o co pan prosi, wydaje się...

– O, nie sądzę, aby miała sprawiać panu większe kłopoty.

– Nie widzę powodu, żeby w ogóle mieć z nią problem.

Uśmiechnąłem się i wzruszyłem ramionami.

– Ośrodek może wezwać kogoś, kto udzieli jej porady prawnej. Wie pan, jak to jest. Różnie bywa. A mówi pan, że majątek jest spory. To, co ona opowiada, brzmi logicznie. Ale pewnie najwyżej opóźni zatwierdzenie testamentu.

Przypatrywał się paznokciowi na swoim kciuku. Odgryzł małą sterczącą z boku skórkę, wstał, podszedł do okna i zaczął się kołysać, przenosząc ciężar ciała z pięt na palce.

– Mówi pan, że ona wydaje się szczęśliwa na tej wyspie?

– Ma tam przyjaciół i złudzenie wolności.

Nie oglądając się, drążył dalej:

– A to pogorszenie się jej stanu, o którym pan wspomniał. Czy to się pogłębia?

– Wszystko na to wskazuje.

– Czyli jeśli zapłacę za dodatkową opiekę przez... powiedzmy, następne pół roku, po tym czasie ona...

– Powiedzmy półtora roku.

– Zaryzykuję rok. Nie więcej.

– Przekażę to panu Burleyowi.

Spojrzał na zegarek.

– Elaine denerwuje się, kiedy zostawiam ją tam samą na dłużej. No to... dziękuję za informacje. Do widzenia.

Wyszedł, unikając patrzenia nam w oczy.

Jadąc windą na dół, Dana spojrzała na mnie i wolno pokręciła głową.

– Jesteś cholernie dobry, Trav. Lepszy, niż myślałam. Bezczelny. Niezły z ciebie drań. Wiesz dobrze, co on pomyślał. Że podzielisz się zyskiem z Burleyem. Sądzi, że wniesiesz sprawę w jej imieniu, jeśli będzie się stawiał. A siedziałeś tam jak niewiniątko, uprzejmy do mdłości. O rany!

– Taki facet nie uwierzy w nic, w czym nie ma jakiegoś przekrętu.

– Taki facet sprawia, że mam ochotę od razu wyszorować się pod prysznicem. Lepiej, żeby nie zostawiali go sam na sam z kochanym tatusiem. Jest niecierpliwy.

Zanim uruchomiłem silnik auta, obejrzałem się na nią.

– Podsumuj – poprosiłem.

– Co? Aa. To nie on zlecił zdjęcia. Facet, który je zrobił, ma akcent jak Anglik z niższych warstw społecznych. M’Gruder wiedział o fotografiach. I coś jeszcze. Niech pomyślę. O, małżeństwo M’Grudera zostało unieważnione. Coś przeoczyłam?

– Też jesteś całkiem dobra.

– Mam chorobliwie poukładane w głowie.

Pojechaliśmy z powrotem do centrum. San Francisco to najbardziej przygnębiające miasto w Ameryce. Jak się jest tam po raz pierwszy, można to przeoczyć. Można zachwycić się stromymi ulicami, wzgórzami Nob, Russian i Telegraph, tajemniczym mostem rozwieszonym nad wodami i tonącym w nocnej mgle, różnorodnością aglomeracji – dzielnicami chińską, hiszpańską, grecką czy japońską, zabudową ze stali i szkła, która wygląda na imponujące centrum kulturalne. To wszystko może wydać się piękne.

Ale wielu z nas kochało to miasto takim, jakie było dawniej – niczym zwariowana dziewczyna z klasą, jedna z tych, co spacerują po deszczu, mają roześmiane szare oczy i bujne ciemne włosy. Gibka energiczna kobieta, która umie się śmiać z ciebie albo z tobą, albo z siebie, kiedy trzeba. Mówi zaskakujące i cudowne rzeczy. Dziewczyna, w której można zakochać się miłością, uderzająca do głowy.

Niestety, utraciła tę magię. Dawniej nią obdarzała, teraz sprzedaje ją turystom. Jest parodią samej siebie. Jej sylwetka stała się ociężała. To, co teraz mówi, robi wrażenie wyuczonych frazesów. Zbyt wiele liczy sobie za swoje wyrachowane usługi.

Jeśli jednak jesteś z Dayton lub Amarillo, albo Wheeling, Scranton czy Camden, San Francisco może cię oczarować, bo nie miałeś okazji zobaczyć, czym potrafi być miasto. To dostało swoją szansę, aby

zachować twarz, ale jakoś ją straciło i od tej pory zaczęło staczać się po równi pochyłej. Dlatego jest tak bardzo przygnębiające dla tych, którzy je znali kiedyś. Wszyscy wiemy, jakie mogło być. I wszyscy wiemy, że popełniło paskudny błąd. Odepchnęło tych, którzy je najbardziej kochali. Niewielu zostało takich, co nie tracą nadziei. Herb Caen. Kilku innych. Ale słowa miłości brzmią dziś pusto.

## 8

Badanie starej sprawy może być śmiertelnie nudne i zniechęcające, jednak z tą szło nam nadspodziewanie dobrze, być może dlatego, że było nas dwoje, dwa zestawy przeczuć, dwa zestawy pomysłów, dwa różne podejścia.

Znaleźliśmy Caswella Edgarsa w Sausalito. Musiał przybrać z dziesięć kilogramów od czasu tamtych zdjęć. Mieszkał z chudą, wyschniętą na wiór blondynką, kobietą pod sześćdziesiątkę, w zabałaganionym jak chlew drogim domu. Lada chwila Cassie miał zacząć przygotowania do indywidualnej wystawy, którą ona mu organizowała. Muzyka w domu nastawiona była tak głośno, że mniej solidna chałupa rozpadłaby się na kawałki. Blondynka ubrana była w potwornie obcisłe spodnie. Miała brudne kostki i szyję, a pod okiem siniak, który robił się już żółty. Chichotała jak nastolatka. Ewidentnie oboje byli na haju. Ze sposobu zachowania podejrzewałem pewien psychotrop. Dom pachniał zakisłym praniem. W ich związku był jakiś niepokojący luz, desperacja; łatwo było wyobrazić sobie, że w tym rozmemłaniu prędzej czy później podpalą ten dom i będą pękać ze śmiechu, zanim odkryją, że wszystkie drzwi są zablokowane. Ona gadała bez końca o biednym starym Henrym, który musiał być jej mężem, ale nie potrafiłem się zorientować, czy jeszcze żyje. Jeśli zmarł, to najpewniej został pochowany na podwórku, pod chwastami. Edgars nie wiedział absolutnie nic na temat jakichkolwiek zdjęć. Ale bez problemu przypomniał sobie tamtą imprezę. Mówił jak muzyk, ale nie najlepiej mu szło.

– Człowieku, to dopiero była balanga. Ta mała z kina to niezła sztuka. Ostra lisiczka. Ktoś chciał postraszyć ją tymi zdjęciami? Niesamowite.

– Rzeczywiście.

– Sonny wymienił kelnerkę na wysoką brunetkę, a potem spłonął. Ciężki sposób zarabiania na chleb, człowieku, i można się spalić.



Czytałem gdzieś o tamtym wypadku.

– Włącz moje płyty, Cassie, biedroneczko ty moja, dobrze?

Nie sądzę, aby którekolwiek z nich zauważyło, kiedy wyszliśmy, albo żeby robiło im to jakąś specjalną różnicę. Mimo że w aucie było ciepło, Dana dostała dreszczy.

– Wykreśl jeszcze jednego kandydata, Dano, biedroneczko ty moja.

– Przestań – powiedziała cicho.

– Jak to się mówi, mężczyźni cierpią w milczeniu.

– Trav?

– Tak?

– Myślę, że tamten taras przynosił pecha. Sonny Catton, Nancy Abbott, Carl Abelle... i Caswell Edgars.

– Zemsta niebios?

– Nie wiem. Może. Niewykluczone.

• • •

Podzwoniła, żeby zrobić rozeznanie w sprawie posiadłości M'Gruderów w Carmel. Ich dom został sprzedany prawie rok temu. Mniej szczęścia mieliśmy z informacjami prasowymi. Dokopałem się do jakichś wcześniejszych wiadomości o M'Gruderze. Jego starszy brat zginął podczas wojny. Ojciec wynalazł jakieś niewielkie urządzenie, które okazało się niezbędne w każdej, nawet najmniejszej, fabryce na świecie. Vance M'Gruder jakieś trzy lata temu ożenił się z niejaką Patricią Gedley-Davies w Kalifornii, dokąd sprowadził ją najwyraźniej z Londynu. Pływała w załogach jego mniejszych jachtów. Nie była to śmietanka towarzyska, ale w grę wchodziły spore pieniądze, więc można byłoby sądzić, że unieważnieniu małżeństwa poświęcone zostanie nieco więcej niż sześć linijek tekstu na trzydziestej szóstej stronie. Małżeństwo rozpadło się mniej więcej dwa miesiące po tamtej imprezie.

Dana Holtzer siedziała w moim pokoju hotelowym. Zdjęła buty i oparła wyżej stopy. Marszczyła czoło w zamyśleniu. Miała już za sobą popołudniowy niedzielny telefon do Lysy Dean.

– To unieważnienie małżeństwa... – zaczęła. – Jeśli wziąć pod uwagę wspólnotę majątkową, zostało załatwione dziwnie małym kosztem, nie sądzisz?

– Rzeczywiście.

– Przy zamkniętych drzwiach czy poufnym przesłuchaniu, jak zwał, tak zwał. Tylko sędzia, oni i adwokat, i każdy wyraził zgodę na wszystko, a sędzia oświadczył, że uznaje małżeństwo za niebyłe czy coś w tym rodzaju. A to nie była potulna kobieta, Trav. Raczej władcza awanturnica. Powiedzmy, że pojawiła się znikąd i poślubiła majątnego człowieka. Czy poddałaby się bez walki? Dlaczego nie stawiała oporu?

– Poza tym gdzie jest teraz?

Nie znaleźliśmy odpowiedzi na te pytania. Ale mogliśmy wszystko to sprawdzić. Zdecydowałem, że w poniedziałek się rozdzielimy, ponieważ chciałem oszczędzić trochę czasu. Ja sprawdzę sobie jeden trop. Ona posłuży się rejestrem Lloyda, aby rozejrzeć się wśród żeglarzy, amatorów regat na oceanie. Obmyśli sobie odpowiednią bajeczkę i zobaczy, jakie plotki uda jej się zebrać.

Cały dzień lało, więc aura idealnie pasowała do biur, które odwiedziłem. Agencje detektywistyczne nie potrzebują specjalnych upiększeń. Wręcz wolą nie rzucać się w oczy, a ich klienci przeważnie nie rozglądają się za ładniejszymi zasłonkami. Większość oferujących usługi to smutni, sflaczali, bladzi, zwaliści osobnicy. Działają mniej więcej z takim samym zapałem jak faceci, którzy przychodzą, żeby zrobić ci w domu dezynsekcję.

Nim wszedłem do trzeciej agencji, gadka szła mi już całkiem gładko. „Nazywam się Jones”, mówiłem z emfazą, dając do zrozumienia, że jakkolwiek, tylko nie Jones. Moja praca polega na tym, że „prowadzę własny program inwestycyjny”. To sprawiało, że w zmęczonych oczach pojawiał się malutki błysk. Moja żona, Włoszka, się puszcza. Jestem pewien co do dwóch facetów. Może jest ich trzech. Potrzebuję kogoś, kto uwieczni ją *in flagranti*, bardzo dyskretnie, nie budząc podejrzeń, tak, żeby się nie zorientowała. Ze zdjęciami w ręku będę się mógł z nią targować i wyplątać z tego małżeństwa, nie ponosząc zbyt wielkich kosztów.

Nie, szanowny panie, my się tym nie zajmujemy.

A kto? Do kogo powinienem się zwrócić?

Nie umiem panu poradzić.

W czwartej agencji trafiłem na podejrzanego typka, który był dostatecznie pazerny. Wyglądał na byłego glinę. Nie dobrego policjanta, ale drobnego cwaniaczka. Łatwo było zgadnąć, że ta mieszanka chciwości i głupoty nie rokuje dobrze także w jego obecnej

pracy. Przyjmował klientów w jednej z tych hal biurowych, gdzie ma się swój kąt, otrzymuje pocztę, można korzystać z usług centrali telefonicznej i działającego na okrągło sekretariatu – do spółki z całą hałastrą telemarketerów, handlarzy mało chodliwych towarów, niezależnych sprzedawców biżuterii i tak dalej.

Wysłuchał mojej historii, patrząc na mnie z ukrywanym bólem bezzębnego krokodyla oceniającego grubego brązowego psa na brzegu rzeki. Zastanawiał się, jak się do mnie dobrać. Przysunęliśmy krzesła i nachyliliśmy się do siebie. Miał oddech, który świadczył o postępującej próchnicy.

– Panie Jones. Może jestem w stanie pomóc, a może nie. To kwestia pieniędzy. Rozumiemy się?

– Oczywiście.

– Znam kogoś, kto by się nadał. To ścisła czołówka. Jak się za coś weźmie, wyniki murowane. Ale ma wysokie stawki.

– Jak wysokie?

– Biorąc pod uwagę ryzyko i całą resztę, sądzę, że nie zejdzie poniżej pięciu tysięcy. Ale to prawdziwy profesjonalista i przyniesie takie zdjecia tej włoskiej amatorki podwójnej gry, że to ją przygwoździ. Ten facet ma warsztat i sprzęt, ale jest dziwny. Jak nie chce mu się pracować, to nie pracuje.

– Jeszcze nigdy o czymś takim nie słyszałem.

– Jak każdy artysta jest humorzasty, rozumie pan?

– Chyba już wiem, co pan ma na myśli.

– Jeśli ktoś go przekona, to ja. Ale nie chciałbym tracić swojego czasu na namowy. Potrzebuję gwarancji z pana strony. Zabezpieczenia, że jest pan poważnie zainteresowany, przynajmniej na tyle, żeby wynagrodzić mi pierwszy etap starań, jakich mam się podjąć, a konkretnie próbę dodzwonienia się do niego na drugi koniec kraju.

Wyjąłem portfel i trzymając go pod blatem biurka, wyciągnąłem sto dolarów, które położyłem mu przy łokciu.

– Tak będzie dobrze?

Wielka łapa wylądowała na banknocie i już go nie było. Wierzchem drugiego łapska otarł usta.

– Świetnie. Teraz niech pan idzie poczekać w korytarzu. Jest tam ławka, można sobie przysiąść.

Czekałem prawie kwadrans. Jacyś dziwni ludzie wchodzili i wychodzili. Wynajmujący biura, petenci i klienci. Ludzie z ukrytych

rewirów. Tacy, którzy zdają się wyłaniać spod wilgotnego podbrzusza rzeczywistości i sprawiają wrażenie, jakby mogli okazać się wielkim zaskoczeniem dla psychiatry czy bakteriologa.

Wyszedł i przycupnął tuż przy mnie, sapiąc mi w kołnierz swoim ohydny oddechem.

– Sytuacja wygląda tak, że nie mogę go złapać, ale najwyraźniej dostałem dobry kontakt i jest ktoś, kto by tu się nam sprawdził, potrzebuję tylko trochę czasu.

– Dlaczego nie może pan dotrzeć do faceta, o którym pan mówił?

– Od jakiegoś czasu nie żyje. Nie wiedziałem. Nic nie słyszałem o tym, bo on wyjechał z miasta.

– Jak się nazywał?

– Są tu chłopcy nie gorsi od niego. Tylko niech pan powie, jak mam się z panem skontaktować. Wtedy, jeśli nagram kogoś, za kogo mogę ręczyć, że zrobi, co trzeba, to...

– Za kilka dni zadzwonię.

– Biorąc pod uwagę, że muszę się trochę rozejrzeć, żeby znaleźć panu właściwą osobę, może dałby mi pan jeszcze jeden taki banknocik w charakterze zaliczki?

– Porozmawiamy o tym, jak pan kogoś znajdzie.

Po jeszcze kilku podjętych bez większego przekonania próbach, szurając nogami, ruszył z powrotem do swojego biurka. Portki miał wysiedziane na tyłku. Siwiejące włosy opadały na gruby kark.

W jakichś ośmiu susach dopadłem najbliższego zapyziałego baru, zamknąłem się w budce telefonicznej i zadzwoniłem. Zapamiętałem nazwisko dziewczyny, która siedziała na dyżurze w centrali telefonicznej. Było wypisane w informacji obok jej stanowiska pracy.

– Panno Ganz, tu sierżant Zimmerman. Oddział Bunco. Około dwudziestu minut temu łączyła pani zamiejscową dla pana Gannona.

– Kogo? Słucham?

– Proszę podać nazwisko osoby, do której dzwonił, numer i kierunkowy tego połączenia.

– Ale ja nie jestem upoważniona...

– Mogę wysłać po panią ludzi, panno Ganz, i kazać przywieźć panią tutaj, jeśli pani woli.

– Pan... Zimmerman?

– Jeśli chce się pani upewnić, panno Ganz, proszę do mnie oddzwonić na komendę. Mamy bezpośrednią linię.

I podałem jej numer do automatu telefonicznego. Trochę już ochłonęła i musiałem ryzykować albo obejść się smakiem.

Pół minuty później odezwał się dzwonek. Włożyłem kciuk w kącik ust, podwyższyłem głos o pół oktawy i powiedziałem:

– Bunco, Halpern.

– Z sierżantem Zimmermanem, poproszę.

– Chwileczkę.

Odliczyłem do dziesięciu.

– Zimmerman.

– Mówi Ganz – przedstawiła się szybko. – W związku z pana prośbą: to był telefon do pana D.C. Ivesa w Santa Rosita. Osiemset pięć-siedemset sześćdziesiąt pięć-czterdzieści cztery-trzydzieści cztery. Połączenie zostało przerwane. Potem zadzwonił do pana Mendeza w Santa Rosita, osiemset pięć-trzysta osiemdziesiąt cztery-siedemdziesiąt dziewięć-czterdzieści dwa. Rozmawiali niecałe trzy minuty. Czy o to panu chodziło, panie sierżancie?

– Dziękuję pani bardzo za pomoc, panno Ganz. Zachowamy pełną dyskrecję co do źródła tej informacji. Możemy prosić panią o podobne dane w przyszłości.

– Zawsze chętnie służę pomocą – odparła.

Miła, efektywna, ostrożna dziewczyna. Musiała się upewnić, że rozmawia z policją.

Dana wróciła do hotelu nieco po szóstej. Wyglądała mizernie i była roztrzęsiona. Uśmiechała się nerwowo. Zawołała mnie, kiedy tylko przyszła, a ja ruszyłem korytarzem do jej pokoju. Kobietę w tym stanie powinno się przytulić i trochę poklepać dla dodania otuchy, ale nie byliśmy w takich stosunkach, żebym mógł sobie na to pozwolić.

Zapaliłem drżącego w jej dłoni papierosa. Zaczęła krążyć po pokoju.

– Jestem teraz kumpelką od drinkowania pani T. Madison Devlaney Trzeciej. Nazywam ją Piskotką, jak właściwie wszyscy. Wylewałam alkohol do doniczek. A ona upiła się do nieprzytomności. Ma dwadzieścia dziewięć lat. Jest o dwa dni młodsza od Vance'a M'Grudera. Znają się od zawsze. Ma cieniutki głosik, dziesięć tysięcy piegów, dziesięć milionów dolarów i mięśnie jak akrobatka cyrkowa. Co rano pływa, po południu gra w tenisa, co wieczór tankuje. Dziś nie było tenisa. Skręciła nogę w kostce.

– Jaką bajeczkę kupiła?

– Trav, nie gniewaj się, ale nie dotarłabym do niej, gdybym nie skorzystała z najlepszej dostępnej rekomendacji. Z Lysy Dean. To otwiera wiele drzwi. A ja mam te wizytówki.

– Nie mówiłem, że nie wolno ci tego wykorzystywać. Powiedziałem tylko, że jak nie musisz, nie wspominaj o Lee.

– Musiałam. Powiedziałam jej, że Lysa zna Vance’a. Zdradziłam, że zakłada małą firmę producencką i myśli o tym, żeby akcja jej pierwszego filmu toczyła się podczas słynnych regat na oceanie, na przykład na Hawajach, i dlatego kazała mi sprawdzić, czy może liczyć na pomoc właścicieli wielkich jachtów. To nonsens, oczywiście, ale ludzie tak mało wiedzą o przemyśle filmowym, że uwierzą we wszystko. Na gorąco coś tam improwizowałam.

– I ona to kupiła? Świetnie. A co z M’Gruderem?

– Niech spojrzę. O, mam mnóstwo na jego temat. Jest zwariowany na punkcie kondycji fizycznej. Doskonały żeglarz. Niesamowicie skąpy. Jak popije, bywa agresywny, wręcz brutalny. Małżeństwo z Patricią Gedley-Davies było, według jego przyjaciół, groteskową pomyłką. Powiedziała to przynajmniej ze czterdzieści razy. Groteskowa pomyłka. Piskotka i jej przyjaciele są przekonani, że Patty pracowała w Londynie jako call-girl. Nie powiedziałabym, że ktokolwiek szczególnie przepada za Vance’em, ale cieszą się, że ten związek się rozpadł. Sądzą, że to małżeństwo było skandalem. I że na szczęście nie mieli dzieci.

Wyjęła swój mały notes.

– Nowa żona jest podobno urocza. Nazywa się Ulka Atlund. Skończyła osiemnaście lat kilka dni przed ślubem. Jej matka nie żyje. Ojciec przyjechał tu z córką dwa lata temu. Miał wykładać na uniwersytecie San Francisco przez rok i został na kolejny. Sprzeciwiał się temu małżeństwu, ale potem uległ, pod warunkiem że ona po podróży poślubnej będzie kontynuować naukę. Planują podróżować pół roku. Od dwóch miesięcy są w drodze. Piskotka słyszała gdzieś, że Vance chce, aby łódź z Acapulco sprowadził za niego ktoś inny. Za dużo zmagania się z wiatrem w drodze powrotnej. Według Piskotki, Vance zamierza spędzić dwa ostatnie miesiące podróży poślubnej w swoim domu na Hawajach. Wróci, kiedy Ulka znów podejmie studia.

– A coś na temat unieważnienia ślubu?

– Tu wszystko robi się dość mętne.

Zmęczyło mnie już to jej krążenie po pokoju. Złapałem ją za nadgarstki i popchnąłem lekko, aż tył jej nóg trafił na brzeg krzesła.

Usiadła i spojrzała na mnie zaskoczona.

– Coś ci powiem, panno Holtzer. Ta sprawa od samego początku jest dość mętna. Nie dałem się w to wciągnąć z powodu oszalamiającego czaru Lysy Dean. To przez ciebie w to wszedłem.

– Co? Co?

– Gdyby przysłała kogokolwiek innego, odmówiłbym. Ty robiłaś wrażenie tak upartej, lojalnej, nieustępliwej i surowej. Tak cholernie uczciwej. Przy tobie poczułem się jak jakiś brudny oportunist. Na ludzi reaguję emocjonalnie, choćbym nie wiem jak próbował temu zaprzeczać. Chciałem ci udowodnić, że jestem dobry w tym, co robię.

– To jakiś nonsens!

Cofnąłem się i usiadłem na jej łóżku.

– Oczywiście. No, a teraz, na ile mętnie wygląda ta sytuacja?

Wzruszyła ramionami.

– Piskotka nie wie nic na sto procent. Ale ktoś coś tam komuś powiedział, krążą plotki. Chodzi o Nancy Abbott. Najwyraźniej w paczce Piskotki dominuje teoria, że Patty M’Gruder gościła Nancy w Carmel i praktycznie trzymała ją pod kluczem, bo ona... Patty... zakochała się w Nancy. Mówi się, że Vance się na to zgadzał, ponieważ chciał mieć dowód, że Patty weszła w związek małżeński z nieszczerymi intencjami, ukrywając swoje prawdziwe skłonności. Posłużył się Nancy... Piskotka mówi o niej stale „to biedne chore dziecko”... aby zdobyć argument, a kiedy mu się to udało, Patty nie miała już najmniejszych szans przeszkodzić mu w unieważnieniu małżeństwa. I wszystko poszło bardzo gładko.

– To by wyjaśniało, dlaczego Nancy krzyczała, że Patty ją więziła.

– Też tak sędzę. Potem Patty wyjechała. Piskotka mówi, że „się zmyła”. Ale ktoś widział ją kilka tygodni temu w Las Vegas. Nie w którymś z tych wspaniałych wielkich hoteli, tylko gdzieś w centrum, pracującą w lokalu o nazwie The Four Treys. Rozmieniała pieniądze, jak rozumiem. Byle jakie zajęcie. Na pewno niewielu z dawnych przyjaciół mogło się tam na nią natknąć. W każdym razie pani T. Madison Devlaney nie wie nic... albo przynajmniej nic nie wspomina o jakichkolwiek zdjęciach. Miałam szczęście, że ją złapałam. Ona z mężem i jeszcze inną parą lecą w tym tygodniu na Hawaje. Wszyscy oni najwyraźniej uwielbiają Hawaje. Devlaneyowie trzymają tam swoją łódź.

– Świetnie się spisałaś, Dano.

– Dziękuję. Mają piękny dom. Ona naprawdę strasznie się upiła. A ty dowiedziałaś się czegoś istotnego?

– Nie wiem. Chyba wytropiłem faceta, który zrobił zdjęcia. Ale mieszkał czterysta osiemdziesiąt kilometrów stąd. Wygląda na to, że zlecił mu to M’Gruder. Myślę, że tak możemy zakładać, przynajmniej na razie. Ale nie mam dowodu na kontakt M’Grudera z tym fotografem. Jedna rzecz natomiast przekonuje mnie, że zlokalizowałem właściwego człowieka. On nie żyje.

– Co takiego?

– Powiedzmy, że zostawił sobie jeden komplet zdjęć. Bo go rajcowały, na pamiątkę albo coś w tym rodzaju. Umarł. A te zdjęcia dostały się w ręce kogoś, kto...

– Racja.

– Gość nazywał się najprawdopodobniej D.C. Ives. I najprawdopodobniej mieszkał w Santa Rosita. Sprawdźmy, czy mógł mówić jak Anglik z niższych warstw społecznych, a jeśli tak, to zyskamy dużo większą pewność.

– I za to właśnie mamy się teraz zabrać?

– Z jednym małym przystankiem po drodze.



## 9

W zimny słoneczny wtorkowy ranek wdrapałem się od tyłu na skarpe. Daleko w dole skłębione fale miarowo uderzały o skały. Złapałem się skarłowaciałego od wiatru drzewka i podciągnąłem wyżej, skąd mogłem się rozejrzeć. Zaskoczony, gwałtownie przykucnąłem, żeby się schować. Nie spodziewałem się, że taras Chipmannów jest tak blisko. Patrzyłem na niego z góry pod kątem jakichś trzydziestu stopni, może dlatego wydawało się, że jest tuż obok. Ale musiał być, jak oceniłem, jakieś sto metrów ode mnie. Szczególna ironia losu – na tarasie była naga kobieta. Leżała na brzuchu na spłowiałym niebieskim materacu do opalania. Od zachodniego wiatru nieco osłaniał ją murek, a ona dodała do tego parawan, taki z błyszczącego metalu, żeby chwytać ciepło promieni słońca. Była niezwyklej rozmiarów, kariatyda, ciało spalone na heban, włosy utlenione na len, uda jak baryłki piwa, ramiona jak u mistrza świata w wadze ciężkiej. Uznałem, że to musi być pani Chipmann, urocza przyjaciółka Carla, która użyczyła mu domu na romansowanie z gwiazdą. Dziwnie było widzieć ten taras w jaskrawych kolorach po oglądaniu go tak wiele razy w wersji czarno-białej. Odwróciła twarz w moim kierunku. Na oczach miała okulary przeciwsłoneczne. Obok materaca stała szklanka do połowy wypełniona sokiem pomidorowym.

Nie było żadnego innego miejsca, z którego taras mógł być obserwowany, miała więc wszelkie powody, żeby czuć się swobodnie. Cofnąłem się z pola widzenia. Obejrzałem się za siebie i popatrzyłem w dół, gdzie dostrzegłem kawałek bagażnika naszego bladoszarego wypożyczonego z Avisa auta, które zaparkowałem na przecince. Jeszcze raz uważnie zlustrowałem skarpe. Bez sensu było spodziewać się, że znajdę cokolwiek po półtora roku. A jednak szczęście mi dopisało. Zauważyłem wetknięte w szczelinę skalną, zgniecione małe tekturowe pudełko. Niegdyś żółte, teraz wypłowie od słońca, deszczu

i wiatru niemal do białości. Byłem w stanie odczytać ślad napisu: Kodak Plus-X Pan.

Zabrałem je ze sobą na dół i podałem Danie, kiedy siadałem za kierownicą. Zmarszczyła brwi zaskoczona i dopiero po chwili rozpoznała, co to jest. Popatrzyła na mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

– Boże, dlaczego przez takie coś wszystko staje się bardziej rzeczywiste? A wydawałoby się, że nie ma nic bardziej realistycznego niż tamte zdjęcia. Ale to jest... jak jakieś wykopalisko, w pewnym sensie. To bardziej... namacalne.

– Nie daj się wciągnąć, Dano. Prowadzenie śledztwa może uzależnić.

– Upiorne uczucie. Chyba mi się to nie podoba. W pewnym sensie to nie fair, Travis, takie docieranie do ludzkich tajemnic. To ich umniejsza, nie sądzisz? A kiedy stają się mali, ty sam czujesz się większy. Czy na tym polega ta fascynacja?

– Nie wiem.

– Ale w jakiś sposób się w tym spełniasz?

– Dajmy temu spokój, dobrze?

– Przepraszam, nie zdawałam sobie sprawy, że to drażliwy temat...

– Możemy?

– Dobrze!

Jechałem szybko na południe z nadąsaną, milczącą kobietą.

Od czasów popularyzacji teorii Freuda nie potrafimy powstrzymać się od grzebania w sobie, żeby sprawdzić, gdzie boli. Tylko nie ma mamusi ani nikogo, kto pocałuje, by potem przestało.

Jeśli nawet uzależniłem się od takich łowów, to co z tego? Jedyne problem, że taka praca uniemożliwia ustawkowanie się. Rezygnuje się z gromadki dzieci i kominka, regularnych awansów w pracy i zaproszeń do komitetu osiedlowego dla kilku, bardzo rzadkich, momentów czystej satysfakcji bliskiej absolutnego szczęścia. I może po drodze udaje się zachować odrobinę prywatności. Nasz drogi Wuj Sam posiada dwadzieścia trzy tysiące wariografów. Wykrywaczy kłamstw. Bóg jeden wie, ile takich jest w firmach. Nie wystarcza im już poddawanie cię seriom testów osobowości, chcą się upewnić, czy przypadkiem nie tylko dla świętego spokoju dajesz im odpowiedzi, jakich według ciebie oczekują. Chcą cię zaszufłakować raz na zawsze, bracie. Właż i siedź cicho, a za jakieś czterdzieści lat cię pochowamy.

Mam na tym punkcie obsesję, która ogarnia mnie od czasu do czasu. I odnoszę wrażenie, że to ostatni moment w historii, kiedy takie

wyrzutki jak ja mają szansę uchronić się w zakamarkach i szczelinach ogromnej, sztywnej struktury coraz bardziej skodyfikowanego społeczeństwa. Za pięćdziesiąt lat dopadliby mnie na ulicy, wywiercili mi małe dziurki w czaszce i przerobili na rozsądnego, odpowiedzialnego, dostosowanego obywatela.

Jestem, żeby wyrazić to najbrutalniej, romantykiem. Na widok wiatraków od razu gwizdzę na swojego białego rumaka. Tak jakby Lysa Dean była damą w niebezpieczeństwie. Uroczą niewinną dziewczyną.

– W każdym razie... – powiedziałem na głos – ona sprawia wrażenie uroczej niewinnej dziewczyny.

Dana przez moment nic nie mówiła, tylko kiwała głową. A potem aż podskoczyła.

– Nie rób tak! – krzyknęła.

– Czego mam nie robić?

– Nie wchodź tak do mojej głowy! Skąd wiedziałeś, o czym myślę?

– Nie wiedziałem.

Nie wyglądała na przekonaną. Popatrywałem na nią, kiedy mogłem oderwać wzrok od monotonicznie, sennie przesuwanego się naprzód po autostradzie szeregu samochodów. I nagle staliśmy się sobie bliżsi. To było jak przełom. Oboje wiedzieliśmy, że coś się wydarzyło, ale nie umielibyśmy tego nazwać. Zaczerwieniła się i odwróciła głowę. Nie mogłem już jej obserwować. To był kolejny znak. Pamiętałem pierwsze spotkanie z ciemnowłosą opanowaną kobietą o wyrazistych rysach. Obcą. Teraz to się zmieniło. To była Dana. Ktoś inny. Oczy Dany, usta Dany, Dany włosy, uszy i ciało. Dziewczyna niepowtarzalna i wyjątkowa, i nieporównywalna z nikim, kogo wcześniej znałem. Dana z tym kochanym, lekko krzywym zębem.

• • •

Santa Rosita była mniejszą wersją Santa Barbary. Trzy gałęzie gospodarki – elektronika, plastik i turystyka – wykorzystane na maksa. Podobna ekspansja. Niesamowicie nudne, błyszczące od nowości osiedla pięły się na wzgórze, a na podjazdach identycznych domków stały identyczne kombi, identyczne barbecue, w ogródkach na jedną modłę bawiły się identyczne dzieci, a wewnątrz ich rodzice oglądali te same programy telewizyjne. Wirginia, to tu leży prawdziwa Santa

Rosita, pełna plastikowych ludzi, plastikowych domów, sieci centrów handlowych. Ale nie trzeba winić tutejszych mieszkańców za to, że są tak nudni i totalnie z siebie zadowoleni. Bo, widzisz, nie ma tu już nikogo, kto mógłby im powiedzieć, kim są i co naprawdę powinni robić.

Najnudniejsze agencje prasowe na świecie wypełniają ich zmonopolizowane gazety schlebiającą im papką. O radiu lepiej nie mówić. Telewizję napędza minimalna oglądalność na poziomie trzydziestu milionów. A cokolwiek lubi trzydzieści milionów, pomijając najbardziej intymne czynności, musi być kiepskie. Ich szkoły to centra dostosowania do życia w grupie, zaprogramowane, by zawstydzać buntowników. Ich kościoły to cotygodniowe głosowanie w sprawie wiary w Boga. Ich politycy są niesamowicie sympatyczni i nigdy nie mówią nic kontrowersyjnego. To, co ci ludzie kupują, jest z każdym rokiem coraz bardziej tandetne, choć bardziej kolorowe. Tym, którzy nadal jeszcze coś czytają, wystarczają głównie bajania Urisa, Wouka, Rand i innych mało kreatywnych pisarzy. Czym karmi się ich w wydawanych tu magazynach, o tym decydują nerwowe komitety redakcyjne.

Widzisz, nie ma już nikogo, kto zadałby im jakiegokolwiek kłopotliwe pytanie. Takie jak na przykład: Skąd idziecie i dokąd, i czy warto?

Oni są bezrefleksyjni. Nie chcą, żeby ich budzić ze snu.

A co roku wypełniają niezliczone ankiety, pokornie i z powagą i każdy ma przypisany numer, którym ma się posługiwać przez całe życie.

Czy przebudzi ich pocałunek? Czują jakiś niejasny niepokój o swoje młode. Boże, dlaczego te dzieci nie doceniają ich świata, najlepszego z możliwych? Co odbiło tym zbuntowanym punkom? Tym... tym cholernym wyrzutkom społecznym?

Wirginia, przez dziwną alchemię bogów, ma obecnie szokująco duży odsetek dzieci, których IQ jest wyższe od przeciętnej. Te nastolatki nie są sentymentalne. Pewnego dnia przestaną bawić się tranzystorami, diodami i elektroniką, popatrzą na wyjałowione miasto i zaczną zadawać brutalne pytania. Albo zbudują maszynę, która je zada.

Na razie Santa Rosita, w stanie Wirginia, nadal istnieje, i wygląda tak, jakby jakiś cyniczny geniusz zaprojektował wielką kolonię karną w słonecznej krainie, eliminując potrzebę stawiania wieżyczek

strażniczych i ogrodzeń z drutów kolczastych, wyświetlając więźniom dzień i noc wielki napis na elektronicznym ekranie:

*Jesteście w raju! Cieszcie się! Jeśli tu nie jesteście szczęśliwi, to nigdzie wam się to nie uda! Głosujcie! Konsumujcie! Dokładajcie się! I nie zapomnijcie podać swojego numeru ewidencyjnego.*

• • •

Wyruszyliśmy z północy o szesnastej. Był pierwszy wtorek marca. Zameldowałem nas w dwóch pojedynczych pokojach w motelu sieci Lubratorium Moderne. Dana chciała zatelefonować do panny Dean, a ja spróbować połączyć się z Mendezem. Po krótkim wahaniu zdecydowałem, że nie skorzystam z centrali motelowej. Ostrożność wchodzi w krew. Jeśli ma się wybór, lepiej nie zostawiać śladów.

Wesoły dziewczęcy głos oznajmił:

– Gallagher, Rosen i Mendez, dzień dobry.

– Mmm... czy mogę mówić z panem Mendezem?

– Chwileczkę.

– Dzień dobry, sekretariat pana Mendeza. Czym mogę służyć?

– Czy zastałem pana Mendeza?

– Właśnie prowadzi rozmowę na drugiej linii. Czy mogę do pana oddzwonić, czy woli pan poczekać?

Poczekalem. Wolną ręką przerzucałem książkę telefoniczną. To była kancelaria adwokacka.

– Tak, słucham? – powiedział w pośpiechu poirytowanym głosem Mendez.

– Przepraszam, że pana niepokoję, ale potrzebujemy adresu najbliższej rodziny pana D.C. Ivesa.

– To znaczy, kto potrzebuje?

– Keller Photo, proszę pana. Dostaliśmy obiektywy do reperacji. Były na gwarancji, ale długo to trwało. Musiały wrócić do producenta w Niemczech, bez dodatkowych kosztów, ma się rozumieć, a teraz...

– Panno Trotter? Proszę dać temu człowiekowi adres Jocelyn Ives.

Usłyszałem, że odkłada słuchawkę.

– Halo? – odezwała się znów panna Trotter. – Proszę chwileczkę zaczekać.

Szybko wróciła.

– Ma pan coś do pisania? Panna Jocelyn Ives, Appleton Way dwadzieścia osiem-dwadzieścia dziewięć. Numer siedemset sześćdziesiąt pięć-trzydzieści jeden-dziewięćdziesiąt dwa. Zanotował pan?

– Dziękuję. A tak przy okazji, kiedy zmarł pan Ives?

– O, parę dni przed świętami Bożego Narodzenia. I tak przeżył dłużej, niż sądzono. Tyle dni po tak straszliwym urazie głowy. Co za szkoda. Taki talent.

– No cóż, tak bywa.

– Mam nadzieję, że wreszcie ich znajdą.

– Wszyscy byśmy tego chcieli. Dziękuję, panno Trotter.

Wyszedłem z budki telefonicznej, ale zaraz do niej wróciłem i spróbowałem wybrać numer, który mi podała. Po trzech dzwonekch odezwała się kobieta.

– Czy jest Georgie?

– To chyba pomyłka – odparła.

Przeprosiłem i odłożyłem słuchawkę. Zamyślony poszedłem z powrotem do motelu. Znałem ten akcent. Brzmi jak cockney, ale to co innego. Tak mówią Australijczycy.

Dana skończyła właśnie rozmowę z Lysą Dean. Panna Dean donosiła o sukcesie akcji promocyjnej i pozytywnym przyjęciu premiery *Wichrów losu*. Miała wkrótce jechać z całą ekipą w trasę promocyjną do Nowego Jorku. Planowano pokazy zamknięte i tak dalej, cztery dni, a potem Chicago.

Opowiedziałem, co ustaliłem, i dodałem, czego się domyślałem. Dana sprawiała wrażenie bardziej zaintrygowanej niż zszokowanej.

– Zamordowany?

– Na to wygląda.

– Pracował w niebezpiecznej branży.

– Najszybciej się dowiemy szczegółów przez tę jego siostrę.

– Mogę jechać z tobą?

– Ja zacznę. Spróbuję sam. Potem ty będziesz mogła podejść ją z innej strony.

• • •

Appleton Way było tam, gdzie diabeł mówi dobranoc. Dookoła bazy ciężarówek, okoliczne zabudowania wyburzone, żeby zrobić miejsce dla jakiejś trudnej do wyobrażenia inwestycji. Ale ulica nadal sprawiała złudne wrażenie cichej okolicy. Jakieś domki, stare ogródki w pseudomauretańskim stylu, spłowiła cytrynowożółta farba na starych stiukach. Dom z numerem 2829 stał na jednej z większych działek. Do drzwi prowadził sklepiony boczny korytarz. Za nimi mieściło się ponure niewielkie mieszkanie, o zdecydowanie zbyt małej liczbie okien. Patrzyła na mnie przez kilkunastocentymetrową szparę, na jaką pozwalał łańcuch. Pomyślałem, że to raczej córka, nie siostra.

– Czego pan chce?

Trzeba mieć do tego nosa, natychmiast wyczuć słabe punkty. Ta dziewczyna była ostrożna i wyniosła. Widziałem, że jest wysoka i blada, Alicja w krzywym zwierciadle. Dwudziestoletnia stara panna. Są takie. Wybujale pulchne ciało, niezdarne, w mało atrakcyjnym swetrze. Twarz dziecka. Zaczerwienione nosy. Blade, grube wargi.

– Chciałbym się upewnić, czy mam przyjemność z panną Jocelyn Ives. Czy mogłaby pani okazać jakiś dowód tożsamości? – spytałem cicho konfidencjonalnym tonem.

– A po co mam to robić?

– Ma pani taki sam akcent.

– Kim pan jest? Czego pan chce?

– Pracowaliśmy razem nad pewną sprawą jakiś czas temu. Dawno. Przyjechałem skontaktować się z nim i właśnie dowiedziałem się, że nie żyje.

Przygryzła wargę, a potem, ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, puściła do mnie porozumiewawczo oczko. Zamknęła drzwi, odpięła łańcuch i zaprosiła mnie do środka.

– Niech pan wejdzie – powiedziała serdecznie.

Kiedy zamknęła za mną, dodała:

– Rozumiem, dlaczego nie może mi pan podać swojego nazwiska.

– O... to dobrze.

– Tędy, proszę. Straszny tu bałagan. Dziś nie pracuję.

Poszedłem za nią mrocznym korytarzem do niewielkiego salonu. Był zastawiony meblami zbyt dużymi i zbyt drogimi jak na to małe wnętrze. Wszędzie leżały porozkładane odbitki fotograficzne, również na podłodze, niektóre stały poopierane o meble i ściany. Wiele z nich było pogiętych. W pośpiechu niezdarnie oczyściła dwa krzesła.

– Proszę siadać. Robiłam porządki. Lens Lab... tutejsza grupa hobbystów... chcą wystawić jego najlepsze prace. W czytelni. A tyle tego jest. Już się w tym gubię.

– Doskonale panią rozumiem. Te prace wyglądają imponująco.

– O, tak! Teraz na mnie spoczywa odpowiedzialność, by wszyscy dowiedzieli się, jak świetnym fotografem był ojciec. Mam zamiar przygotować też wystawę objazdową. Jest też, oczywiście, pewne zainteresowanie w Rochester.

– Oczywiście.

Usiadła naprzeciw mnie i splotła dłonie.

– Miałam wielką nadzieję, że ktoś się pojawi. To wszystko było dla mnie takie trudne.

– Doskonale rozumiem.

– Biedny pan Mendez robił, co mógł, żeby wszystko wyjaśnić dla celów podatkowych. Ale jak się trafi nagle na sporą sumę w gotówce, to bywa skomplikowane. I, oczywiście, nie mogłam mu wytłumaczyć, skąd wzięły się te pieniądze. Nie mogłam mu powiedzieć. Jeśli to miało być na nieprzewidziane wydatki, to przykro mi. Teraz to wszystko idzie przez sądy, urząd podatkowy i tak dalej. Jak sądzę, w końcu je dostanę, albo przynajmniej to, co mi zostawią po położeniu łapy na reszcie. Przynajmniej dom można sprzedać. Wie pan, miałam nadzieję, że ktoś się tu pojawi. I wygląda pan prawie dokładnie tak, jak sobie wyobrażałam.

– Jak mogę pani pomóc?

– Trzymałam język za zębami zgodnie z wolą ojca. I chyba niepotrzebne mi jakieś pośmiertne uhonorowanie go. Powiedział, że na coś takiego żaden z was nie może liczyć. Nauczył mnie, żebym była bardzo ostrożna i dyskretna, jeśli chodzi o... kontakty, i żebym nie zadawała mu pytań. Zastanawiam się, czy nie mógłby pan pójść do pana Mendeza i wyjaśnić mu, jaki rodzaj pracy wykonywał dla was ojciec. Pewnie to ułatwiłoby proces spadkowy.

– Przykro mi. Nie jestem do tego upoważniony.

– Tego się obawiałam. – Westchnęła. – O Boże. I ci głupi policjanci nadal będą myśleli, że zabił go ktoś dla drobniaków, które miał w kieszeni?

– Obawiam się, że tak.

Popatrzyła na mnie bardzo uważnie.



– A tak naprawdę, skąd mam wiedzieć, czy jest pan tym, za kogo pana biorę?

– Nie nosimy nic w rodzaju legitymacji.

– Na pewno. To nie byłoby bezpieczne, jak sędzę.

Wydawała się zmieszana.

– Ale dlaczego nie wiedział pan, że on nie żyje?

– Nie było ze mną kontaktu.

Miałem już wizję, jak to się wszystko układa. Było w niej coś niezdrowego. Tłusta, lśniąca cera, zjełczały zapach w zabałaganionym, ciemnym mieszkanku. Ale to była jego ukochana córka. Szantaż potrzebował przykrywki. Może to jej najpierw się uroiło, że ojciec angażuje się w jakąś tajną, patriotyczną misję, a kiedy go o to spytała, najłatwiej było przytaknąć. I, oczywiście, to wrogowie go zamordowali.

Musiałem znaleźć odpowiedni sposób, żeby się otworzyła. Nachyliłem się do niej.

– Jocelyn – szepnąłem. – Chyba mogę ci obiecać, że pewnego dnia to wszystko będzie można powiedzieć.

Płynące łzy jak ślimaki zostawiały na jej pucołowatych białych policzkach śluzowate ślady. Wyrwał się jej ochrypły szloch...

Podobało mi się, jak Dana słucha. Nie czuła potrzeby wypełniania ciszy pytaniami. Wiedziała, że wszystko jej opowiem. Nie widziałem jej wyraźnie, ponieważ siadła pod oknami w ciemności. Światło z lampki padało na mój łokieć, odbijając się od srebrnego kubka.

– Ives lubił żyć dostatnio – mówiłem. – Pracował jako fotograf na zlecenia w Melbourne. Moda, zdjęcia do wiadomości, tego typu rzeczy. Ekipa z Hollywood kręciła tam film. Dostał pozwolenie, żeby robić zdjęcia na planie. Jego portrety najwyraźniej okazały się fantastyczne, a i spodobały się gwiazdom, więc studio ściągnęło go do Los Angeles. To było osiem lat temu. Miała wtedy dwanaście lat. Spędził tam cztery lata i świetnie sobie radził. Dobrze im się powodziło. A potem coś poszło nie tak. Domyślam się, że trafił na czarną listę. Zresztą, chyba nieważne, dlaczego był spalony. Córka twierdzi, że to przez zazdrość, bo jego prace były zbyt dobre. Wtedy przeprowadził się do Santa Rosita i urządził pracownię w mieszkaniu. Śluby, przyjęcia, uroczystości wręczania nagród, portrety. Niezła przykrywka. Ona sądzi, że miał jeszcze inne lokum w mieście. Jest z niego taka dumna. Dumna z tego cynicznego sukinsyna z jego sportowymi autami, pięknym domem i gosposią.

Wstałem, wziąłem obydwie srebrne kubki i przyrządziłem nam po kolejnym drinku.

– Pokazywała mi wycinki prasowe. Wyjechał gdzieś. Ona nie wie dokąd. Nie było go dwa dni. Wrócił. Wyszedł z domu, ale powiedział, że najwyżej na godzinę. Była dziesiąta wieczorem, dziesiątego grudnia. Znaleźli jego samochód pusty i zamknięty na ulicy Verano. On leżał jakieś trzy metry dalej. Ktoś zaciągnął go za magazyn. Miał roztrzaskaną czaszkę, puste kieszenie, przepadł też zegarek. Sądzili, że nie żyje, ale serce biło jeszcze przez pięć dni. Na ile ona się orientuje, nie wpadli na trop winnego. Nikt nie wie, co robił w tej okolicy. Są tam głównie jakieś warsztaty, wieczorami jest pusto.

Po dłuższej chwili zapytała:

– Zostawił jej coś?

– Małe ubezpieczenie. Dom. Około trzydziestu ośmiu tysięcy gotówką, na razie zatrzymanych, dopóki nie wyjaśni się sprawy podatków. Poza tym mnóstwo aparatów fotograficznych, wyposażenie studia, ciemni i sterty fotografii artystycznych.

Zapytała, czy jestem pewny co do Ivesa. Trzymałem to dla niej na koniec. Powiedziałem, jak wydobyłem to z tej dziewczyny.

– Kochająca córka pomagała tatusiowi w operacji i migiała zielonym światłem do ciebie, żebyś wyrzucała paczki z pieniędzmi.

Dana wolno pokręciła głową.

– Wyobrażałam sobie tam jakichś straszliwych łotrów... a to była tylko ta biedna prosta dziewczyna pomagająca tacie w szpiegowskiej robocie. Co za łajdak, żeby tak ją narażać!

A ja pomyślałem ze smutkiem, jak łatwo byłoby Lysie Dean zdusić problem w zarodku, zanim wszystko wymknęło się spod kontroli.

– Ives mógł ufać córce – wyjaśniłem. – I nie musiał się z nią dzielić. Ona nawet nie wiedziała, co jest w tych paczkach. Wykorzystywał ją podobnie, na różne sposoby, przy innych przedsięwzięciach.

– Lojalna, mała pomocniczka – powiedziała Dana. – Całkiem jak ja.

– Chodź, zjemy coś.

Włożyła sweter. Przy drzwiach zatrzymała mnie.

– Trav, nie wzbudziłeś w niej podejrzeń, że... wszystko wyglądało inaczej, niż się jej zdawało, co?

– Wychodząc, powiedziałem, że może być dumna z taty. Stała wyprostowana, a z jej pyzatej twarzy kapały łzy.

Dana ścisnęła mnie za ramię. W światłach na zewnątrz jej ciemne oczy wydawały się zaszklone.

– Jak wosk.

– Co, moje ramię?

– Idiota, twoje cholerne ramię jest jak wyciosane z drewna. Po prostu cieszę się, że zostawiłeś jej chociaż złudzenia.

– Zastanawiam się, na jak długo.

– Co masz na myśli?

– Ktoś go zabił. Jeśli znajdą winnego, wyjdą na jaw motywy. Może pogadam z glinami.

– Po co, kochanie? – zapytała po prostu.

– Kochanie?

- O, zamknij się! Tak mi się... niechcący wyrwało.
- Dziś to już drugi raz.
- Po co chcesz gadać z glinami?
- Bo bardzo możliwe, że oni wiedzą trochę więcej, niż sądzi panna Ives. A my zbliżamy się do sedna sprawy. Gdzie się podziały odbitki D.C. Ivesa?

• • •

Trafił mi się sierżant Starr. Bill Starr. Niski facet koło czterdziestki, bardzo wesoły, energiczny. W dwudziestu procentach składał się z nosa i wyglądało na to, że oberwał w ten nos przynajmniej raz z każdej możliwej strony. Pod nosem pojawiał się sympatyczny uśmiezek. To był kawalarz, beczka śmiechu. Najwyraźniej chciał, żeby go lubić. Nosa było tak dużo, że łatwo można było przegapić oczy. Małe, kocie, żółte i tak miękkie i łagodne jak przekrój mosiężnego pręta.

W schludnym małym biurze miał półkę na puchary zdobyte za różne sprawności. Wiele z nich za strzelanie. Zerwał się, przysiadł na rogu biurka i uśmiechnął się do mnie promiennie.

– Po co miałbym się bawić w jakieś gierki, chłopie? Czy ja jestem handlowcem? – rzucił. – Może wobec tutejszych mieszkańców. Jeśli chcę zdobyć jakieś informacje. To tak. Ale mogę przyskrzynić twoją szarą sfatygowaną dupę i potrzymać cię tu, aż zmięknie i nabierzesz ochoty na współpracę.

Zachichotałem tak wesoło jak i on.

– Przyjaciel, któremu wyświadczam przysługę, strasznie by się zmartwił. Nie ma tu żadnych wpływów, oczywiście. Poza prawnikami, których można kupić za pieniądze. Tych jest w stanie wynająć całe zastępy, jeśli zajdzie taka potrzeba. Nie jestem notowany, sierżancie. Ale lekkomyślni ludzie nieraz próbowali mnie w coś wrobić. I oberwałem w łeb od paru tradycjonalistów. Byłaby więc to bardzo niewygodna sytuacja dla nas obu. Ja już jestem chętny do współpracy z panem. I bardzo liczę na wzajemność.

Pozbierał wszystkie karty i legitymacje z biurka i podał mi je.

- McGee, są tu wszystkie dokumenty poza tym właściwym.
- Czy trzeba rekomendacji, żeby wyświadczyć przyjacielską przysługę?

– Powtórzę raz jeszcze. Jeśli miałby pan oficjalne pełnomocnictwa, to może wolno by było panu chronić swojego klienta. Ale pan nie ma nic takiego. Musi mi pan powiedzieć, kto pana wynajął!

– Ależ mówiłem panu, panie sierżancie, że może do tego dojdziemy, jeśli wszystko pójdzie dobrze. Poza tym, nikt mnie nie wynajął. To tylko...

– O mój Boże, zapomniałem! Przyjacielska przysługa.

Sięgnął po kapelusz.

– Może wybierzmy się na kawę.

Ruszył z parkingu i pojechaliśmy dziesięć przecznic dalej do baru drive-thru. Ładna kelnerka, która była z nim na ty, przyniosła nam kawę i puchate pączki.

– Ja zacznę – odezwałem się. – D.C. Ives. Czasem facet musi zostać sprzątnięty, zanim ludzie zaczną podejrzewać jakieś hocki-klocki.

– Hocki-klocki. Czy to nie urocze? Można tak to nazwać. Prawo nie wymaga, aby miało się konto w banku, ale niemal wszyscy z domami za czterdzieści tysięcy dolarów je mają. Jego udokumentowane dochody to pięćdziesiąt, sześćdziesiąt dolarów tygodniowo. Wydatki grubo ponad tysiąc miesięcznie. Mógł więc żyć z zaoszczędzonych dawno temu sporych pieniędzy albo mniejszych sum zarobionych z doskoku na bieżąco.

– Zarabiał z doskoku.

– Wielkie dzięki. Tego już się sam domyśliłem.

– Jak?

– Pana ruch, znowu, panie McGee.

– Miał studio i ciemnię w domu, ale też inną metę. Podejrzewam, że gdzieś w pobliżu ulicy Verano. Coś małego. Świetny powiększalnik na klisze trzydzieści pięć milimetrów, sprzęt do robienia i suszenia odbitek o rozmiarach dwadzieścia na dwadzieścia pięć, wyposażenie nie do seryjnej produkcji, prawie jak bardzo sprawnego amatora, do pracy w pojedynkę.

– Żeby robić co?

– Czy teraz nie pana kolej, sierżancie?

– No dobrze. Robił tam to, czego nie chciał robić w domu, ze względu na córkę. Po powrocie ze szkoły pomagała mu w domowej pracowni. Dużo podróżował. Krótkie wypady. Zlecenia, jak mówił. Powiedziałbym, że to nie były jakieś standardowe świńskie zdjęcia.

Tam nie ma specjalnych wymagań. I kiepsko płacą. Jak pan sądzi, o co w takim razie chodziło, panie McGee?

– O dyskretny, dobrze przygotowany, fachowy szantaż. Plus może jakieś szpiegostwo przemysłowe. A może tylko zdjęcia z dużej odległości różnych osób w niewłaściwym towarzystwie. Dyrektora rozmawiającego z konkurencją, bankiera z jakimś spekulantem. Ujęcia przez teleobiektyw, tego rodzaju rzeczy. Jak dostawał zlecenia? Niektóre z oficjalnie działających agencji. Inne z szarej strefy. Jak mu się powiodło i upolował kogoś ważnego, mógł wycisnąć mnóstwo forsy.

– Aż w końcu się na tym przejechał i rozbił sobie głowę.

– Najprawdopodobniej.

– McGee, jeśli chcesz wyświadczyć przysługę przyjacielowi i położyć łapę na jakichś odbitkach czy negatywach, możesz sobie odpuścić.

– Zniknęły?

– Gdyby zginął na miejscu, może zadziałalibyśmy szybciej. Znaleźliśmy jego kanciapę. Na rogu magazynu. Z osobnym wejściem. Trafiliśmy na nią, badając teren. Na wszystkich jego odciski palców. Niewiele miejsca na przechowywanie odbitek, ale i tam było pusto. Żadnych negatywów. Ktoś włamał się do kartoteki. Drzwi wejściowe musiały zostać otwarte kluczem i z powrotem zamknięte. Porządny zamek. W szafce na dokumenty, głęboko, była blaszana kasetka na pieniądze. Wieko zostało podważone.

– Co jeszcze pan trzyma w zanadrzu, panie Starr?

– Ja? Chyba siebie!

– No dobrze. Moja przyjaciółka to chora smutna dziewczyna. Przebywa na Wyspie Nadziei na Bastion Key, na Florydzie. Nazywa się Nancy Abbott. Jest alkoholiczką. Od wielu miesięcy mieszka w tym ośrodku. Jej bogaty tata, architekt, umiera albo już umarł w San Francisco. Ives półtora roku temu zrobił jej cichcem paskudne zdjęcia. A teraz opowiedz mi resztę.

– Sprawdzę to sobie. A reszta? No dobrze. Ustaliłem, że bez wątpienia do włamania doszło najwcześniej dzień po tym, jak ktoś walnął Ivesa w głowę. Klucz do małego laboratorium był w kieszeni fotografa. Ives miał pracownika. Trochę opóźnionego w rozwoju. To Samuel Bogen, lat czterdzieści sześć. Latami utrzymuje się z pobieranych od czasu do czasu zasiłków. Miał kłopoty dwadzieścia lat temu. Za podglądanie i obnażanie się w miejscach publicznych. Ze cztery razy dostawał za to po trzy miesiące. Z tego, co się

zorientowałem, Ives wykorzystywał go do ostatnich prac, płacił dolara za godzinę za mycie kuwet, suszenie zdjęć, takie tam rzeczy. Zanim zdołaliśmy go namierzyć, Bogen zapadł się pod ziemię. Może to tylko niegroźny świr. A może rzucił się na swojego szefa i rąbnął go w łeb. Mamy powody sądzić, że wsiadł do autobusu do Los Angeles. Od tamtej pory na niego polujemy. Średniego wzrostu, średniej budowy, okulary, zepsute zęby, siwiejący szatyn, znaków szczególnych brak, nic charakterystycznego. Żadnej rodziny. Nie zostawił żadnego tropu w wynajmowanym trzy przecznice od ulicy Verano umeblowanym pokoju. Jest jeszcze coś, co sprawia, że za bardzo się nim nie interesuję. Podobno mniej więcej we właściwym czasie z miejsca zdarzenia ruszyło na pełnym gazie jakieś auto, a Bogen nigdy nie miał samochodu i nie umie prowadzić.

Nie mogłem ryzykować dalszego drażenia sprawy Bogena. Bałem się, że ten mały tygrys sprawdzi wszystko i wyskoczy z nazwiskiem Lysy Dean.

– I kto był na tych zdjęciach z córką Abbotta? – zapytał głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Byłem gotów na to pytanie.

– Kierowca rajdowy Sonny Catton. Zginął w zeszłym roku. Uderzył w mur.

– Gdzie zrobiono te zdjęcia?

– Gdzieś nad Point Sur, w jakiejś prywatnej rezydencji, jak sądzę.

– Półtora roku temu, mówi pan? To skąd ta presja, żeby je teraz odzyskać?

– Martwiła się, że zostaną użyte do szantażowania jej umierającego ojca.

– Jak pan trafił na Ivesa?

– To bardzo długa historia, sierżancie. Niech pan pozwoli, że o coś spytam. Przypuśćmy, że ktoś miał jakąś robotę dla Ivesa. Nie mógł się z nim skontaktować. Zadzwoił więc do Mendeza z kancelarii Gallagher, Rosen i Mendez i dowiedział się, że Ives nie żyje. Czy to coś znaczy?

– Też się nad tym zastanawiałem, ale Charlie Mendez jest czysty. Rozumie pan, małe usługi za małe pieniądze. Jak urząd pocztowy.

– Jakie wnioski końcowe, panie sierżancie?

– Dla kogo, dla mnie? No dobra. D.C. Ives był bardzo śliski, cwany i uważny. Ale pewnego wieczoru zapomniał o ostrożności i jeden z jego gołąbków go dopadł. Kiedy Bogen usłyszał, że szef jest umierający,

dostał się do pracowni, używając własnego klucza. Zabrał nieprzystwoite zdjęcia, pieniądze i uciekł.

– W takim razie dla mnie sprawa skończona, panie sierżancie.

– Jest pan pewien?

– To była tylko przyjacielska przysługa.



Wyjechaliśmy w czwartek wcześniej rano i ruszyliśmy do miasta, do domu Lysy Dean w kanionie, ogrodzonego okazałym, wysokim różowym murem. Obsługa była zredukowana do małżeństwa Koreańczyków, pokojówki i ogrodnika. Kiedy ten ostatni zobaczył Danę, uśmiechnął się szeroko i otworzył przed nami wielką metalową bramę. Dzień był bardzo ciepły. Posiadłość Lysy miała około pięciu tysięcy metrów kwadratowych, a dom zaprojektowany dla niej i jej trzeciego męża przez meksykańskiego architekta można było spokojnie nazwać aztecką Cuernavacą.

Dana oprowadziła mnie po terenie. Cudowna roślinność, pusty basen, psy zamknięte. Spacerując po tonącym w ciszy tarasie, następnie po puchatych białych dywanach, na ciemnych ścianach wyłożonych boazerią naliczyłem pięć naturalnej wielkości olejnych portretów właścicielki. I ani jednego portretu byłego małżonka.

Dana chciała się przebrać i zabrać trochę rzeczy. Pokazała mi, jak mieszka. Zajmowała mały funkcjonalny apartament naprzeciw części domu przeznaczonej dla służby. Składała się na niego dość surowa sypialnia, duża luksusowa łazienka oraz małe biuro, gdzie panował nienaganny porządek. Stał tam rząd sporych szarych szafek na dokumenty i ogromne biurko z metalu. W sypialni zobaczyłem zdjęcie. Dana, młodsza, uśmiechnięta, trzymała troskliwie noworodka. Zapatrzony w dziecko młody mężczyzna o miłej przystojnej twarzy obejmował żonę.

Dostrzegła moje spojrzenie i powiedziała z nieco nadmiernym naciskiem:

– Zaczekaj na mnie tam, w biurze, proszę. Zaraz będę gotowa.

Na półce w jej gabinecie zobaczyłem opracowane scenariusze filmów Lysy Dean. Tytuły wypisano złotymi literami. Były wśród nich *Wichry losu*. Wziąłem scenariusz i otworzyłem na przypadkowej stronie.

Wydawało mi się bardzo wątpliwe, aby kiedykolwiek w życiu ktoś wypowiadał takie kwestie.

Odłożyłem tom z powrotem na półkę i przechadzałem się nerwowo, analizując, co do tej pory udało nam się ustalić. Było sporo wątków. Właściwie aż za dużo. Ale nie miałem pojęcia, na ile wiążą się one ze zleconym mi zadaniem. Nie było szans odzyskać pieniędzy, które Lysa Dean zapłaciła Ivesowi.

Wydawało się dość oczywiste, że Bogen zaczął teraz robić interesy na własną rękę. List do Lysy pasował do osoby opisanej przez Starra. Na pewno z grubsza nauczył się od Ivesa, co się robi w laboratorium fotograficznym. Jeśli policja szuka tego gościa bezskutecznie od trzech miesięcy, to ja raczej nie miałem wielkich szans go wytropić.

Mogliśmy polecić na wschód i złapać Lyse w Nowym Jorku. Zdać relację. Składając skargę normalnymi kanałami, przez policję, mogliśmy dostać do wglądu wszystko, co mają na temat Bogaena. Osoby odpowiedzialne za bezpieczeństwo gwiazdy powinny zostać uprzedzone, by uważać, czy nie pojawi się ktoś do niego podobny. Gdyby należała, moglibyśmy przygotować na niego zasadzkę, używając jej jako przynęty. Dzięki odrobinie wyczucia i wielkiemu szczęściu doprowadziłem sprawę najdalej, jak tylko mogłem.

Przypuszczałem, że Bogen zwił ze sporą sumą oraz całym stosem kompromitujących zdjęć i zadekował się gdzieś, może w Los Angeles. Uciekł szóstego grudnia. Te fotografie mogły mieć fatalny wpływ na jego i tak już zwichrowaną psychikę. Bardzo mało prawdopodobne, żeby Bogen był w stanie sporządzić sobie porządną listę nazwisk i adresów. Może Ives miał zdjęcia z wielu swoich cichych misji. Jeśli Bogen chciał kogoś naciągnąć na kasę, musiał ograniczyć się do tych twarzy, które znał. Może na zdjęciach były jeszcze inne znane osoby. Jak to szło po kolei? Na początku stycznia, miesiąc po ucieczce z Santa Rosita, Bogen pojawił się w Las Vegas i zostawił przesyłkę dla Lysy Dean w recepcji The Sands. Wiedział z gazet, gdzie w danej chwili jest aktorka. Potem nie kontaktował się przez dwa miesiące. Może zajął się tropieniem innych znanych ludzi, uchwyconych podstępnie obiektywem Ivesa? A może czeka, aż Lysa Dean wróci w okolice Los Angeles?

W każdym razie będzie jej lżej, kiedy dowie się, co za wariat lata ze zdjęciami, które mogą zrujnować jej życie, jak się nazywa i jak

wygląda. Niech zdecyduje, ile to jest dla niej warte. A ja zgarnę dla siebie ładną sumkę z pieniędzy na wydatki.

Morderstwo Ivesa to nie moja sprawa. Lista podejrzanych była długa jak wąż boa.

Ale nie podobało mi się zakończenie tej sprawy. I nie podejrzewałem, żeby Lysa Dean mogła być nim zachwycona.

Z sypialni wyszła Dana ubrana w ładny zielony kostium, niosąc w ręku przepakowaną walizkę.

– Gotowi? – rzuciła odrobinę za wesoło.

Wydawała się bardzo spięta. Podszedłem i wyjąłem z jej rąk walizkę.

– To miejsce działa mi na nerwy – powiedziała, a jej pogodny głos zadrżał. – Nigdy tak nie było. Nie wiem dlaczego. Mam wrażenie, że ledwie znam Danę Holtzer, która tu mieszka. Czuję się tak, jakby lada chwila mogła wejść i zapytać, kim ja, do cholery, jestem.

– Uważaj na nią. To damulka zimna jak lód.

Zatrzymała się w progu, żeby obejrzeć się na mnie. W wyrazie jej twarzy pojawiła się jakaś bezbronność i rezerwa zarazem.

– Travis?

– Tak, kochanie.

– Nie zniosę zbyt wielu zmian. Proszę cię, przestań. Jak coś się zaczyna kruszyć... to się rozpadnie, wiesz.

– Lubię cię. Po prostu. Nic więcej.

Skinęła głową.

– Ale trochę za dużo się śmialiśmy. Rozumiesz?

– Rozumiem. A dziś wieczorem wracasz do zaprzęgu.

– To zdjęcie, które tam zobaczyłeś. Czy coś ci wyjaśnia?

– Wygląda dokładnie tak, jak mogłem je sobie wyobrazić. Nie musisz mi nic tłumaczyć. Nie potrzebujemy robić żadnych zastrzeżeń ani nic zmieniać. Do diabła z tym. Jedźmy na lotnisko.

Uniosłem jej brodę i pocałowałem ją w kącik ust, po stronie tamtego lekko krzywego zęba. Szybki buziak, jak w rodzinie. Uśmiechnęła się, ale po policzku spłynęła jej jedna łza. Ruszyłem za nią, kiedy pobiegła, stukając obcasami po tarasie, z szumem zielonej spódnicy, napinając silne łydki, wyprostowana, z uniesioną głową.

Było wczesne popołudnie, a my mieliśmy dwadzieścia minut do wezwania na pokład samolotu. Nadaliśmy bagaż. Kupiłem gazetę, żeby przejrzeć wiadomości. W małej notce na pierwszej stronie dodatku

rzuciło mi się w oczy nazwisko. Pracownica kasyna zamordowana w Las Vegas. Patricia Davies. Ktoś zatłukł ją wczoraj wieczorem na stopniach przyczepy mieszkalnej. Była żona sportowca, Vance'a M'Grudera.

Bez słowa pokazałem to palcem i podałem gazetę Danie. Popatrzyła na mnie wystraszona.

– Nie mogę tego zostawić – powiedziałem. – To mógł być Bogen.

– Ale... nasz bagaż...

– Dano, ty leć do Nowego Jorku. Zajmij się moimi sprawami po drugiej stronie. Ja sprawdzę, co tu się dzieje, i dołączę później.

– Ale miałam być z tobą.

Wziąłem ją za nadgarstki i lekko nią potrząsnąłem.

– Powinnaś lecieć do Nowego Jorku. Jesteś dużą dziewczynką. Nie muszę ci dawać wytycznych. Ty i ja... nie mamy już czasu.

Nie odwróciła wzroku od moich oczu, a jej usta wymówiły bezgłośnie to słowo: „czasu”. Jej twarz nie była już taka surowa. Wydawała się młodsza.

– Dziękuję – powiedziała uroczyście. – Dziękuję, Travis, że rozumiesz. To już koniec.

Puściłem jej rękę.

– Szefowa czeka na ciebie – dodałem, nie patrząc na nią. – Jedź.

Szepnęła coś o załatwieniu mi biletów i poszła w tłum. Patrzyłem, jak odchodzi, i przez moment miałem w oczach groteskowy, bezsensowny obraz, kiedy czujesz, jak wielka drapieżna ryba szykuje się do ostatniego, wielkiego, zapierającego dech w piersiach skoku, i widzisz, jak wybija się wysoko i szarpie jeszcze raz łbem, a przynęta ląduje ci na kolanach. To skojarzenie nie było zbyt trafne. Zrobiłem się orędownikiem ochrony przyrody, bo tym razem nie poderwałem wędkę i pożegnałem się.

Czekałem i czekałem. Wzywano pasażerów jej lotu. Podszedłem do bramki. Nie było jej tam. Zapytałem więc przy stanowisku linii lotniczych. Sprawdzili dla mnie listę dokładnie i powoli. Ta pasażerka odwołała rezerwację tuż przed wylotem. Ogarnął mnie lęk, złość i zacząłem się niepokoić. Cały czas zachowywałem się zbyt nonszalancko, byłem zbyt pewny siebie i może ktoś bardzo szybki i bystry wynurzył się z ciemności.

Przemierzałem przestrzenie terminalu, szukając swojej ubranej na zielono dziewczyny. I w końcu ją znalazłem. Była w sklepie z męską

garderobą, właśnie coś kupowała. Wbiegłem do środka. Rzuciła mi zaskoczone, pełne winy spojrzenie, a potem dzielnie stawiała mi czoło.

– Kochanie, mówiłam ci, zawsze zapominam twój numer kołnierzyka. Co za kłopot, jak się zgubi bagaż. Czy te będą dobre? Nie trzeba ich prasować. Wystarczą więc dwie, nie sądzisz? Ale jaki rozmiar, kochanie?

– Czterdzieści pięć. Rękaw dziewięćdziesiąt jeden – odpowiedziałem potulnie.

– Dwie takie w tym rozmiarze, poproszę. I nie masz nic przeciwko elastycznym skarpetkom, prawda? Bokserki na osiemdziesiąt cztery w pasie, tak? Nie, proszę nie pakować. Od razu to sobie tu wrzucę.

Położyła na ladzie małą walizkę. Tania z oksydowanego na niebiesko aluminium. Kiedy wkładała zakupy do środka, zauważyłem też kilka damskich rzeczy i jakieś torebki z drogerii. Zatrzasnęła walizkę i czekała na resztę.

– Mamy lot za jakieś dwadzieścia minut – powiedziała.

Wziąłem walizkę i zaniósłem do poczekalni. Przystanąłem w zacisznym kącie, odstawiłem bagaż i odwróciłem się do Dany.

– Rozum ci odebrało czy co?

Wpiła silne lodowate palce w mój nadgarstek i popatrzyła na mnie w górę.

– Będzie dobrze – szepnęła. – Naprawdę. Wszystko w porządku.

– Ale...

– Nie udało mi się wycofać bagażu. Już go załadowali do samolotu. Ktoś zajmie się tym w Nowym Jorku. Jestem dorosła. Od dawna.

– Chodzi tylko o to, że...

– Zamknij się, kochanie. Zamknij się, zamknij, zamknij. Mam ci coś narysować? Nie rób miny jak nadęty łoś. Powiedz, że się cieszysz. Powiedz cokolwiek.

Dotknąłem opuszkami palców jej policzka, przesunąłem kciukiem po jej błyszczących brwiach.

– Dobrze. Cokolwiek.

Zamknęła oczy i zadrżała.

– O Boże, tylko żadnych deklaracji, proszę. Niczego takiego. W każdym razie.

– W każdym razie.

– Tylko się nie śmieję.

– Wiesz, że nie będę.

Wyczytałem zmieszanie w jej twarzy.

- Może ja nie jestem dla ciebie po prostu... Może nigdy naprawdę...
- Byłeś zwyczajnie uprzejmy, a teraz...
- Przecież dobrze wiesz. Przestań, kochanie.
- Wysłałam telegram do Nowego Jorku.
- I uprzejmie przeprosiłaś za opóźnienie.
- Do licha, przecież my się nigdy nawet naprawdę nie pocałowaliśmy. Nogi się pode mną uginają, dziwnie się czuję. Proszę, zaprowadź mnie gdzieś na drinka, kochany.

• • •

Podczas lotu, pomimo magii nagłej bliskości tej dziewczyny, jej zapachu, ciemnych oczu, w których można utonąć, i przyspieszonego w oczekiwaniu oddechu, część moich myśli wędrowała według starych, zawodowych schematów. Zrobiliśmy już naprawdę sporo i poskreślaliśmy z grona podejrzanych kolejne osoby. Carl Abelle, postrach narciarskich stoków, okazał się tak niebezpieczny jak kłapnięcie na pupę na oślej łączce. Sonny Catton – upieczony w efektownym wybuchu płomieni z wysokooktanowego paliwa. Nancy Abbott spalała się równie skutecznie, choć na dużo wolniejszym ogniu. Studentów, Harveya i Richiego, nawet nie było sensu sprawdzać. Ich największym problemem było znalezienie kogoś, kogokolwiek, kto uwierzyłby w ich historię. Caswell Edgars też odpadł z listy wchodzących w rachubę. Tak jak pewnie z wszystkiego innego na świecie. Ives zginął śmiercią gwałtowną. Podobnie zresztą jak Patty M’Gruder. Jeśli od starego Abbotta, ojca Nancy, szczęście jeszcze nie całkiem się odwróciło, to i jego już zabrała śmierć. Może mniej gwałtowna, ale równie nieprzyjemna. Krąg się zacieśniał. Pozostał żeglarz obibok, Vance M’Gruder, kelnerka Whippy i opóźniony w rozwoju Bogen. Poszukiwanie winnego przypominało chodzenie po opustoszałym domu i zaglądanie do szaf. Albo wszystko to jest zbyt skomplikowane, żebym coś z tego pojął, albo kompletnie bez sensu. Równocześnie jednak było w tym coś paskudnego, co wymykało się spod kontroli. Czułem to i czułem, że może to zagrażać Lysie Dean, a nawet mnie, ale nie miałem pojęcia, ani kto się za tym kryje, ani na czym to polega. Byłem pewien tylko dwóch rzeczy. Po pierwsze, zostało

mi już niewiele szaf do sprawdzenia. Po drugie, cieszyłem się, że nie brałem udziału w tamtej imprezie. Trzymałem więc za rękę tę dziewczynę i mówiłem sobie, że świat jest piękny. I odsunąłem na bok czarne myśli.

•••

Znudzone dziecko budowało błyszczący model miasta z nowych klocków i kiedy skończyło, jednym kopniakiem rozrzuciło je po pustej podłodze. Schodziliśmy ukośnie w dół przez popołudniowe niebo, patrząc na niesamowitą mozaikę błękitnych basenów i zielonych alei na tle brązowej jak skóra starej jaszczurki odwiecznej pustyni. Przylecieliśmy z grupą pielgrzymów – nowicjusze próbowali nie okazywać emocji kierowani na odpowiednie przejścia, uważnie obserwowani, atakowani ogłoszeniami i nachalnym naganianiem. Wszyscy weterani mieli zapisany w sobie dawny ból i chcieli po prostu jak najszybciej dotrzeć do określonego stolika w określonym miejscu i poddać się kaźni. Kiedy nasza grupa przechodziła przez bramkę, zauważyłem dwójkę wyłapywaczy. Oparci plecami o ścianę, popatrywali sennie to w lewo, to w prawo, przeczesując wzrokiem tłum, odpowiadając na ukradkowe spojrzenia przyjezdnych wzrokiem twardym i przesywającym niczym strzał z pistoletu. Mają w pamięci z dziesięć tysięcy twarzy osób niepożądanych w kasynach, a poza tym nosa do wyczuwania tych, którzy mogą sprawiać kłopoty – którzy przyjechali tu wzbogacić się za wszelką cenę, nawet gdyby trzeba było przyłożyć broń do głowy tym, do których szczęście w grze się uśmiechnęło. Moja pani tym razem nie służyła pomocą w tranzycie. To była cudowna, przyjemna odmiana, podobnie jak absolutne milczenie podczas lotu, mocny uścisk dłoni, spojrzenie ciemnych oczu skierowane w dół. Stała bez ruchu potulnie, cierpliwa i zmysłowa, kiedy ja, nie mając bagażu do odebrania, poszedłem wynająć auto i pod wpływem jakiegoś paradoksalnego impulsu wybrałem najbardziej charakterystyczny dla tego miasta uciech pojazd – wielki klimatyzowany samochód z opuszczanym dachem. Turkusowy opalizujący lakier, tapicerka z białej skóry, niepokojąco cichy, jak grób.

Na Stripie podobało mi się jedno miejsce. Nieoferujący absolutnie żadnego hazardu i odpowiednio drogi zajazd o nazwie Apache.

Wiedziałem, że nie ma sensu pytać jej o zdanie, bo byłaby tylko zaskoczona. W recepcji powiedziałem, że już się tu kiedyś zatrzymałem, poprosiłem o apartament dwuosobowy przy basenie i dałem portierowi dolara, żeby pozwolił mi wziąć klucz i samemu trafić na miejsce.

W ogromnym długim pokoju w tonacji złota i zieleni, z dwoma wielkimi łózkami, było zbyt jasno. Rozświetlały go promienie słońca odbijające się ognikami od falującej tafli basenu. Pociągnąłem za sznurki, które z lekkim zgrzytem zaciągnęły grube żółte zasłony na ogromną tafelę okna. Pokój spowił złocisty cień. Cichy szum chłodnego powietrza z klimatyzatora zamienił to miejsce w oazę oddaloną o tysiąc lat od wczoraj i o dziesięć tysięcy od jutra. Co piąty jej oddech był bardzo głęboki z lekkim zachłyśnięciem się na końcu, jak u uspokajającego się po płaczu dziecka. Dotknąłem jej. Jedną ręką objąłem ją w pasie, drugą położyłem u nasady szyi, przytrzymując ją w sennym rozkołysaniu. Ktoś sterujący przełącznikami w konsoli potrafi wyczuć dłonią moc, jaka drzemie w maszynierii, coś więcej niż niskiej tonacji dźwięk czy wibracja. Wydawało się, że Dana się nie poddaje, i nie mogłem zgadnąć, jak to między nami będzie. Nagle westchnęła rozedrgana, uniosła do mnie głowę i przytuliła się z żarem, miękka i zdecydowana.

• • •

Bywa, że jest dobrze, tak prawie, bo wszystko dzieje się z bezlitosną gwałtownością i kończy śmiertelnym wyczerpaniem.

Inne „prawie”, to kiedy nie jest się w stanie skończyć.

W obu przypadkach pozostajecie sobie obcy. W obu przypadkach odczuwa się nerwową potrzebę wzajemnych zapewnień.

Ale z Daną było dobrze na ten wyjątkowy sposób, kiedy w zapamiętaniu przechodzi się płynnie od jednego spełnienia do następnego, a z każdym znacie się lepiej i jesteście sobie coraz bliżsi i tak, niepostrzeżenie, mijają słodkie godziny, jedna za drugą. Kiedy zdawałoby się, że wygasa dzikie pożądanie, nagle powraca jeszcze jeden ostatni raz i następuje pełne zaspokojenie. Jak na razie to koniec, a ona jest wyczerpana i rozluźnia się, półprzytomna i czuła.



Walczyłem z sennością. Zmusiłem się, żeby wstać. Przykryłem ją. Poszedłem wziąć prysznic i ubrać się. Zapaliłem małe światło w pokoju i usiadłem na łóżku. Odgarnąłem czarne loki i pocałowałem pachnącą słodko szyję. Odwróciła się, żeby na mnie spojrzeć, z jej twarzy znikło całe napięcie, wydawała się taka delikatna, młoda.

– Ubrałeś sieeee – zamruczała z wyrzutem.

– Wyjdę na trochę, a ty pośpij, kochanie.

Próbowała zmarszczyć brwi.

– Uważaj na siebie, kochanieeee.

– Kocham cię – powiedziałem.

To nic nie kosztuje. Jeśli to prawda. Pocałowałem miękkie, uśmiechnięte usta. Chyba spała już, zanim wstałem. Zostawiłem włączoną małą lampkę i wyszedłem.

Ruszyłem do zabudowań głównych, mając w sobie tę dziwną mieszankę męskich uczuć po podboju. Duma dziwkarza, lekka melancholia, dość przyjemne, niejasne poczucie winy, pycha ołowianego żołnierzyka.

Ale tym razem było coś jeszcze. Miałem wrażenie pełnego spełnienia, zjednoczenia mnie i jej.

Żadnej nieuczciwości. W całym tym totalnym dawaniu i braniu miałem świadomość, że jestem z Daną. Tak żywą i dzielną. Początkowa lekka fizyczna obcość trwała tylko chwilę. Potem miałem od razu wrażenie, że znam ją i kocham od zawsze. Tak jakbyśmy się dawno nie widzieli i musieli odnaleźć na nowo, szybko pokonując nieśmiałość, którą spowodował czas rozłąki.

To było poznawanie i rozpoznawanie, absolutne, nie do opisanie w słowach. Symboliczny dialog. Daję tobie. Biorę od ciebie. Odwzajemniam się.

Rozpierało mnie też beztróskie poczucie szczęścia. To przecież taki przypadek, traf losu.

Zadumałem się nad dwoma ginami z wódką, kiedy smażyli mi stek. Przy kawie przestałem rozmyślać nad sobą, wziąłem miejscową gazetę i przeczytałem więcej o morderstwie Patty M'Gruder.

Potem pojechałem do centrum, zaparkowałem i powąłęsałem się trochę po tej dziwnej dzielnicy sklepów oferujących towary w okazjnych cenach, pastelowych kaplic, gdzie udziela się ślubów, wabiących światłami jaskiń hazardu. Wśród turystów przewijały się różne typki, ale policja miała na wszystko oko. Starsze panie szarpały

za wajchy automatów, trzymając zapasy drobnych w papierowych kubkach. W nocnym suchym powietrzu z różnych stron dolatywała dudniąca kakofonia dźwięków. Na hałaśliwych straganach można było kupić wszystko, od senników po plastikowe ptasie odchody.

Four Treys okazało się jaskrawą wąską dżunglą automatów do gry. Gdzie się podziały stare maszyny? Teraz można mieć dwa drążki sterownicze, skosić trzy statki kosmiczne, astronautę i zdobyć księżycową wygraną, która oznacza półtorej nagrody głównej. Dziewczyny rozmieniały pieniądze, otwierając rulony z monetami i podając je w papierowych kubkach klientom. W rytmicznych odstępach czasu słyhać było sypiącą się masę bilonu i okrzyki radości.

Chciałem się tylko rozejrzeć. Nie potrzebowałem o nic pytać. Na razie wsiadłem więc z powrotem za kierownicę luksusowego środka transportu, jaki fundowała mi słynna gwiazda filmowa, i ruszyłem dalej w rozjarzoną neonami noc.

## 12

Osiedle przyczep mieszkalnych nazywało się Pustynna Brama i znajdowało się na dalekich przedmieściach. Dotarłem na miejsce nieco po dziesiątej. Jakiś porządnicki zadbał, aby przyczepy ustawiono w jodełkę po obu stronach prowadzącego donikąd szerokiego pasma asfaltu. Na osiedle wjeżdżało się przez wysoki, wąski aluminiowy łuk, podświetlony na różowo.

Przyczepy były duże, pozdejmowane z kół, uzupełnione małymi patio i dobudowanymi werandami. Mniej więcej połowa z nich tonęła w ciemnościach. Patricia mieszkała w szóstej po lewej stronie i przed nią zginęła. Paliło się tam światło. Zaparkowałem i podszedłem do drzwi na werandzie. Kiedy uniosłem dłoń, żeby zapukać w aluminiową ramę, w środku pojawiła się sylwetka zwalistej kobiety.

– Czego tu?

– Chciałbym pomówić z Marthą Whippler.

– Kim pan jest?

– Nazywam się McGee. Byłem przyjacielem Patty.

– Człowieku, idź sobie lepiej, co? Ta mała ma za sobą ciężki dzień, jest skonana. Dobra?

– W porządku, Bobby – odezwał się słaby głos. – Wpuść go.

Kiedy wchodziłem, gruba nieco się przesunęła, żeby mnie przepuścić. W świetle dostrzegłem, że jest młodsza, niż myślałem. Miała na sobie dzinsy i roboczą koszulę z podwiniętymi rękawami, ukazującymi brązowe umięśnione ramiona. Szatynka, krótko ostrzyżone włosy i ani śladu makijażu. W środku przyczepy wszystko było wyłożone jasną sklejką i winylowymi płytkami. Szklane przegrody, plastikowa tapicerka, stal nierdzewna. Drobną dziewczyną leżała na kanapie, podparta poduszkami. Długie rude włosy opadały w nieładzie na jej smutną wymizerowaną twarz. Zaczerwienione oczy, rozmazana szminka. W ręce trzymała szklankę. Miała na sobie

nylonowy szlafrok z falbankami. Chociaż bardzo schudła, od razu ją poznałem.

– Whippy! – powiedziałem i natychmiast poczułem się jak idiota. Powinienem bardziej uważać.

Przestraszyła się. Patrzyła na mnie z niechęcią.

– Nie znam cię. Nie pamiętam, żebyśmy się kiedyś spotkali. Teraz wszyscy mówią na mnie Martha. Pat nie pozwalała, żeby ktokolwiek tak się jeszcze do mnie zwracał.

Miała w sobie jakąś dziecinną powagę. Wydawała się taka krucha.

– Przepraszam, Martho. Będę pamiętał.

– Jak się nazywasz?

– Travis McGee.

– Pat nigdy o tobie nie wspominała.

– Nie znałem jej zbyt dobrze, Martho. Znam kilka innych osób, które pewnie kojarzysz. Vance’a. Cassa. Carla. Nancy Abbott. Harveya. Richiego. Sonny’ego.

Sączyła drinka, patrząc na mnie surowo zza brzegu szklanki.

– Sonny nie żyje. Słyszałam. Podobno się spalił. I nic mnie to nie obchodzi.

– Nancy widziała, jak się palił.

Popatrzyła na mnie z niedowierzaniem.

– Jak to możliwe?

– Podróżowała z nim wtedy.

Pokręciła głową zdumiona.

– Ona z nim podróżowała. O rany! Kto by pomyślał? Ja mogłam dać się mu nabrać, ale Nancy? Gee, to wydaje się całkiem nieprawdopodobne, wierz mi.

– Martho, chciałbym porozmawiać z tobą na osobności.

– O, na pewno – rzuciła z przekąsem stojąca za mną dziewczyna.

– Panie McGee, to moja przyjaciółka Bobby Blessing. Bobby, może wysłabyś na chwilę, co?

Bobby przyjrzała mi się uważnie. Takie typowe spojrzenie, jakie rezerwują sobie dla prawdziwych facetów – wyzywające i pełne potępienia, jak u prowokującego bójkę chuligana. Coraz więcej się takich widuje. A może po prostu zachowują się bardziej ostentacyjnie. Babochłopy. Nie mają penisa ani brody, ale za to starają się mieć wszystko inne. Męskie cechy wtórne, jakie są im dostępne, to najwyraźniej obcesowy sposób bycia, skłonność do prężenia

muskułów, kogucie podejście w stylu „wal się”, a ostatnio mają nieprzyjemny zwyczaj chadzania całą bandą. Nieostrożny chłopina, który spróbuje poderwać jedną z ich ukochanych, może dostać łomot, jakiego nie powstydziliby się nawet chłopcy z dzielnicy doków. To subkultura, istniejąca od dawna, ale która teraz wyszła z ukrycia. W nowo zyskanej śmiałości dokonują przerażającego dzieła rekrutacji, odnosząc wielkie sukcesy wśród podatnych zastępów potulnych dziewczyn, takich jak Martha Whippler. Skrzywdzone przez mężczyzn w stylu Cattona, okrutnie wykorzystywane, doprowadzone do rozpacz, oddawane z rąk do rąk, przerażone... w końcu lądują w obozowisku babochłopów.

– Będę w pobliżu, gdybyś tylko chciała mnie zawołać – powiedziała Bobby, nie spuszczając ze mnie lodowatego spojrzenia. Wyszła, poruszając ramionami i poprawiając džinsy.

Podszedłem do Marthy i przysiadłem obok na rozchwierutanym plastikowym krześle. Powędrowała wzrokiem do opróżnionej w połowie szklanki.

– Wymieniłeś osoby, które tam wtedy były – powiedziała.

– I pominąłem jedną?

– Tę gwiazdę filmową – szepnęła.

– Mówiłaś komuś, że ona tam była?

– O, nic takiego nigdy wcześniej mi się nie zdarzyło. Nie chciałam nikomu o tym mówić. To znaczy, czasem rozmawiałam z Pat. Rozumiesz, miałam potem koszmary, a ona zabrała mnie stamtąd do siebie do domu. Wiem... Zawsze wiedziałam, że wolałaby Nancy.

Była smutna. Miała pospolitą urodę, ładne, delikatne rysy bez wyrazu, cieniutkie wyskubane brwi, usta powiększone szminką.

– Czy kiedykolwiek widziałaś tamte zdjęcia? – spytałem.

Nawet te najbardziej proste dziewczyny potrafią być przebiegłe i czujnie przyjmują postawę obronną.

– Jakie zdjęcia?

– Te, które zrobił Vance.

– Przez wiele, wiele godzin zadawali mi dziś pytania. Skąd mogę wiedzieć, że nie jesteś jeszcze jednym cwaniakiem?

– Nie mogę tego udowodnić.

Zawahąłem się.

Łatwo ją było zmanipulować. Musiałem znaleźć właściwy sposób, bez zbędnych podchodów. W swoim rozżaleniu była jeszcze bardziej

bezbronna. Dobroduszny stary McGee wydawał się najlepszym wyborem. Ze smutkiem pokręciłem głową.

– Jestem tylko kimś, kto sądzi, że Patricia została bardzo niesprawiedliwie potraktowana przez Vance'a M'Grudera, bardzo niesprawiedliwie.

Łzy podeszły jej do oczu. Zachlipała, przyciskając dłoń do ust.

– O Boże. O Boże, tak. Co za drań! Skończony łajdak!

– Niektórzy z nas nigdy nie mogli zrozumieć, dlaczego Pat bardziej nie walczyła o swoje.

– Gee, nie masz pojęcia, co zostało przeciwko niej wytoczone. Ten perfidny Vance długo to planował. Wydobył od londyńskiej policji jakieś sprawozdanie na temat jej prowadzenia się z czasów na długo przed małżeństwem. Najwyraźniej chciał dowieść, że wyszła za mąż w zły dzień, bo dobrze wiedziała, że nie powinna. A potem zrobił jakieś nagrania jej z Nancy u nich w domu i jej ze mną, i w końcu jeszcze miał te zdjęcia od fotografa, którego wynajął i który za nimi jeździł. To wszystko musiało strasznie dużo kosztować, ale jak powiedziała Patty, na pewno było o wiele tańsze niż kalifornijski rozwód. Nie znalazła prawnika, który by zgodził się o nią walczyć. Chodzi o to, że naprawdę nie było żadnych wątpliwości, jaka ona jest.

– Widziałaś te zdjęcia, Martho?

– Oczywiście. Dziwne, wydawało się przecież, że w pobliżu nie było nikogo poza nami. Nie wiem, jak temu facetowi udało się zrobić zdjęcia z tak bliska. Pat ze mną i Nancy, i z Lysą Dean, z nią tylko jedno, na którym w ogóle nie dałoby się poznać, że to Lysa Dean, gdyby się nie wiedziało.

– Czy kiedy zobaczyłaś te zdjęcia, byłyście już razem z Pat?

– Tak. Zachował się ohydnie. Pojechaliśmy do miasta spotkać się z jakimiś jej znajomymi i kiedy wróciliśmy do Carmel, jego nie było domu, zamki zostały zmienione, a nasze rzeczy osobiste wyrzucono na ganek i stał tam człowiek, który miał pilnować, żeby nikt nie włamał się do środka albo coś w tym rodzaju. Tak naprawdę ona nadal kochała się nieszczęśliwie w Nancy i pewnie nigdy jej to nie przeszło. Wydaje mi się, że do końca tego nie przeboleła. Ale próbowałam ją uszczęśliwić, naprawdę.

– Dlaczego ktoś mógłby chcieć ją zabić, Martho?

Zaszlochała znowu i wytarła nos.

– Nie wiem! Po prostu nie wiem. Ciągłe mnie o to pytali. Boże, żyłyśmy tu naprawdę spokojnie już ponad rok i przez długi czas pracowałyśmy na jednej zmianie w Four Treys. Ja robiłam drinki, a ona siedziała przy kasie z wymianą na drobne. Miałyśmy małe grono przyjaciół. Nie interesowała się żadną inną dziewczyną, czy coś w tym rodzaju, a mnie też nikt nie podrywał. Może tylko jedno było dziwne.

– Co masz na myśli?

Zmarszczyła brwi i pokręciła głową.

– Nie wiem. Zaczęło się kilka tygodni temu. Przedtem, jak tylko pomyślała o Vansie, to strasznie się wściekała, czasem nawet płakała. A wtedy przyszedł do niej jakiś list. Nie pozwoliła mi go zobaczyć i nie mogę go teraz znaleźć, więc pewnie go zniszczyła. Była... jakaś taka daleka przez parę dni, od kiedy go dostała, i nie chciała mi nic powiedzieć. Potem, kiedy wyszłam, zaczęła gdzieś wydzwaniać. To były zamiejscowe. Nabiła naprawdę straszny rachunek. Czterdzieści dolarów czy coś koło tego. Później znowu gdzieś telefonowała. I nagle zobaczyłam, że czymś się cieszy. Uśmiechała się i nucila pod nosem, a kiedy pytałam, z czego jest taka zadowolona, mówiła, że nieważne. Czasami łapała mnie, tańczyła ze mną dokoła i mówiła, że wszystko będzie dobrze i będziemy bogate. Dla mnie to nie miało takiego znaczenia. Przecież całkiem nieźle tu sobie radziłyśmy. Nie potrzebowałyśmy wielkich pieniędzy. Nie wiem, czy ma to jakiś związek z tym, że wczoraj wieczorem została zamordowana.

– Gdzie byłaś, kiedy to się stało?

– Ja to słyszałam! Boże, byłam w łóżku, już prawie spałam. Trochę się o nią martwiłam. Złapałam jakiegoś wirusa i nie poszłam do pracy. Miała kończyć o dwudziestej trzeciej i być w domu kwadrans później, ale było już trochę po północy, kiedy usłyszałam, jak podjeżdża. Wiedziałam, że to ona. Nasz mały samochód strasznie hałasuje. Zostawiłam jej jedno światło. Zastanawiałam się, co mi przyniesie. Dostawałam od niej małe prezenciki, kiedy chorowałam. Tak dla zabawy. Auto się zatrzymało i usłyszałam trzaśnięcie drzwi, a potem, kiedy tuż pod siatką w wejściu, krzyknęła: „Co ty tu do cholery?!”. Tylko tyle. Później był jakiś okropny trzask, odgłos upadającego ciała i szybkie kroki. Zapaliłam światła, włożyłam szlafrok i wybiegłam na zewnątrz. Leżała tuż pod drzwiami, na ziemi, a jej głowa...

Poczekaliśmy kilka minut, kiedy ona starała się opanować.

– Była tak pełna życia – jęknęła.

- A kilka tygodni temu przestała się złościć na Vance'a?
- Tak. Ale nie wiem dlaczego.
- Czy po tym, jak została wyrzucona z domu, miała okazję rozmawiać z mężem?
- O, wielokrotnie. Prosiła, błagała....
- Ale to nie pomogło?
- Nie pozwolił jej nawet zatrzymać auta. Powiedział, że i tak ma szczęście. Bo może zabrać swoje ubrania. W końcu dał jej pięćset dolarów, żeby miała za co wyjechać. Ja miałam około siedemdziesięciu pięciu. Dotarłyśmy tu autobusem i znalazłyśmy pracę. Zachowywał się wobec niej podle.
- Martho, czy mówi ci coś nazwisko Ives? D.C. Ives?
- Wyraźnie nie kojarzyła.
- Nie.
- Santa Rosita?
- Uniosła swoją pustą małą główkę.
- Dziwne!
- Co masz na myśli?
- Kilka dni temu śpiewała tę starą piosenkę, *Santa Lucia*. Ale zamieniła Lucia na Rosita. Powiedziałam, że się pomyliła, a ona roześmiała się i odparła, że wie. Dlaczego pytasz o to wszystko? Nie rozumiem.
- Może to nie ma specjalnego znaczenia.
- Ale jeśli to ma coś wspólnego z tym, kto ją zabił...
- Czy ona spodziewała się jakiegoś spotkania w najbliższym czasie?
- Spotkania? O, byłabym zapomniała. Jakoś tak przedwczoraj mówiła, że może będzie musiała się gdzieś wybrać. Sama. Na dzień, dwa. Zrobiłam się zazdrosna. Drażniła się ze mną i pozwoliła, żebym naprawdę szalała z zazdrości, a potem powiedziała, że jedzie tylko w interesach i że wszystko mi później opowie.
- Gdzie zamierzała się wybrać?
- Do Phoenix. A przecież my tam nie miałyśmy żadnych znajomych.
- To miało być niedługo?
- Nie wiem. Ale chyba tak.
- Nie umiałem wydobyć z niej już nic interesującego. Była kompletnie wyczerpana, jednak była na tyle czujna, żeby zapytać raz jeszcze, kim jestem i czego chcę. Musiałem odpowiedzieć pytaniem na pytanie.
- Co teraz zrobisz, Martho?



– Jeszcze o tym nie myślałam.

– Masz teraz szansę wyplątać się... z tego wszystkiego.

Zacięła swoje małe usta.

– Nie wiem, co chcesz mi dać do zrozumienia. Słuchaj, to Pat wyciągnęła mnie z obrzydliwej sytuacji. Nie chcę, żeby kiedykolwiek przydarzyło mi się coś podobnego. Co ty w ogóle wiesz o życiu?

– Nie obrażaj się.

– Dlaczego nie? Jezu Chryste! Jak czegoś nie rozumiecie, to od razu wydaje się wam paskudne. Pat zawsze to powtarzała. Świat nie musi być taki, jak wam pasuje. Nigdy nie prosiłyśmy, żeby nas akceptować albo nie. To nasza sprawa. Komuś dzieje się krzywda?

– Tobie?

– Mnie? Dobry żart! Naprawdę! Na Boga, kiedy przypomnę sobie czasy, jak myślałam, że tylko tak może być, to robi mi się niedobrze. Teraz mam przyjaciół, którzy chcą się o mnie troszczyć.

– Na pewno.

Popatrzyła na mnie zmrużonymi oczami.

– Bobby! Bobby! – zawołała, odrzucając głowę do tyłu.

Wyszedłem bez specjalnego pośpiechu, ale i nie zwlekając. I tak jednak stanęły mi na drodze do auta. Bobby miała kumpele, podobnie dobrze zbudowaną. W słabym świetle przyjaciółka wyglądała jak młody Joe DiMaggio, ale o czarnych obciętych równo do brody włosach i ubrany w pustynne drelichy. Joe miał kij do golfa. Złota główka i chromowany trzonek połyskiwały w półmroku.

Dziewczyny rozłączyły się. Znalazłem się pomiędzy nimi.

– Nie róbcie głupstw – powiedziałem, zatrzymując się.

Joe zdołała wyćwiczyć sobie niezłą imitację barytonu.

– Trzeba nauczyć was, żebyście nie zapuszczali się tu bajerować nasze panie, bydlaki.

– A co? – zapytałem. – To jakaś zamknięta kolonia?

– Nie wymądrzaj się – mruknęła Bobby, kiedy zbliżyły się do mnie jeszcze bardziej.

W zasadzie nieźle sobie radzą z nieprzygotowanymi na starcie facetami. Zawsze ma się jednak jakieś rycerskie opory przed uderzeniem kobiety. Martha wyszła na ganek przyczepy, żeby obserwować walkę. Ja odebrałem gorzką lekcję dawno temu, kiedy wahanie opóźniło moją reakcję i kilka następnych dni kuśtykałem jak osiemdziesięcioośmioletni starzec. To pomyłka, której raczej nie

popęlnia się drugi raz w życiu. A te dwie były groźniejsze niż jacyś chuligani płci męskiej, bo ich szczególna sytuacja podsyciała w nich nienawiść do prawdziwych facetów. Mogłyby nie wiedzieć, kiedy przerwać łomot.

Światło było zdradliwe, a kij mnie niepokoił. Gdybym próbował łagodnej perswazji, dziewczyna mogłaby zgruchotać mi nim czaszkę. Zapomniałem więc o rycerskości. Dałem fintę Bobby i natarłem na Joe. Złapałem kij, nim zdążyła się nim zamachnąć. Wyrwałem go z jej dłoni i odwróciłem. Minąłem ją i trzepnąłem cieńszym końcem w drelichy. Świsnęło w powietrzu, słychać było potężne pacnięcie. Joe podskoczyła wysoko i niechcący wymknął się jej, o zgrozo, wysoki dziewczęcy pisk. Obejrzałem się w porę, by dostrzec, że Bobby rzuca we mnie kamieniem. Musnął mi włosy na czubku głowy, a strach dodał mi zapału do pogoni. Bobby rzuciła się do ucieczki. Trzepnąłem ją kilka razy solidnie po obcisłych dżinsach i dołączyła do swojej skowyczącej kumpelki. Joe złapała mnie i starała się przewrócić. Szlochała ze złości i pachniała jak oprawiacz mułów. Odepchnąłem ją i trzepnąłem raz jeszcze po siedzeniu. Krzyknęła i dała za wygraną. Zaczęła uciekać w kierunku przyczepy.

Bobby popełniła błąd, biegnąc półtora metra od niej. Wskoczywszy między nie, zamachnąłem się i z forhendu, i z bekhendu. Martha Whippler stała na progu. Myślała, że popatrzy, jak mnie katują. O mało jej nie stratowały w popłochu, żeby wydostać się z pola rażenia. Wydawały przy tym takie dźwięki, jakby jodłowały. Zaśmiałem się. Odrzuciłem kij bardzo daleko za płot osiedla i odjechałem.

Kiedy wróciłem do ciszy wielkiego pokoju w Apache, Dana spała dalej. Wiedząc, że w hotelu nie podają już o tej porze jedzenia, zatrzymałem się przy małych delikatesach w mieście. Teraz wypakowałem zakupy, zmieszałem gulasz z kluskami. Były jeszcze parujące. Wziąłem je, usiadłem na podłodze przy łóżku i poruszałem pojemnikiem w obie strony przy twarzy Dany. Jej nos drgnął, raz i drugi. Nagle szeroko otworzyła oczy. Skupiła na mnie wzrok.

– Hej! – powiedziała z entuzjazmem. – Witaj!

Dała piękny pokaz przeciągania się, ziewania i w końcu sięgnęła po pojemnik. Umościła się wyżej, poprawiła poduszki, podciągnęła prześcieradło pod pachy i owinęła się nim ciasno, po czym nabrała plastikowym widelcem sporą porcję klusek do zachłannych ust.

– Mmm! – zamruczała. – O Boże, Trav, w życiu nie jadłam nic lepszego.

Podsunałem mały stolik bliżej jej łokcia, przyniosłem ogórki konserwowe, gorącą herbatę i sernik truskawkowy. Usiadłem w nogach łóżka i podziwiałem ją. Kiedy zaspokoili pierwszy głód, zaczęła czuć się trochę niezręcznie.

– A ty jadłeś?

– Jak wilk.

Pokazała na swoje zmierzwiłone włosy.

– Pewnie wyglądam jak czupiradło.

Jej ciemne, żywe oczy były podpuchnięte ze zmęczenia. Usta nabrzmiały, blade bez szminki. Na szyi miała długie zadrapanie, trzy owalne niebieskawe siniaki z przodu lewego ramienia, tam gdzie ścisnęły je moje palce.

– Wyglądasz cudownie, Dano.

Zaczerwieniła się. Unikała mojego spojrzenia.

– Na pewno. Mmm... która to godzina?

– Za dwadzieścia pierwsza.

Powiedziała, że sernik dokończy później. Poprosiła, żebym się odwrócił, i zaciągnęła naszą walizkę do łazienki. Słyszałem, że bierze prysznic. Po chwili, kiedy woda ucichła, wyszła nieśmiało, uczesana, z umalowanymi ustami. Miała na sobie kusą niebieską koszulkę do bioder, przezroczystą, z koronką przy dekolcie i lamówkami. Zamiast mi ją zaprezentować, objając kolaniem o kolano, zgarbiona, prawie biegiem dotarła do łóżka. Wpakowała się pod przykrycie.

– Nie całkiem tak wyobrażałam ją sobie, kiedy ją kupowałam – powiedziała, okropnie się czerwieniąc.

Roześmiałem się. Nachmurzona jadła sernik, a potem zdobyła się na nieśmiały uśmiech. Jedno ukradkowe spojrzenie mi w oczy.

– Nie jestem przyzwyczajona do takich sytuacji, Trav. Przepraszam.

– Przestań. Nikt nie jest.

Ze zboląłą miną przełknęła ślinę.

– Byłam tak... Nie wiem, co ty sobie pomy... Ja nigdy... Do diabła, wszystko jedno!

– Przestań się zadręczać. To coś nowego. Staliśmy się dla siebie nawzajem kimś, kim przedtem nie byliśmy. Podjęliśmy ryzyko. I już. Ktoś, chyba Hemingway, miał taką definicję tego, co jest moralne. To

coś, z czym czujesz się dobrze potem. A w porównaniu z tym, gdzie byłem, to my jesteśmy jak para aniołków.

Zaniepokoiła się.

– Co się stało, kochanie?

Sernik i herbata dawno były skończone, kiedy jeszcze przytaczałem fakty i przypuszczenia.

Nie wyglądała na przekonaną.

– Tyle znaków zapytania.

Podsumowałem wszystko raz jeszcze, bardziej precyzyjnie.

– Co wiemy o M’Gruderze? Jest porywczy, bogaty, bezlitosny i skąpy. I, nie pracując, bardzo mobilny. Opalony, sprawny i brutalny. No dobrze, jako zamawiający usługę to on kontaktował się bezpośrednio z Ivesem. Ten drugi zwiertzył złoty interes, kiedy rozpoznał Lyse. Zrobił tyle zdjęć, ile się tylko dało, setki. Wiedział, że może je wykadrować i zrobić takie powiększenia, aby wyeksponować wszystkie układy, jakie tam odchodziły podczas tych czterech dni. Przyjmijmy, że M’Gruder dowiedział się, gdzie będzie impreza, i zatelefonował, żeby powiadomić wynajętego przez siebie fotografa. Ten jednak był chciwy. Wykonał robotę dla M’Grudera i dostał zapłatę. Nieźle obłowił się też na Lysie Dean. Próbował wycisnąć kasę od Abbottów, ale odprawili go z kwitkiem, nikt nie miał zamiaru chronić Nancy.

Teraz musimy zgadywać. M’Gruder palił się do ślubu z młodziutką córką Atlunda. Jej ojciec, profesor, nie wyrażał zgody. M’Gruder przekonał go do siebie. Myślę, że przy tradycyjnym szacunku tej Szwedki dla władzy rodzicielskiej profesora trzeba było przekonać, inaczej z małżeństwa byłyby nici. Przypuszczam, że Ives popełnił błąd i zaszantażował klienta, który wiedział, gdzie go znaleźć. Wszystko zgadza się w czasie. Ives zagroził, że pokaże profesorowi Atlundowi pornograficzne zdjęcia z M’Gruderem. Coś tak paskudnego definitywnie przekreśliłoby szansę na ślub. Profesor nie pozwoliłby, żeby jego ukochana córka wyszła za człowieka wyzutego z zasad moralnych. Ives jednak nie podejrzewał, że M’Gruder może być niebezpieczny. A może nie docenił jego skąpstwa. M’Gruder śledził go, poczekał na odpowiedni moment i roztrzaskał mu łeb. Kilka tygodni później poślubił swoją Ulkę.

Idźmy dalej. Przyjmijmy, że Patty M’Gruder dowiedziała się od Vance’a, jak się nazywa fotograf. Pewnie z przyjemnością chwalił się jej, jaki to był sprytny, w jak przebiegły sposób odciął ją od swoich

pieniędzy, wręcz upajał się upokarzaniem jej. Musiał jej naprawdę nienawidzić. Dla takiego macho to coś okropnego, że jego żona, Angielka, tylko udawała rozkosz, kiedy się kochali, a tak naprawdę wolała dziewczyny. Patty dostała od kogoś list, który pewnie zawierał plotki na temat młodziutkiej narzeczonej Vance'a i kłopotów z profesorem. Wtedy zaczęła kombinować. Wiedziała o śmierci Ivesa, a że знаła aż za dobrze swojego byłego męża, jego sposób myślenia i skłonność do brutalnych zachowań, po kilku telefonach nabrała przekonania, że to Vance załatwił Ivesa. I napisała do niego. Same aluzje. Coś w stylu: daj mi pieniądze, które mi ukradłeś, chłopie, albo zainteresuje się tobą policja w Santa Rosita. Nie mógł ryzykować. Przypuszczam, że coś jej odpowiedział. Na przykład, że planuje wpaść do Phoenix i wtedy porozmawiają o jej sytuacji finansowej. Zdała sobie sprawę, że trafiła na żyłę złota. M'Gruder nie mógł oficjalnie pojawić się w Las Vegas, bo kiedy ginie jakaś kobieta, w pierwszej kolejności sprawdzają jej byłego męża. Sądzę, że zapewnił sobie dobre alibi w Phoenix, przyjechał tu wczoraj wieczorem i ją zabił. Rozwalił jej głowę. Sądził, że nie ma wyboru, bo nie miałyby dla niego litości i doła go w nieskończoność.

Dana zastanawiała się chwilę.

– Wydaje mi się, że to brzmi logicznie. Ale, Trav, czy to nasza sprawa? Czy to nie Samuel Bogen jest naszym problemem?

– W tej chwili, moja kochana Dano, jakiś bardzo cwany gliniarz może być na tropie M'Grudera, który mógł popełnić jakiś drobny błąd. Śmierć Patricii wymaga sprawdzenia Vance'a. A kiedy zostanie oskarżony o morderstwo, czy sądzisz, że rycersko zachowa milczenie? Będzie chciał wszystko wytłumaczyć, oczywiście z małymi modyfikacjami, aby usprawiedliwić, dlaczego to zrobił, albo przynajmniej wiarygodnie wyjaśnić sytuację. Kiedy osaczą Cassa, Carla i Marthę Whippler i po kolei wezmą ich w obroty, jak myślisz, jak długo nie wyjdzie na jaw udział w tym wszystkim Lysy Dean? Świetny materiał na pierwsze strony brukowców, kochanie. Gwiazda zamieszana w orgię i sprawę zabójstwa. Może ponieść większe straty, niż sądziła. Muszę zatem sprawdzić, na ile moje przypuszczenia są słuszne. Jeśli ona nie ma szans uniknąć tego kotła, to przynajmniej będę mógł ją ostrzec. Może zdoła podjąć jakieś kroki. Podpisać kontrakt na dłużej. Poradzić się speców od kontaktów z prasą. Cokolwiek.

Dana nachmurzyła się.

– Rozumiem, co masz na myśli. Ale może on tylko tak sobie powiedział, że wybiera się do Phoenix.

– Sądzę, że tam jest. To blisko. Chcę sprawdzić.

– Dobrze, kochanie.

Poklepałem ją po stopie.

– Lubię posłuszne kobiety.

Ziewnęła.

– Po prostu jestem jakaś potwornie rozleniwiona, nic mi się nie chce.

– Nic a nic?

Wydeła wargi. Przechyliła głowę i położyła palec na nosie.

– No... może nie całkiem nic.

## 13

Wpadłem na pomysł, żeby porozglądać się trochę wokół Four Treys, z nadzieją że znajdę jakikolwiek ślad wizyty Vance'a M'Grudera w wieczór, kiedy zginęła Patty. Ale kiedy przypomniałem sobie, jak bezwzględni i czujni potrafią być gliniarze z Las Vegas, dałem sobie spokój. Dzień i noc mają do czynienia z najróżniejszymi typkami i kanciarzami, i na pewno skupią się teraz na rozwikłaniu zagadki tego morderstwa, a ja nie miałem ochoty obrywać po łbie i tłumaczyć się z mojego chwilowego zainteresowania tą sprawą.

Poza tym, jeśli M'Gruder jest tak bystry, jak to sobie wyobrażałem, to raczej nie pojawił się w pełnym świetle któregośkolwiek kasyna w centrum. Na pewno znał adres Patty w Pustynnej Bramie. Jeśli już dotarł do miasta, łatwo było sprawdzić, kiedy kończy się jej zmiana. Goląc się, próbowałem zgadnąć, jaki środek lokomocji mógł wybrać. Z Phoenix miał około czterystu osiemdziesięciu kilometrów. Doszedłem do wniosku, że sam zdecydowałbym się na dobry szybki samochód. Z wystarczającą mocą pod maską i odpowiednimi amortyzatorami na górskie zakręty można byłoby bezpiecznie zakładać, że podróż potrwa pięć godzin. Wyjechać z Phoenix o osiemnastej i dotrzeć tu o dwudziestej trzeciej. W godzinę wytropić i zabić Patty. Byłoby się z powrotem przed piątą trzydzieści rano, wystarczająco wcześnie, żeby niepostrzeżenie wślizgnąć się do łóżka nowo poślubionej małżonki. Prywatne auto było bezpieczniejsze niż autobus, lot rejsowy czy wypożyczenie awionetki. Można płacić za benzynę gotówką. Żadnych śladów, żadnych współpasażerów. Przy dobrej realizacji, z doskoku, wszyscy mogliby być przekonani, że w ogóle nigdzie się nie ruszał. Jeśli miał dość zimnej krwi, żeby zrobić wcześniej ten wypad do Santa Rosita...

Poszliśmy do jadalni na śniadanie, moja pani znów na zielono, bo tak się złożyło, że miała tylko ten strój. Nie całkiem dobudzona, trzymała się blisko mnie, nie śpieszyła się, a z jej warg nie schodził

tajemniczy uśmiech Mony Lisy. Wzięła mnie pod ramię i spojrzała promiennie, puszczając mi zaspane oczko. A potem ziewnęła.

Zjedliśmy na spólkę górę ciasteczek i belę bekonu.

Na stojaku w lobby zauważyłem gazetę z Phoenix. Przejrzałem ją i znalazłem rubrykę towarzyską. Pouczyłem Danę i wysłałem ją do budki telefonicznej z fałszywym nazwiskiem i dość prawdopodobną bajeczką. Stałem pod budką i patrzyłem, jak jej spojrzenie staje się twarde i przytomne. Skinęła do mnie głową.

– Przemiała kobieta! – powiedziała po wyjściu. – M’Gruderowie zatrzymali się u Glenna i Joanne Barnweatherów. Wymawiała ich nazwisko z szacunkiem, wyraźnie jej imponują. Najwyraźniej to starzy przyjaciele M’Grudera. Przylecieli z Meksyku jakieś pięć dni temu, jak słyszała. Mieszkają na ranczo Barnweatherów, za Scottsdale. Byłeś pewien, że tam są, prawda?

– Niezupełnie. Ale teraz zaczynam wierzyć, że jesteśmy na dobrym tropie. No to jedźmy się im przyjrzeć.

Poszliśmy do pokoju się spakować. Straszna robota. Ona zrobiła z tego ceremonię, jak troskliwa żona dreptała po pokoju, żeby sprawdzić, czy niczego nie zapomnieliśmy. Zmarszczone w skupieniu brwi. Białe zęby zagryzające pełną dolną wargę.

Złapałem ją, kiedy przechodziła obok mnie, pocałowałem w zmarszczkę na czole i powiedziałem, że jest świetną dziewczyną. Odparła, że miło jej, jeśli tak sądzę, ale może dobrze byłoby, gdybym puścił tę świetną dziewczynę, bo jak nie, to nie wyjdziemy stąd pewnie do południa, a o tej porze, jak przypadkiem zauważyła, powinniśmy się stąd wymeldować.

Jeszcze przed dwunastą byliśmy w drodze. Z opuszczonym dachem zmierzaliśmy do Boulder City, po krótkim przystanku przy domu towarowym, żeby kupić dżinsową spódniczkę, bluzkę na ramiączkach i jaskrawożółtą chustkę dla niej oraz białą sportową koszulę dla kierowcy.

Samochód był solidny i świetnie się go prowadziło. Dzień miał w sobie coś z atmosfery miodowego miesiąca. Słońce przypiekało, wiał suchy wiatr. Śmiałyśmy się i żartowaliśmy. Strzelała na mnie swoimi ciemnymi oczami, przewrotnie rozbawiona. Taką ją chciałem widzieć. Wesolą i wolną, niezamykającą się znów w swojej ciemnej otchłani.

W tym ożywieniu naprawdę robiła wrażenie. Bo nie była po prostu zwykłą ładną, przymilną i flirtującą dziewczynką. Należała do gatunku



kobiet dojrzałych, mądrych, pięknych i silnych, wymagających równorzędnego partnera, który zaspokoi ich potrzeby. Instynktownie natychmiast wyczułaby wszelkie uniki, nieuczciwość, najmniejszy opór, by całkowicie się na nią otworzyć – i wtedy straciłoby się ją na zawsze. Szczerość to jedyne, co do niej przemawiało, co akceptowała. Na razie oczy jej błyszczały, nie widać było wahania, w które wpadała pod wpływem ukłucia złych wspomnień. Nawet jeśli się jest na tropie morderstwa, świat potrafił być piękny.

Kiedy zatrzymaliśmy się na lunch i siedzieliśmy w cieniu na patio, popatrzyłem na nią uważnie.

– Dlaczego? – spytałem.

Wiedziała, o co mi chodzi. Grzebała słomką w mrożonej kawie.

– Myślę, że kiedy wróciłeś po spotkaniu z Carlem Abelle'em. Nie wiem. Mogłeś wparadować dumnie, z uśmiechem twardziela i tak dalej. Ale tobie było przykro, że sprawiłeś mu ból i go upokorzyłeś. A on przecież nie jest nikim specjalnym. Uzmysłowiłam więc sobie, że nie obnosisz się ze swoją męskością, bo jesteś jej już pewien. Nie ma w tym żadnej pozy. I tak samo nie musiałeś mnie wykorzystać, żeby dowieść, jaki z ciebie niesamowity facet. Chociaż oboje nas... ciągnęło do siebie fizycznie. Wiem, że to brzmi, jakbym była egocentryczką, ale pomyślałam sobie: dobrze... do licha, jeśli bycie mężczyzną to coś dobrego i cennego, to należy się za to jakaś nagroda, coś powinno się dostać. Mówiąc wprost: mnie. Tak jakbym była czymś wspaniałym...

– Nie rób sobie tego, Dano. Jesteś niesamowicie... absolutnie wspaniała. I nie chodzi mi tylko o to, że w...

– Wiem. To nie sprawa mnie czy ciebie. Nie mówmy o tym. To my w sumie, piorunująca mieszanka. Nie chcę tego roztrząsać ani myśleć, co dalej. Dobrze? Dobrze, kochany?

– Żadnych rozmów. Żadnego analizowania.

– Razem jesteśmy piękni – powiedziała. – Chyba wystarczy, że to wiemy. Sama potrafię tylko... dobrze wypełniać swoje obowiązki, jestem poważna i trochę obcesowa. Defensywna. Ty natomiast możesz wydać się szorstkim zgorzkniałym oportunistą, trochę zimnym, przebiegłym i nieufnym. Może nawet okrutnym. Ty i ta twoja łódź sybaryty i te twoje cholerne plażowiczki. Ale razem w jakiś zwariowany sposób tworzymy coś pięknego. Jak na razie.

– Jak na razie?

– Nie jestem dzieckiem, Trav. Wiem, że prędzej czy później będzie bolało.

– Przestań.

– Za dużo gadam?

– Tylko czasami.

No i ruszyliśmy w dalszą drogę. Do Kingman, Wikieup, Congress – na północ, gdzie chłodniej, na południe, gdzie żar – przez Wickenburg, Wittman, do bogatej pradawnej doliny Salt River, której rozkwitowi, zdajacemu się trwać bez końca, przewodzi Phoenix. Stało się ono bezwzględny, zachłanny miastem, gdzie zarówno dziedziczki posiadaczy ziemskich, speców od nawadniania, jak i naganiaczki do kasyn noszą takie same markowe dzinsy.

Świecące nam w plecy słońce było już nisko, kiedy dotarliśmy na miejsce i przedzieraliśmy się przez nasilony ruch wracających do domu po pracy w to piątkowe popołudnie. Pokrążyłem i zdecydowałem się na połyskujący szkłem hotel o nazwie The Hallmark. Kamień, tekowe drewno i wielkie okna otaczały półkolem wspaniały obszar zieleni. Trawnik, drzewa i klomby, błękitna woda w marmurowym basenie o kształcie malarskiej palety. W specjalistycznym sklepie obok pozwoliliśmy Lysie Dean uzupełnić naszą garderobę. Wybraliśmy spodenki plażowe dla mnie i kostium kąpielowy dla pani. Przygotowaliśmy sobie drinki – gin z tonikiem cytrynowym. Dana pływała dzielnie, trzymając brodę wysoko nad wodą, w stylu, który jak jej powiedziałem, przypomina ruchy młodego owczarka. W gasnącym świetle dnia dostrzegłem w łazience, że po długiej jeździe w słońcu na skórze odznaczyły się jej jasno ślady ramiączek. Niezbyt duże blade piersi reagowały na mydlane ablucje, które oferowaliśmy sobie nawzajem. W łatwym do przewidzenia pośpiechu porwałem jej niewytarte ciało, jak ociekającą wodą foczkę, do łóżka. Jędrne, gibkie, błyszczące i chichoczące zdawało się lekkie jak piórko. Uroczyste przypieczętowanie naszych dwudziestu czterech godzin.

Rozluźnieni, w poczuciu pełnego spełnienia, delikatnie i czule objęci, wróciliśmy do naszych obowiązków. Rozmawialiśmy o M’Gruderze, rozważając różne możliwe formy nawiązania z nim kontaktu.

Nie potrafiłem wyjaśnić jej dokładnie, co mam nadzieję osiągnąć. Jeśli to M’Gruder jest tym, kogo szukamy, chciałem nim wstrząsnąć. Chciałem, żeby wiedział, że nie ma żadnych szans. Człowiek rzucający

się do ucieczki jest już martwy. Proces byłby katastrofą także dla Lysy Dean. A kiedy się wzięło od kogoś pieniądze na wydatki, to ma się wobec niego jakieś zobowiązania moralne. M'Gruder prawdopodobnie nabrał pewności, że mu się upiekło, musiałem go więc wyprowadzić z błędu i zmusić do ucieczki. Oraz zaaranżować pościg.

Numer telefonu Barnweatherów był w książce telefonicznej. Omówiliśmy z Daną wszystkie szczegóły. Poinstruowałem ją, a ona dodała kilka pomysłów. W łazience był dodatkowy aparat telefoniczny. Mogłem stamtąd przysłuchiwać się rozmowie.

Służąca powiedziała, że M'Gruderowie są w domku gościnnym i podała Danie inny numer.

Odebrał mężczyzna. Wyrobiony baryton, lekko rozluźniony drinkiem, przyznał, że w rzeczy samej jest panem M'Gruderem we własnej osobie.

– Nie zna mnie pan.

– Z tak uroczego głosu wnioskuje, że moja strata. Jak się pani nazywa?

– Właśnie wybrałam sobie nowe imię i nazwisko i jestem ciekawa, czy się panu spodoba. Patty Ives. Co pan na to?

Można było wolno policzyć do pięciu, zanim się odezwał. Starał się bardzo o obojętny ton, żeby nie dać nic po sobie poznać.

– Mam wrażenie, że pani chce mi coś przez to powiedzieć, ale obawiam się, że nie rozumiem.

– O, chyba mam nad panem dużą przewagę. Wiem o panu o wiele, wiele więcej niż pan o mnie.

– Nie chciałbym być niegrzeczny, ale nie lubię bawić się w zgadywanki, kimkolwiek pani jest. Proszę więc wybaczyć, ale...

– Myślałam, że moglibyśmy się umówić i porozmawiać gdzieś spokojnie, gdybyś zechciał wymknąć się swojej młodej żoneczce, Vance. Mamy wspólnych znajomych. Carla Abelle'a. Lyse Dean. Cassa Edgarsa. Nancy Abbott. Marthę Whippler. Oczywiście też Sonny'ego Cattona, ale on nie żyje. Biedny Sonny.

Znowu mogłem policzyć do pięciu.

– Mam wrażenie, że bardzo głupiutka z ciebie dziewczyna.

– Głupiutka, ale niespecjalnie zachłanna. I bardzo, bardzo ostrożna, Vance.

– Pozwól, że powiem wprost. Może masz coś, co ci się wydaje cenne. A jeśli to dla mnie tylko drobny kłopot?

– O, sądzę, że jednak o wiele więcej!

– Mówisz w tak zawołany sposób, moja droga. A ja jestem całkiem pewny, że dawne grzechy mogą być mi wybaczone. Życie z moją eks bywało chore, a moja obecna żona jest tego świadoma. Zmieniłem się. Wczoraj po południu była tu policja, współpracują z komendą w Las Vegas, jak sądzę. Dla pełnej jasności, nie zabiłem Patty. Ale nie boleję nad tym, że nie żyje. Nie jestem aż takim hipokrytą. To była okropna kobieta. Musiałem uwolnić się od niej za wszelką cenę. To wszystko nie twój interes, oczywiście. Nie chciałbym jednak, żebyś odniosła wrażenie, że mnie przestraszyłaś. To mnie tylko... zdenerwowało. Proszę więcej do mnie nie dzwonić.

Trzask.

Odwiesiłem słuchawkę i przysiadłem na szerokim żółtym brzegu małej trójkątnej wanny. Kilka chwil później w drzwiach łazienki pojawiła się Dana. Włożyła moją sportową koszulę. Oparła się o futrynę.

– No i co?

– Nie wiem. Po prostu nie wiem. Albo zupełnie nie mamy racji, albo ma nerwy ze stali. Wszystkie tropy prowadzą do niego. Do licha, to musi być on. Jedziemy tam.

– Tak po prostu?

– Mam nadzieję, że zostaniemy zaproszeni.

Jest taka teoria, która mówi, że w Stanach Zjednoczonych jest tylko sto tysięcy ludzi. Reszta, 189 900 000, to anonimowy tłum. Dalej teoria dowodzi, że z każdą z tych stu tysięcy osób można skontaktować się zaledwie w trzech ruchach. Na przykład: Ron znał brata Carol w Princeton, mąż Carol pracował z Vernem w Fundacji Forda, kuzyn Verna poznał Lucy na festiwalu filmowym. Kiedy więc Ron i Lucy spotykają się jako obcy i czują, że oboje należą do tych stu tysięcy, mogą zabawić się w serdeczną, podnoszącą na duchu i przyjemną grę w „a czy znasz” i wyrażając głośno radość, przekonać się, że mają wspólnych znajomych.

Ze względu na dawne zasługi uzyskałem tymczasowe członkostwo w tej grupie i wydawało mi się, że Glenn i Joanne Barnweatherowie na pewno mają w niej mocną pozycję. Musiałem więc uruchomić innych członków, którzy najprawdopodobniej ich znają. Spróbowałem Tulia z Oklahomy i to było pudło. Przypomniała mi się Mary West z Tucson. Znała ich, ale niezbyt dobrze. Za to przyjaźniła się z Paulem i Betty

Diverami z Flagstaff, a tych łączyła z Barnweatherami wielka zażyłość i Mary była pewna, że uda jej się namówić Betty do pomocy. W razie problemu oddzwoni. Jak pójdzie dobrze, to skontaktuje się z nami sama Joanne Barnweather. Powiedziała mi krótko, co powinniśmy wiedzieć o Diverach.

Czekaliśmy około dwudziestu minut, nim zadzwonił telefon.

– Czy to Trav McGee? – spytał kobiecy głos. – Mówi Joanne Barnweather. Przed chwilą dzwonił do mnie nasz wspólny przyjaciel, Paul Diver, i mówił, że jesteś w mieście. Może przyjedziesz do nas? Jeśli nie masz jakichś innych planów.

– Chętnie, jeśli mógłbym zabrać ze sobą swoją dziewczynę.

– Ależ jak najbardziej, mój drogi. Glenn i ja będziemy zachwyceni. Mamy w domu gości i zaprosiliśmy trochę osób, żeby ich poznali. Takie organizowane spontanicznie spotkanie, popijamy sobie i czekamy, aż będzie czas wrzucić coś na grilla. Przyjeżdżajcie bez żadnych ceregieli, tak jak stoicie. Będzie nam bardzo miło.

Dała mi wskazówki, jak trafić.

Dana przytuliła się do mnie i też słuchała. Kiedy odłożyłem słuchawkę, popatrzyła na mnie z podziwem.

– Ty draniu!

– Kochanie, ubieraj się w zielony kostium.

– Powiedziała, żebyśmy przyjechali od razu, tak jak stoimy.

– No to przynajmniej pozapinaj tę koszulę.

Kiedy wyszliśmy i znaleźliśmy się pod chłodnym rozgwieżdżonym niebem, przedstawiłem Danie mój plan. Ma trzymać się z dala od M'Grudera i, na ile to możliwe, skupić się na jego młodej żonie ze Szwecji. A ja spróbuję, co się da z M'Gruderem.

Posiadłość Barnweatherów to było zwykłe małe ranczo z domem za ćwierć miliona dolarów, kilkaset metrów w głąb skalistego terenu, gdzie w świetle gwiazd połyskiwało piętnaście samochodów. Znad oświetlonego reflektorami basenu dobiegały wesołe głosy i dźwięki muzyki.

Kiedy szliśmy w kierunku zgromadzonego towarzystwa, poczułem, że Dana bierze głęboki wdech i stara się skoncentrować. Grzejniki na podczerwień były skierowane na szeroki wychodzący na basen taras. Uśmiechnięty mały facet w czerwonej marynarce uwijał się przy barze. Zaproszeni goście to była paczka młodych małżeństw nastawionych na sukces. Dziewczęce, nerwowe matki trójki, piątki, siódemki dzieci, ich napakowani mężowie nabuzowani burbonem i interesami. W sumie około trzydziestu pięciu osób, płynnie przechodzących z jednej grupy konwersacyjnej do drugiej. Poubierani byli różnie. Od szortów i spodni po szpanerskie kurtki ranczerskie mężczyzn – gruby spłowiąły materiał, perłowe guziki, kieszenie z klapami. W rozmowach wyczuwało się ten typowy dla południowego zachodu Stanów akcent, który tak szybko przejmują sprowadzający się tu z Indiany czy Pensylwanii.

Kiedy wahaliśmy się, co dalej, podeszła do nas szczupła, piękna kobieta. Z uśmiechem wyciągnęła do nas rękę.

– Trav? Jestem Joanne.

– A to Diana Hollis.

Uznaliśmy, że Lysa Dean mogła wspominać M'Gruderowi o swojej asystentce, a nazwisko Dany było na tyle rzadko spotykane, że mógł je zapamiętać.

– Tak się cieszę, że wpadliście, moi drodzy. Chodźcie, poznajcie resztę.

Poprowadziła nas najpierw do baru po drinki, a potem przez tłum, szybko wymieniając imiona i wyjaśniając, kto jest kto. Glenn był jednym z przysadzistych facetów w ranczerskiej kurtce. Joanne z nieco większym namaszczeniem przedstawiła nas małżeństwu, które u niej gościło. Vance M’Gruder był trochę bardziej łyсы, bardziej opalony i wyższy, niż wydawał się na zdjęciach. Niezły typ. Idealnie zbudowany sportowiec. Mięsień na mięśniu, tak że nawet jego twarz wyglądała jak skórzana torba orzechów włoskich. Mięśnie od polo, mięśnie tenisowe, mięśnie od szarpania się z żaglami, mięśnie od szermierki – taki typ, który codziennie rano staje na rękach, ćwiczy z zawodowymi sportowcami, jeśli to możliwe, i ma dziką, nieprzewartą ochotę pokonać cię we wszystkim, w czym tylko chciałbyś się z nim zmierzyć, od squasha po piłkę na uwięzi. Jego osobowość pasowała do ciała – wydawał się zdystansowany, przemądrzały i arogancko kpiący.

Jego młoda żona była jedną z najbardziej oszłamiających kobiet, jakie w życiu widziałem. Miało się ochotę mówić do niej ściszym głosem, niczym do bóstwa. Szwecja wydaje wiele najwspanialszych okazji naszych czasów. Ulka Atlund M’Gruder była tak wysoka, że M’Gruder kazał jej już zawsze nosić płaskie obcasy. Miała na sobie wełnianą dopasowaną pomarańczową sukienkę bez rękawów. Wokół wszyscy opatuleni w kurtki, swetry, tuniki, szale, chusty, a ona ubrana tak lekko, jakby miała w sobie dość zwierzęcego ciepła, żeby nawet temperatura poniżej zera jej nie przeszkadzała. Była długonoga i idealnie zgrabna. Bez makijażu jej rysy przywodziły na myśl twarz bohaterskiego, gotowego do poświęceń chłopca, pazia z czasów króla Artura lub wyidealizowaną Joannę d’Arc. Półprzymknięte szarozielononiebieskie oczy miały w sobie chłód północnych mórz. Włosy, szczesane na bok z wysokiego łagodnego czoła, opadały bujnie niczym białe złoto. Nie miała wiele do powiedzenia, a jeśli się odzywała, to sennie, jakby wszystko ją nudziło, i stale szukała wzrokiem męża. Nad całym tym rosłym wikingowskim wdziękiem dominowała zmysłowość tak silna, że aż wyczuwalna. Wszystko to było zapisane w powolnym uśmiechu jej ust, delikatnych sinych cieniach pod oczami, w tym, jak stała, eksponując krągłe biodra. Choć zdecydowanie najmłodsza w tym towarzystwie, wydawała się o wiele starsza. Musiała pływać przyśrubowana do dziobu dawnego okrętu od

tysiąca lat. I każda obecna tu kobieta nienawidziła jej i jednocześnie się jej bała. Jej aparycja potwierdziła moje domysły na temat Vance'a M'Grudera. Afiszowanie się z nią niczym ze zdobytym sztandarem lub medalem było ostatecznym potwierdzeniem w konkurencji męskości, ponieważ roztaczała wokół siebie jakąś dziwną atawistyczną aurę seksualnego podporządkowania. Była przywiązana do M'Grudera, całkowicie na nim skupiona, ale gdyby wyrwał mu ją ktoś silniejszy, bardziej uparty, zdecydowany, bez słowa czy wahania przeniosłaby swoje oddanie na nowego władcę. Mężczyzna taki jak M'Gruder robi wszystko, żeby osiąść taką kobietę. I zrobił. Byłem tego pewien. Myślałem o jego dawnych zwyczajach i skłonnościach i zastanawiałem się, czy kiedy fizyczne zasoby zaczną mu się wyczerpywać, będzie się stymulował, demoralizując ją. Dla niego kobiety to własność, coś, czego używa się wedle woli.

Później, stojąc w towarzystwie kilku osób przy M'Gruderze, rozejrzałem się i zobaczyłem, że Dana jest sama z Ulką, coś do niej cicho mówi, a tamta kiwa głową i nie spuszcza oczu z Vance'a. Nie potrafiłem się do niego przebić. Próbowałem gry w „a czy znasz”, wymieniając wielkich amatorów żeglowania z Florydy, o których słyszałem. Tak, zna. Oczywiście. Podejrzewałem, że nie jest w stanie wciągnąć się w rozmowę o jakichś banałach. Dwa razy podjął potworne ryzyko, żeby zdobyć i utrzymać przy sobie księżniczkę wikingów. Może ktoś próbuje zastawić na niego pułapkę i go złapać. Pilnował się i to sprawiało, że kurtuazyjne pogawędki z nim były prawie niemożliwe. Nie potrafiłem zrozumieć, jak mógł obiecać, że pośle to stworzenie z powrotem na studia, podobnie jak trudno mi było uwierzyć, że spłodził ją jakiś profesorek. W dawnych czasach, jeśli gdzieś pojawił się taki rarytas, jeden z królewskich umyślnych pędził do pałacu z nowiną i dziewczynka ginęła na zawsze w którejś z królewskich siedzib, a jej rodzina dostawała w zamian woreczek dukatów. W naszych, mniej przewidywalnych, czasach takie dziewczyny porywają nafciarze, słynni sportowcy, potentaci telewizyjni i M'Gruderzy. Ale mężczyźni, którzy je posiadają, nigdy nie są pewni swego, bo jeśli nie jest się królem, nigdy do końca nie zostaje się ich władcą. To tylko tymczasowy uśmiech losu.

Po jakimś czasie siedziałem obok Ulki w wielkim pokoju do gier i zabaw, a ona wrzynała się i wgryzała w ogromny wyborny stek. Nóż i zęby połyskiwały, mocno pracowały mięśnie szczęk i szyi, oczy zaszczyły



mgłą, kiedy tak całkowicie skoncentrowała się na tej fizycznej gratyfikacji, aż z wysiłku na jej bladym czole zaślniły kropelki potu. Na koniec wzięła kostkę i ogryzła ją do czysta, co pozostawiło na jej wargach i czubkach palców tłuste ślady. W jej apetycie nie było nic wulgarne. Przywodził na myśl tygrysa, który łamie biodro ofiary, by wysać szpik.

Impreza się podzieliła. Było dość miejsca, by goście rozeszli się po domu i terenie. Różny stopień upojenia alkoholowego miał większe znaczenie przy tworzeniu się grup niż klasa społeczna czy interesy zawodowe. Straciłem z oczu Danę, wybrałem się więc na nocną przechadzkę, nieśpiesznie rozglądając się za swoją towarzyszką. Przecinając pełen wysokich kaktusów ogród, który tonął w niesamowitej niebieskawej poświacie, usłyszałem z prawej strony konspiracyjny jadowity kobiecy szept.

– Podły! Podły! Podły!

Więcej w tym było pogardy niż oburzenia.

Chciałem się cicho wycofać. Nie interesowało mnie, jak mężowie bywają besztani w tym pustynnym raj. Pewnie tak samo jak gdziekolwiek indziej.

Ale odezwał się mężczyzna i stanąłem jak wryty.

– Chcę tylko wiedzieć, gdzie ty...

Reszty zdania nie wyłapałem. Podniósł głos, przerywając jej, i ściszył go, kiedy umilkła. Ale poznałem M'Grudera.

– Cwaniak się znalazł! Co za bystrzak! O Boże, jaki mądrała mi się dostał!

– Ciszej, Ullie. Nie krzycz!

– A może byłam z którymś ze swoich meksykańskich chłopaków? Co ty na to? Co? Powiedz! I co mi zrobisz?

Słodki głos należał do Ulki Atlund M'Gruder, mężatki od dwóch zaledwie miesięcy. Gdzie się podział senny, zdystansowany uśmiech i cała jej potulność? Wyszła z niej złośliwa, szydercza natura kobiety kastrującej mężczyznę. Znów powiedział, żeby była ciszej, i odeszli, już ich nie słyszałem. Pokrążyłem trochę i odkryłem, że najprawdopodobniej jestem w pobliżu ścieżki do domku gościnnego.

Przyznaję, że miałem trochę paskudnej, małostkowej satysfakcji. Jak lis, któremu raz uda się podskoczyć dość wysoko, by przekonać się, że winogrona naprawdę są kwaśne. Oto ta twarda brązowa masa wysportowanych mięśni próbowała oszukać kalendarz, żeniąc się z

cudowną małą panną, a teraz żadna sprawność gracza, żadne pieniądze i żadna pozycja społeczna nie są w stanie obronić go przed morderczym instynktem, który każe jej atakować jego najbardziej czuły punkt – starzejącą się męskość. Szukając rajów, skazał się na słodką katastrofę.

Przyjęcie miało się ku końcowi. Pijackie śmiechy. Jakaś grupka śpiewała o żółtej róży z Teksasu.

Podszedłem z Daną do kołyszącej się na nogach Joanne Barnweather, żeby się pożegnać.

– Macie zjawić się tu pojeździć konno jutro rano, zrozumiano? – powiedziała, zataczając się na nas. – Mamy cudowne konie. Po prostu świetne. Diana, kochanie, jak powiedziałam, pożyczę ci wszystko. Będzie na ciebie w sam raz. O to się nie martw. Tylko wy dwoje, my i M'Gruderowie. Wiesz co, Diano? Ulka cię polubiła. Chce, żebyś przyjechała. Co wy na to? Nie sądziłam, że ona w ogóle kogoś lubi. Boże, znamy Vance'a od zawsze i uwielbiamy tego słodkiego sukinsyna, i to cudownie, że wyrwał się tej angielskiej lesbie, możecie mi wierzyć, ale tak szczerze mówiąc, nie umiem rozgryźć tej Ulki. Ona... To coś jak zombie... Nie powinnam tak mówić, ale jestem troszeczkę wstawiona, kochani. Będziecie tu koło dziewiątej rano, dobrze?

• • •

– Boję się koni – powiedziała Dana w drodze powrotnej.

– Jak ci poszło?

– Nie słyszałeś? Ona mnie lubi. Ale sama nigdy bym po niej tego nie poznała. Trav, ta mała okazuje prawie zero emocji, naprawdę. Miałam kiedyś taką znajomą. W końcu zdiagnozowano u niej niedoczynność tarczycy. Jakby odpływała, spała po czternaście godzin na dobę i gubiła wątek podczas rozmowy. Wierz mi, kochany, robiłam, co w mojej mocy. Naprawdę. Spędziłam z tą Ulką sam na sam około czterdziestu minut. Próbowaliśmy wtrącać słowa kluczowe, żeby wywołać u niej jakąś reakcję. Po długich staraniach dowiedziałam się, że w ostatnią środę wieczorem jej mąż grał w pokera. Podobno lubi dobrą partyjkę kart. Powiedziała, że wrócił dopiero w czwartek tuż przed dwunastą. Właściwie musiałam nią potrząsać, żeby to z niej wydobyć.

Nie powiedziałem Danie o dziwnym niepokoju, jaki mnie ogarniał. Miałem wrażenie, że tracimy panowanie nad sytuacją. Zrobiłem ruch. I albo był to fałszywy trop, albo inicjatywę przejął M'Gruder. Zdecydowałem, że będę się zachowywał tak, żeby to on wykonał jakiś ruch. Przemoc to dziecko desperacji.

• • •

Oboje musieliśmy pożyczyć ubrania. Spodnie Glenna Barnweathera były dla mnie przykrótkie i za luźne w pasie. Dana miała nieco inny problem z bryczesami z diagonalu, które dostała od Joanne. W talii były w sam raz, za to w biodrach i udach pękały w szwach. Stajenni siodłali konie, kiedy nieco chwiejąca się na nogach Joanne rozdawała wzmacniające drinki z rumem. Później przydzieliła nam wierzchowce. Dana, jako nowicjuszka, dostała dość krępą, poczciwą klacz. Ja przewracającego oczami gniadego rumaka. Czuł pewną niekompetencję z mojej strony i starał się jednocześnie skubnąć mnie w nogę i walnąć mną o słupek. Ściągnąłem więc uzdę i piętami zmusiłem go do jakiegoś takiego posłuszeństwa. Kiedy ruszyliśmy stępą wśród parskania koni na spalone słońcem wzgórze, widać było, że Joanne i Vance są zdecydowanie najlepsi w naszej grupie. Łokcie przy sobie, pięty jak trzeba, poruszali się tak, jakby byli zespoleni ze swoimi wierzchowcami. Glennowi na wielkim kasztanowatym ogierze należało się drugie miejsce tuż za nimi. Ulka i ja byliśmy mniej więcej na równym poziomie. Wyglądała cudownie w bladoniebieskiej dżinsowej koszuli i białym kowbojskim kapeluszu, który zsuwał się na tył jej blond głowy, ale nie mogła go zgubić, bo trzymał się na zawiązanym pod brodą rzemyku. Robiła wrażenie o wiele weselszej niż poprzedniego dnia. Z kolei Vance wyglądał fatalnie – miał przekrwione oczy i nawet opalenizna nie była w stanie przykryć zielonkawego odcienia jego twarzy. Nerwowo wychylił trzy mocne drinki, jeden po drugim, zanim wsiadł na konia.

Joanne opowiadała o ranczo i tym, co i gdzie planują tu zrobić. Mój cholerny wierzchowiec próbował się potknąć, żeby sprawdzić, czy trochę nie poluzuję, i przez resztę drogi cały czas starał się mnie zrzucić. Jakiś czas jechałem obok Ulki. Zaczęła grzebać w małej przytroczonej do nadgarstka, przypominającej sakiewkę torebce z

jasnej skórki. W końcu wyciągnęła papierosy, pochyliła się i mnie poczęstowała. A potem po kilku bezowocnych próbach udało się jej podać mi też ogień. Uśmiechnęliśmy się głupio do siebie. Jej jędrne duże piersi podskakiwały pod dżinsem, klasyczny nosek lekko błyszczał. Zgubiłem ją, kiedy mój koń z galopu przeszedł w cwał. Najwyraźniej nie lubił tego nieco wolniejszego tempa. Miał tendencję wpadać w kłus, wprawiający kręgosłup w mordercze wstrząsy, albo zrywać się nagle dzikim pędem. Nie mogłem mu popuścić ani na chwilę. W pewnym momencie wszyscy na znak Glenna ruszyli skosem po skalistej równinie w kierunku odległej kępy drzew. Mój koń zaczynał wreszcie traktować mnie nieco poważniej. Jechaliśmy w większych odstępach od siebie. Dana blisko Glenna, schylona nad szyją klaczy, pewnie trzymała się siodła. Blade spodnie podskakiwały. Joanne jechała po mojej lewej stronie, wyprzedzając mnie o pół długości wierzchowca.

I wtedy usłyszeliśmy potworny, przeraźliwy krzyk Ulki Atlund M'Gruder. Konie się spłoszyły. Mój stanął dęba, wyrzucił mnie w górę i opadł. Zaciąłem go do galopu i w samą porę dogoniłem ześlizgującą się na bok szyi klaczy Danę. Zdołałem wepchnąć ją z powrotem na siodło. Glenn odbił w lewo. Obejrzałem się i zobaczyłem tam konia M'Grudera. Galopował jak szalony. Przy tylnych kopytach włókł się, podskakując na skałach jak szmaciana lalka, jakiś potworny kształt. Wreszcie to coś odczepiło się i pozostało nieruchome, mokre, połyskujące, z plamami czerwieni. Ulka zeskoczyła z konia i z krzykiem pobiegła, potykając się o kamienie, żeby ukłęknać przy postaci. Zsiadłem i przywiązałem swojego krnąbrnego rumaka do jakiegoś krzaka. Klacz Dany nagle zawróciła i ruszyła do domu. Joanne ściągnęła konia i pogalopowała za Daną. Podbiegłem do ciała. Wystarczyło mi jedno spojrzenie. Podniosłem Ulkę na nogi i odciągnąłem od leżącego. Trzęsa się, nie mogąc się uspokoić.

– Pochylił się do przodu i nagle spadł – powiedziała swoim cienkim głosikiem, z leciutkim obcym akcentem. – Spadł, ale zaplątała mu się noga. Pochylił się i zsunął. O Boże.

Padła na kolana, siadła na ziemi i ukryła twarz w dłoniach.

Ciało przewieziono jeepem i przekazano do ambulansu pod domem Barnweatherów. Konieczne procedury przeprowadzono w pośpiechu. Wszyscy zgodnie oświadczyliśmy, że M'Gruder nie wyglądał z rana dobrze. Ulka stwierdziła, że miał kłopoty żołądkowe i w nocy nie spał.

Była w pokoju Joanne. Towarzyszyły jej Joanne i Dana. Powiadomiono jej ojca. Miał przyjechać do Phoenix w niedzielę rano, żeby zabrać córkę do San Francisco. Tam planowano pogrzeb. Przekazano wiadomość prawnikowi M'Grudera. W okolicy pojawili się reporterzy i czatowali niecierpliwie w autach.

Usiadłem z Glennem Barnweatherem w cieniu na tarasie.

– Co za potworna historia, co za historia – powtarzał, kręcąc głową, i nalewał sobie burbona za burbonem.

– Miał wszystko, dla czego warto żyć – powiedziałem.

– Chryste, żebyś widział jego dom na Hawajach. Teraz to będzie jej, jak sądzę. Wiesz, czemu nią tak wstrząsnęło, że to się stało właśnie teraz? Narąbałem się wczoraj wieczorem. Położyłem się do łóżka, ale ponieważ źle się czułem, poszedłem na spacer. W nocy głos się niesie daleko i słyszałem, jak oni potwornie się kłócili. Bardzo długo wrzeszczeli na siebie, ale nie rozumiałem dokładnie słów. Nie sądzisz chyba, że ona mogła to wszystko zaaranżować, co? Może to była ich pierwsza kłótnia? A mnie się wydawało, że to on panuje nad sytuacją. On pewnie też tak sądził. Facet dwa miesiące po ślubie i całą noc spędza na pokerze, kiedy ma w łóżku taką szprychę. Wiesz, musiał być bardzo pewny siebie.

– Na pokerze?

– Grał w mieście w klubie w tę środę. To już tradycja. Całonocny poker raz w miesiącu. Zostawił około dwóch tysięcy. Część z tego dostało się mnie. Zgarnąłbym więcej, ale pod sam koniec się odegrał.

Kiedy coś sobie poukładasz i wszystkie kawałki do siebie pasują, nie znosisz, żeby ktoś ci to wszystko rozwalił. Jesteś gotów łapać sypiące się fragmenty, byle tylko nie dopuścić do zawalenia się konstrukcji.

– Grał całą noc? – spytałem, wpijając wzrok w tę dużą, czerwoną szczerą twarz, na próżno wypatrując jakichkolwiek oznak, że kłamie albo próbuje ściemniać.

Dostrzegłem tylko przelotny, lekko lubieżny uśmiezek.

– Aż do białego rana, a nawet nieco dłużej, McGee. Rozumiem, każdy, kto by się przyjrzał dobrze jego młodziutkiej małżonce, byłby zdumiony. Może biedny Vance musiał zrobić sobie małą przerwę. Ona wygląda na niezły numer.

Moja piękna wieża runęła.

Mylne podejrzenia padają z łoskotem, szczególnie jeśli nie lubi się wytypowanego kandydata. Sam słyszałem fragment tamtej kłótni,

która mogła mieć związek z poprzednim, środowym wieczorem. Może to on pytał ją, gdzie się podziewała tamtej nocy, a ona drażniła się z nim, mówiąc o tych meksykańskich chłopakach...

– Czy Ulka też wybrała się gdzieś tamtego wieczoru? – zapytałem.

– Zamierzała. Ale bynajmniej nie na żadne imprezy dla balangowiczów. Chodziło o jakiś koncert, taki, na jakich bywa Joanne. Ja wymawiam się zawsze, jeśli tylko mogę. Z koktajli, uroczystych kolacji i spotkań przy koncertach. Wszystko już było umówione, ale Ulka w ostatniej chwili zdecydowała, że nie jedzie, i Joanne wybrała się tam sama.

– Może Ulka wyskoczyła gdzieś później. Mieli jakiś wynajęty samochód?

– Pożyczyłem im corvette, którą kupiłem Jo. Trzysta sześćdziesiąt koni, zbyt rasowe auto jak na nią. Ona się go boi, bo jak się człowiek zapomni, może za bardzo przydusić. Nieraz już najadła się strachu. Vance zastanawiał się, czy go od nas nie odkupić. Mogliby wrócić nim do San Francisco, a bagaże wysłać osobno. Nie miałem nic przeciwko temu, ale ostatecznie nie dobiliśmy targu. To nowy wóz. Ma dopiero jakieś dwa i pół tysiąca kilometrów na liczniku.

– Czy w środę wieczorem po raz pierwszy spędzali czas osobno?

– On raczej nie odstępował jej na krok.

– Pojeździli sobie trochę tym autem?

– Staraliśmy się zapewnić im tu jak najwięcej atrakcji. Ale o co ci chodzi?

Wzruszyłem ramionami.

– O nic. Tak sobie gadam.

Jeszcze trochę porozmawialiśmy o niczym, a potem zrobił sobie kolejnego drinka i ruszył wolno do domu. Poszedłem do ścieżki prowadzącej do domku gościnnego. Auto stało pod wiatą, miało otwarty dach. Zerknąłem na wskaźniki i zamyślony wracałem pomału do głównych zabudowań. Przecież nie mogłem powiedzieć Glennowi o tym, co mi chodzi po głowie, ale rozrzucone okruchy mojej teorii znów wyglądały nieźle. Składałem je od nowa w całość, z której wyłaniało się inne imię i nazwisko. Problemem jednak był motyw. Nagle wpadłem na pomysł i wydłużyłem krok, by dotrzeć do siedziby Barnwaetherów.

– Słodka moja, postaraj się, żeby nikt nie wszedł do tego pokoju – szepnąłem Danie w korytarzu. – Mów, co ci tylko przyjdzie do głowy, byle tylko ich odgonić.

- Dziwnie wyglądasz, kochanie.
- Dziwnie się czuję.
- Możesz mi powiedzieć?
- Kiedy się upewnię. Wtedy ci powiem.

•••

Wszedłem do sypialni Joanne i zamknąłem za sobą drzwi. Pokój był długi i miał zaciągnięte zasłony. Ulka, z nogami okrytymi puchatym żółtym kocem, leżała na żółtym szezlongu. Półprzymknięte oczy były zaczerwienione. Nadal miała na sobie obcisłą dżinsową bluzkę, a nawiew z klimatyzacji unosił w powietrzu leciutki koński zapach. Patrzyła na mnie obojętnie, kiedy bez powitania przysunąłem pod szezlong puf i usiadłem naprzeciw niej. Była absolutnie olśniewająca. Musiałem upominać się, że mimo wszystko to tylko osiemnastoletnia dziewczyna, której policzki są jeszcze po dziecięcemu zaokrąglone.

Milczenie bywa mocnym środkiem nacisku, ale nie umiałbym powiedzieć, czy na niej wywierało jakiegokolwiek wrażenie.

– Posłuchaj, Ullie.

– Już nigdy nie pozwolę, żeby ktokolwiek mnie tak nazywał. Nigdy w życiu.

– To bardzo sentymentalne, Ullie. Świadczy o wielkiej wrażliwości. Masz pewnie bardzo czułe serduszko. Nie chciałaś, żeby tata się martwił, prawda? Zdjęcia, które twojemu mężowi zrobił Ives, zdenerwowałyby pana profesora i zakazałyby wam małżeństwa. A ty jesteś posłuszną córką. Niestety, Ives był potwornie pazerny i wiedział, jak bardzo Vance’owi na tobie zależy. Musiał żądać masy pieniędzy. I popełnił głupi błąd. Chciał szantażować byłego klienta, a ten go znał i wiedział, gdzie go szukać. Ives pewnie jednak nie sądził, by Vance mógł posunąć się do przemocy.

Nachmurzyła się i pokręciła swoją ładną główką.

– Ives? Zdjęcia? Szantaż? Po co przychodzisz tu i gadasz takie brednie?

– Ives musiał dostać opłatę w jednej sporej racie, bo kiedy tylko wyszłaś za mąż, zdjęcia straciły moc przetargową. Domyślałam się, że Vance zwierzył ci się z problemu i pokazał zdjęcia. Może chciał sprawdzić, czy wyszłabyś za niego bez zgody taty, bo wtedy

zaoszczędziłby sporo kasy. To dość smutne i dziwaczne, Ullie. Tak bardzo szanujesz ojca, a nie szanujesz życia.

– Nie nazywaj mnie Ullie. Nie zgadzam się na to.

– Kiedy zginął Ives, Vance musiał pomyśleć, że to tylko szczęśliwy zbieg okoliczności. Cieszył się, bo to zdjęło mu kłopot z głowy, i kiedy nie pojawił się nikt, kto by zastąpił Ivesa w jego roli, Vance uznał, że jest już w domu i że nic mu nie grozi. Miał dostać dziewczynę, obrączkę i wszystko. Jego tragedia polegała na powolnym odkrywaniu, jaka z ciebie psychopatyczna suka.

– Kim ty jesteś? Chyba całkiem ci odbiło.

– Przypatrzmy się temu razem, Ullie. Nikt nie podejrzewał Vance'a. Jedyną osobą, która mogła coś podejrzewać i zastanawiać się, ile jest dwa razy dwa, była jego poprzednia żona, Patty. W końcu znalazła odpowiedź i sprawdziła to tak dokładnie, jak to tylko było możliwe. Pomyślała, że teraz przygwoździ Vance'a. Miała wszelkie powody, żeby sobie zrekompensować swoją krzywdę. Przekonana, że to on zabił Ivesa, i pewna, że może być dla niej dobrym źródłem dochodów przez całe życie, skontaktowała się z nim. Łatwo pojąć, co poszło źle, Ullie. Vance był w stanie dowieść, gdzie był nocą piątego grudnia. Ale gdzie była jego ukochana? Jego pyskata dziewczynka, która mogła podejść Ivesa i Patty nocą, w odludnych miejscach, podczas gdy on nie dałby rady tam się pojawić? Skoro rozplatałaś głowę Ivesowi, przy Patty nie miałaś wyboru. Z nieudolnym morderstwem jest jak z pracami w domu, kochana. Jak się raz zacznie, to końca nie widać.

– Opowiadasz jakieś bzdury. Przynudzasz.

– Patty by się nie odczepiła i prędzej czy później Vance musiałyby się zmierzyć z prawdą, że to ty zabiłaś Ivesa. Może nie byłby w stanie tego przełknąć. Może by cię odrzucił. Pomału docierało już do niego, że jego małżeństwo nie jest tym, na co liczył.

– Byliśmy ze sobą najszczęśliwsi na świecie!

– Ullie! Ullie! A co z tymi meksykańskimi chłopakami? Pewnie to były tylko takie małe flirty, co? Żeby go trochę wyprowadzić z równowagi, postraszyć.

– Skąd ty to...

Urwała. Pewnie przypomniawszy sobie, jak próbował ją uciszyć. Miała lekko przyśpieszony oddech, a na jej nieskazitelnych policzkach pojawiły się małe rumieńce. Widziałem, że z wysiłkiem stara się opanować, zwalniając i pogłębiając oddech.



– Nie wyobrażam sobie, że Vance naprawdę chciał grać w pokera. Nikt nie zauważył, kiedy wyjechałaś i wróciłaś. Upiekło ci się. Ale jak się starannie sprawdzi, to wszystko będzie wiadomo, Ullie. Trzeba tylko zajrzeć do każdej stacji paliw po drodze. Nie wystarczyłoby ci benzyny w baku. Jakiś mały palant pewnie do tej pory o tobie śni. O najpiękniejszej dziewczynie, jaką w życiu widział, która podjechała w środku nocy tą rakieta.

– No i co z tego? Byłam zdenerwowana. Przejechałam się. Jeżdżę bardzo szybko. Co mogę na to poradzić, że Vance zrobił się bardzo podejrzliwy wobec mnie i przychodziły mu do głowy jakieś głupie rzeczy? Nie wiesz, jak to jest... jak to było. Starał się zachowywać... jak moi koledzy. Młody, energiczny, zabawowy facet. Ale tak naprawdę potrzebował więcej spokoju. Widziałam, że obcy się z niego śmieją. Powinien mieć więcej godności! Oczywiście, zależało mi na pieniądzach, podróżach, ubraniach i dobrej zabawie. Wykładowcom uniwersyteckim powodzi się marnie. Całe życie wiedziałam, jakiego chcę męża. Starszego, bardzo bogatego i silnego, żeby mi wszystko kupował i mnie wielbił. Żeby siedział i uśmiechał się do mnie, kiedy tańczę z chłopakami, i ufał mi. Skoro go znalazłam, nie mogłam go utracić. Ale każdy dzień był jak zawody, żeby sprawdzić... które z nas jest młodsze. On nie rozumiał, co to jest idealna miłość. Dla niego liczyło się tylko to, ile razy może mnie przelecieć. Myślał, że to sposób na wieczną młodość. Dlaczego musiał sobie tyle udowadniać? Ty jesteś inny. Ty byś rozumiał. Też jesteś starszy, ale od niego młodszy. Silniejszy, Travisie McGee. Teraz są pieniądze. Słuchałam, jak opowiadałeś Joanne o swojej śmiesznej łajbie, którą tak zabawnie nazwał.

Na chwilę zamknęła oczy, potem otworzyła je szeroko i spojrzała na mnie.

– Widzisz, ja zawsze... czułam się wyjątkowa. Jakby moje życie miało być... piękne i ważne. Dziwnie to się czasem układa. Vance nie był tym właściwym. I nagle pojawiaasz się ty. Dziwne. To takie dziwne, że oboje czujemy, jakby to musiało... być nam pisane dawno temu.

Istny majstersztyk manipulacji. Przez myśl przemknęły mi sprośne marzenia. To była zakamuflowana oferta. Pomóż jej ukryć błędy, jakie popełniła, a dostaniesz ją na talerzu. Mmmm... przehandlować moją łódź na naprawdę dobry jacht z silnikiem, trzyosobową załogą – kapitan, steward, pomocnik pokładowy – i zobaczyć, w ilu zatoczkach

oceanów na świecie księżyc świeci najpiękniej. Tylko, oczywiście, trzeba pamiętać, żeby nigdy nie stawać do niej plecami...

– Ullie, kochanie, nie zmieniamy tematu, póki nie dokończymy tamtego wątku. Powtórzę to, co powiedziałaś: „Skoro go znalazłam, nie mogłam go utracić”. Ale w końcu doznałam do punktu, w którym musiałaś go utracić. Wiem, że cię naciskał, chciał wiedzieć, dokąd pojechałaś, i zastanawiałem się, skąd wiedział, że w ogóle gdzieś się ruszałaś. A potem Glenn powiedział mi o tym, że Vance zastanawiał się nad kupnem tego auta. Faceci przymierzający się do takiej transakcji kopią w opony, trzaskają drzwiami i sprawdzają przebieg. On widział więc licznik, a potem popatrzył na niego znowu i odkrył wielką, niewyjaśnioną różnicę: było na nim dobrze ponad trzy tysiące kilometrów. On tyle nie przejechał, więc musiałaś to zrobić ty, a Patty zginęła w taki sam sposób jak Ives. Vance poczuł, że znalazł się w dość upiornym związku. Niech zgadnę, Ullie. Z tego, jak zachowywał się dziś rano, wnioskuję, że niewiele spał tej nocy. Myślę, że wiercił ci dziurę w brzuchu, aż dałaś za wygraną i opowiedziałaś mu o wszystkim. A kiedy to się stało, uświadomiłaś sobie, że on nie do końca jest w stanie przebaczyć i zapomnieć. Nie poradził sobie z tym. To było zbyt wiele. Może był tak wykończony, że wcale nie miał ochoty na poranną przejażdżkę, ale ty wiedziałaś, że prędzej czy później wymanewrujesz to jakoś i reszta z nas znajdzie się przed waszą dwójką.

– Czy mogłabym być takim potworem, kochanie? Tak mnie widzisz, naprawdę?

Na szeszlunku obok jej biodra leżał skórzany woreczek. Próbowала ubiec mój gest i złapać go, zanim go chwyciłem. Był nowy. Przypatrzyłem się mu i odkryłem, że nadal jest mokry przy dolnym szwie. Skórzane rzemyki były długie i mocne. Trzymając woreczek za te paski, poczułem w nim ciężar o zabójczej sile rażenia. Coś jak wrzucony do skarpetki kamień. To była broń krusząca czaszki, niebezpieczna jak średniowieczny cep. Otworzyłem sakiewkę, wsunąłem palce i spod szminki, małego grzebyka, papierosów i zapalek wydobyłem zająca. Był wyrzeźbiony z twardego szarego kamienia, tak jakby przycupnął z uszami położonymi po sobie – prosta figurka wielkości mniej więcej trzech czwartych piłki baseballowej.

– Trzeba posprawdzać na stacjach benzynowych, ale są też cuda współczesnej chemii, Ullie. Najmniejsza kropelka krwi na tym, a może i jakiś przyklepiony strzępek słodkiego pukielka z głowy mężusia, nawet

jeśli zostało to ślicznie zaprane w łazience Joanne. Policja potrafi dowieść, gdzie była ludzka krew, nawet gdyby nie umieli poznać jej grupy. Rozmontują rury i znajdą ślady w odpływie. Wyobrażam sobie, że torebek po Ivesie i Patty już się pozbyłaś. Musiały wyglądać o wiele gorzej.

– To bardzo stary zajacek – powiedziała. – Ludowa sztuka prymitywna z Islandii.

– Ullie, dobremu prawnikowi może uda się przekonać sąd, że to niepoczytalność. Przekupi ekspertów, aby go poparli. Okoliczności łagodzące to, oczywiście, wiek. I uroda. Może jesteś chora. Nie wiem. A może to tylko egoizm, tak wielki, że inni ludzie nie wydają ci się całkiem prawdziwi. Morderstwo też nie wydaje ci się czymś realnym, jak sądę.

Przechyliła głowę.

– Vance płakał i płakał. Tulił mnie i obiecał, że znajdzie mi najlepszego...

Urwała, przygryzając kciuk, i popatrzyła na mnie w badawczy sposób. Przyznała się. Nie wiedziałem, czy przez nieuwagę, czy tylko chciała, żeby na to wyglądało.

– Rozumiesz, Travis. Czasem trzeba myśleć, co będzie najlepsze dla wszystkich zainteresowanych. Tak bym chciała, żebyś odwiózł mnie do domu, do ojca. Na pewno się polubicie i to bardzo. Jest okropnie konserwatywny, wiesz. Będzie upierał się, żebym odczekała rok. Czekanie to nic strasznego, kiedy ma się pewność, prawda?

Zważyłem zajaca w dłoni, wrzuciłem go z powrotem do zabójczej sakwy i zaciągnąłem mocno rzemyki. Nie potrafię powiedzieć, na ile zdawała sobie sprawę, jak desperacką grę prowadzi. Usiadła, wyciągnęła rękę i zacisnęła ciepłe silne palce na moim nadgarstku. Zastanawiałem się, jak jej powiedzieć, że jednak narobię szumu, kiedy usłyszałem za sobą otwierające się pomалу drzwi. Zdałem sobie sprawę, że spędziłem z pogrążoną w rozpacz wdową sporo czasu i Dana mogła mieć problem z odganianiem od progu innych.

Zajrzała do środka.

– Joanne musi...

– Już skończyłem, kochanie – powiedziałem. – Powiedz Glennowi, żeby zadzwonił na policję. To niesamowite dziewczę zabiło wszystkich troje i popełniło tyle błędów, że nietrudno będzie...

W tym momencie ja sam popełniłem podstawowy błąd, odwracając wzrok od Ulki, ale kiedy poczułem, jak wyszarpuje mi z dłoni sakiewkę, nie traciłem czasu na oglądanie się, żeby zobaczyć, co ma zamiar z nią zrobić. Zanurkowałem w lewo, by uniknąć ciosu, lecz zając i tak przejechał mi po czaszce i wylądował na ramieniu, łamiąc obojczyk. Runąłem na podłogę. W uszach mi dzwoniło, zobaczyłem gwiazdy, absolutnie nie byłbym w stanie uniknąć drugiego, śmiertelnego ciosu, gdyby chciała zawracać sobie tym głowę. W jednej chwili zrobiło mi się ciemno przed oczami. Zdołałem tylko wydać zdławiony jęk, który miał być głośnym wołaniem, by ostrzec Danę. Kiedy odzyskałem jako tako wzrok, uniosłem się na kolana i zobaczyłem, że Dana pada ciężko, bezwładnie, twarzą do podłogi. Usłyszałem, jakby z oddali, okrzyk przerażenia. Zacząłem mozolnie czołgać się ku swojej dziewczynie.

# 15

Miałem regularne wstrząśnienie mózgu, raz po raz traciłem przytomność, świecili mi w oczy, żeby badać reakcje, i robili mi testy. Moje prawe ramię, unieruchomione bandażem przy piersi, wydawało się jak z ołowiu, a strzaskana kość przysparzała tyle bólu, że stale kłuli mnie zastrzykami. Byłem po nich otumaniony i stale pytałem o Danę. Panna Holtzer jest operowana. Operacja jeszcze trwa. Panna Holtzer leży w sali pooperacyjnej.

Potem nadszedł niedzielny poranek i powiedziano mi, że panna Holtzer jest w tak dobrym stanie, jak tylko można było oczekiwać. Co to niby znaczy? Kto ustala, jakie są oczekiwania?

Pojawił się zatroskany Glenn Barnweather. Wzdychał raz po raz i smętnie kręcił głową, roztaczając wokół siebie aromatyczny zapach burbona. Poinformował mnie, że Ulka nie żyje. Już to wiedziałem, ale nie mogłem sobie przypomnieć skąd.

– Pognała corvetta na północny wschód, jakby to był cholerny wyścig. Nadal nie mogą pojąć, jak udało jej się pokonać tyle zakrętów. Zamknęli drogę na prostym odcinku, za Sunflower. Jedno auto blokowało pas, a ona pędziła, jak oceniają, ponad dwieście na godzinę. Chciała ominąć tamten wóz, koła zabuksowały na żwirze, wpadła w poślizg, uderzyła w skałę, wybiło ją z pięćdziesiąt metrów w powietrze, spadła, przekoziółkowała i poleciała przez barierkę w przepaść, ponad trzysta metrów w dół, objając się po drodze, aż wreszcie samochód stanął w ogniu. Tak jak powiedziałaś policji, McGee, musiała oszaleć z rozpaczy. Prawda? Oszalała z rozpaczy.

– Zupełnie jej się pomieszało w głowie. Coś w nią wstąpiło. Na pewno słyszałeś o takich przypadkach.

– Tak. A Diana Hollis okazała się Daną Holtzer. O co tu chodzi, stary?

– Musimy chronić reputację dam, prawda?

– No pewnie. Dla mnie to twoja sprawa, ale Jo ma zamiar tu przyjść i zrobić dziką awanturę.

– Domyślam się, że rozmawiała z Diverami.

– I z Mary West, która nie chciała jej pisnąć ani słówka. Jo dostała białej gorączki.

– Glenn, nie sprawdźlibyś, jak się ma Dana? Bardzo byłbym ci wdzięczny.

– Wszystko dla starego kumpla, który otworzył przede mną serce – powiedział.

Wrócił pół godziny później.

– Kiepsko z nią, Trav – rzucił. – Sześć godzin wyciągali okruchy kości z czołowych płatów mózgu, o stąd. Usłyszałem, że ona pracuje dla Lysy Dean. Jo będzie zaintrygowana jak jasna cholera. W każdym razie mówią, że Dana z tego wyjdzie.

Wstał.

– Jutro będziesz mógł ją zobaczyć.

Miałem więcej oficjalnych wizyt. Opowiadałem swoją bajeczkę o histerycznym napadzie szału. Młoda żona zwariowała po tragicznej stracie.

Przyszła Joanne. Była wściekła. Po kwadransie już tylko urażona, niechętnie przyjmująca do wiadomości, że jest ważny powód, dla którego nigdy nie pozna wszystkich szczegółów, tak jak by tego chciała. Miała jednak w sobie dość przyzwoitości, żeby pomóc mi w kilku sprawach. Poprosiła hotel Hallmark o zatrzymanie dla mnie pokoju, załatwiła mi telefon i przyprowadziła neurochirurga, żebym mógł bezpośrednio wypytać o stan Dany. Powiedział, że powinna wziąć sobie dwa miesiące urlopu na rekonwalescencję, zanim wróci do pracy. Ja pomyślnie przeszedłem badania i w poniedziałek mnie wypiszą, chyba że pojawią się jakieś komplikacje. Uprzedził, żebym nie niepokoił się reakcjami Dany, kiedy następnego dnia dopuszczą mnie do niej na kilka minut. Będzie nadal oszołomiona i półprzytomna. Może mnie nawet nie pozna.

Kiedy wyszedł, zamierzałem zlokalizować Lysę Dean, ale sama do mnie zadzwoniła, co wywołało drżenie w głosie łączącej telefonistki. Lysa była w histerii, chciała wszystko wiedzieć, stale zapewniała, że pokryje wszystkie rachunki za szpital – ale miała tyle sprytu, że odgrywała to tak, jakbym był starym przyjacielem Dany towarzyszącym jej podczas krótkiego urlopu. Zapowiedziała mi, że ona i jej ludzie zatrzymają się tu po drodze, ale nie potrafiła dokładnie określić kiedy.

W poniedziałek ubrałem się, zapłaciłem i spędziłem pięć minut u Dany. Miała turban z bandażu, spuchniętą, błyszczącą, siną twarz. Oczy jak szparki. Zamglone spojrzenie. Spierzchnięte, obrzmiałe usta. Wydawało się, że mnie poznaje. Ścisnęła mi dłoń. Nie mogłem zrozumieć, co mamrocze. Pojawiła się pielęgniarka i powiedziała, że już czas. Musiałem wyjść. Zamieszkałem znów w hotelu Hallmark. We wtorek byłem u niej trzy razy. Rano, po południu, wieczorem. Każda wizyta trwała dziesięć minut. Poznawała mnie i mówiła trochę wyraźniej, ale nie zdawała sobie sprawy, co jej się stało, i miałem wrażenie, że nie śpieszy jej się z pytaniami na ten temat. Łatwo odpływała i zaczynała pochrapywać w środku jakiejś trudnej do zrozumienia kwestii, jednak wyraźnie sprawiało jej przyjemność, kiedy trzymałem ją za rękę.

• • •

O północy we wtorek obudził mnie telefon. Jakiś gość, tłumacząc się gęsto i przepraszając, powiedział, że Lysa Dean zatrzymała się w najlepszym hotelu w mieście i chce mnie natychmiast widzieć. Odpaliłem, żeby Lysa Dean dała mi święty spokój, i odłożyłem słuchawkę. Zadzwoiłem do recepcji i poleciłem, żeby nie łączyły mnie z nikim do dziewiątej rano. Unieruchomiony obojczyk sprawiał mi zbyt wiele kłopotu przy ubieraniu. Jeśli Lysie tak zależy, żeby się ze mną zobaczyć, wie, gdzie mnie szukać.

Kiedy już zasypiałem, jakieś czterdzieści minut później, rozległo się energiczne pukanie do drzwi. Przeklinając pod nosem, wstałem i poprawiając rękę na temblaku, w samych bokserkach podszedłem do drzwi. Do pokoju wparował jakiś krępy gość ubrany w czarny garnitur, a za nim hotelowy portier z bagażem, który z Daną nadaliśmy do Nowego Jorku i którego nie zdołaliśmy wycofać z samolotu.

– Nazywam się Herm Louker – oświadczył facet takim tonem, jakby każdy głupi musiał kojarzyć, kim jest. Widząc brak reakcji w moim wyrazie twarzy, dodał: – Z agencji.

To najwyraźniej miało tłumaczyć już wszystko.

Zanurzył dwa palce w kieszeni na piersi i wyciągnął z niej dwa nowiutkie banknoty dolarowe. Zaszleścił nimi głośno i podał portierowi.

Herm w ruchach przypominał pingwina. Nosił tupecik z kręconych włosów, a jego oczy przypominały dziurki wypalone cygarem w hotelowym ręczniku. Miał trochę złotej biżuterii. Usadowił się w fotelu, odciął koniuszek cygara złotym nożykiem i zapalił je złotą zapalniczką.

– Pan pozwoli, że będę całkiem szczery. Interes mojego klienta to mój interes. Pomijając to, że prywatnie bardzo lubię tę kobietę, bo to słodka porcelanowa laleczka, dbam o to, aby maksymalnie chronić jej interesy, podobnie jak własne i naszej branży.

Uniósł ostrzegawczo pulchną dłoń.

– Poza tym, na wstępie uprzedzam, że mam delikatny żołądek i nie chcę wiedzieć więcej, niż już wiem. Byłem z nią w Miami, Nowym Jorku i Chicago, a ona zawsze sprawdzała się jako świetny członek ekipy, w każdej sytuacji. Tę dziewczynę kochają w całej Ameryce. Jest wielką gwiazdą.

– No, to lepiej, żebym wiedział, ile pan wie.

– Tylko tyle, że doszło do, nazwijmy to... przecieku. Ludzie z branży rozrywkowej, panie McGee, lubią się zabawić i mają temperament, co czasami ktoś może wykorzystać. I teraz robi się nieprzyjemna sytuacja, bo jakiś typ chce sprawiać problemy. Nasza mała dama ma wrażenie, że zamiast działać jak trzeba, zboczył pan z kursu i straciliśmy niepotrzebnie czas. Podczas pobytu w Nowym Jorku dostaliśmy od pana pewne informacje na temat niejakiego Samuela Boga, poszukiwanego przez policję. Zdjęcia brak. Są tylko odciski palców. Rysopis pasowałby do jakichś dziewięćdziesięciu pięciu tysięcy Amerykanów, pewnie łącznie ze mną. Zapewniliśmy więc specjalną ochronę, uczulając ją na osoby o takim wyglądzie. W Nowym Jorku nic się nie stało. Podobnie w Chicago. Nie doszło do próby kontaktu. Jak rozumiem, zostały przekazane jakieś środki finansowe. Nasza gwiazda zaczyna się denerwować, panie McGee. Musimy podjąć teraz jakieś decyzje. Jeśli może pan to rozwiązać, młoda dama jest gotowa dotrzymać umowy. Nie chcę znać jej szczegółów, niech pan mi wierzy.

– Miałem pewien pomysł.

– No i?

– Chciałem brać w tym udział. Obecnie nie jestem jednak w najlepszej formie.

– To widzę.

– Wszystko zależy od wielu czynników. Czy możecie ustalić dokładny termin, kiedy ona przylatuje do Los Angeles, i obwieścić to



szumnie w lokalnych mediach?

– Ależ naturalnie. Stale to robimy.

– Człowiek, który ją prześladowa, to ktoś niezrównoważony. Sądzę, że poza jedną wyprawą do Vegas pozostaje stale w okolicy Los Angeles. Może pojawić się na lotnisku. Może zacząć się na nią w jej domu. Może żądać pieniędzy. Może chcieć ją zabić. Może nawet sam nie wiedzieć, czego najbardziej chce.

– Błagam. Już mnie skręca.

– Musi pan mieć świadomość zagrożenia, panie Louker. Ale nie chcemy narażać waszej gwiazdy. Czy moglibyście więc zorganizować odpowiednio przekonujący duplikat?

– Podobna figura, kolor włosów, ubranie, ciemne okulary, makijaż, szybkie przeszkolenie, jak ma pozdrawiać tłumy i chodzić? Oczywiście. Dziesięć minut przy telefonie i zorganizuję kogoś, nie ma problemu.

– Ale ona też musiałaby dostać maksymalną ochronę.

– Zadbamy o to.

– Teraz jest pewien delikatny problem, panie Louker. Jeśli policja zgarnie Bogena, będą mieli nazwisko, którym się posługuje, i adres w trzy minuty. Ktoś musi być gotów działać bardzo szybko. Pod tym adresem są pewne rzeczy, które należy zniszczyć, albo to koniec kariery waszej gwiazdy. Ktoś musi być sprytny i szybki.

– Chce mnie pan doprowadzić do kompletnego skrętu kiszek?

– Zdjęcia, Herm. Waszej gwiazdy w cyrku. Scena zbiorowa. Jeśli zostaną ujawnione, może nie uderzy jej to tak bardzo, póki bilety się sprzedają. Ale wystarczą dwa kiepskie filmy i będzie ugotowana.

Wstał i podreptał po pokoju, masując brzuch i lekko jęcząc. A brzucha miał mnóstwo. Zaczynał mu się pod brodą i opadał jak u pingwina, kończąc się gdzieś w okolicy kolan.

– Ale jak przejąć te zdjęcia? – zapytał, bardziej siebie niż mnie.

– Weźcie zdolnego prawnika i oskarżcie Bogena, że ukradł jej fotografie. Kaźcie je skonfiskować i dać jej do identyfikacji, a potem do zniszczenia. Przydzielcie mu sporo pieniędzy na łapówki, gdyby to było konieczne. Do licha, nieraz rozdawaliście już prezenty jak było trzeba, nie?

Przypatrzył mi się uważnie.

– Czy ja pana skądś nie znam? Może z filmu *W Rzymie z Manny?*

– Nie.

– Zaraz sobie przypomnę. Jakoś to wykombinujemy.

Wyjął zwitek banknotów i odliczył tysiąc dolarów.

– Powiedziała, że to na wydatki. Da pan radę podpisać rachunek?

Dałem. Życzył mi zdrowia i wyszedł, jakby zaraz musiał pędzić do łazienki.

• • •

Następnego ranka trudno było nawiązać kontakt z Daną. Kiedy wyszedłem z sali, gdzie leżała, zatrzymała mnie siostra oddziałowa. Miała dziwny wyraz twarzy, tak jakby przed chwilą odkryła, że jeśli zacznie trzepotać rękami, to polecą jak ptak.

– Odwiedziła ją Lysa Dean.

– Czy ona była wtedy przytomna?

– O, nie. Panna Dean była zszokowana. Bardzo się zmartwiła. Myślę, że to niezwykle wrażliwa, dobra osoba.

– Na pewno.

– Zostawiła to dla pana.

Idąc korytarzem, otworzyłem kopertę jedną ręką. Gruby niebieski papier, perfumowany. Pochyłe pismo niebieskim tuszem: *Muszę się z Tobą zobaczyć. Proszę. L.*

Pojechałem taksówką. W recepcji poinformowano mnie, że panny Dean nie ma w spisie gości. Podałem im swoje nazwisko. Ach. Tamtędy, proszę pana. Zajmowała zachodnie skrzydło na czwartym piętrze. W korytarzu czuwał facet o wyglądzie gliny. Popatrzył na temblak i powtórzył moje nazwisko, żeby się upewnić. Ostatnie drzwi po prawej, powiedział.

Siedziała przed toaletką. Miała na sobie biały szlafrok. Jakiś mężczyzna kogoś objeżdżał przez telefon. Chudy gość układał jej włosy. Dziewczyna w okularach czytała jej na głos scenariusz, nosowym monotonnym tonem. Lee wygoniła ich wszystkich jednym gestem.

– Mój drogi McGee – powiedziała. – Biedne ramię. O Boże, jak ta Dana wygląda. Serce mi się kraje. Naprawdę. Aż się popłakałam.

– To miło.

– Proszę cię, nie dąsaj się. Zrobimy, jak zasugerowałeś Hermowi. Przyślą tu tę dziewczynę samolotem. A ja ukryję się jak złodziejaszek, kochanie. Boże, bez Dany będzie bałagan jak cholera. Zaległości aż kipią. Jak ona mogła?

– Pewnie przez nieuwagę.

Przypatrzyła mi się, przechylając lekko głowę. Potem się roześmiała.

– No, nie! Naprawdę? Kiedy drażniłam się z tobą w Miami, nawet przez myśl mi nie przeszło, że możesz ją zdobyć. Musi być z ciebie niezły...

– Wyświadczyłabyś mi największą w świecie przysługę, gdybyś się przymknęła, proszę. Kilka osób nie żyje. Mnie boli ramię. Dana jest warta dziesięciu takich jak ty.

Cofnęła się i usiadła znów przed toaletką.

– Przynajmniej wiem, dlaczego trwoniliście czas na mój koszt. Zabawiliście się trochę, co?

– Owszem.

– Do licha z wami! Powiedz, co się naprawdę dzieje?

– Człowiek, który wyciągnął od ciebie sto dwadzieścia tysięcy dolarów, został zamordowany. Wyglądało na to, że zabił go M’Gruder i że prędzej czy później zostanie z tego powodu aresztowany. Podczas procesu wyszłaby na jaw tamta impreza. Chciałem to sprawdzić.

Sprytna ruda lisica patrzyła na mnie swoimi lisimi oczami. Natychmiast pojęła, jakie byłyby konsekwencje. Wodziła palcami po swojej szyi.

– Ale z tym mamy już spokój, tak?

– Tak. I przypuszczam, że ten drugi gość też ci nie zaszkodzi. Zastanawiam się nad tobą, Lee. Popatrz na listę uczestników tamtej zabawy. Dla Nancy Abbott nie ma już żadnej nadziei. Vance, Patty i Sonny Catton nie żyją. Fotograf został zamordowany. Biedna mała Whippy przepadła dla świata.

– No popatrz! I o co w tym wszystkim chodzi? Kara boska czy co? Nie bądź dupkiem, McGee. Czasem balownicy giną szybciej. Może nie dość twardo stąpają po ziemi? Gdyby taka mała imprezka mogła zabijać, mój słodki, południowa Kalifornia bardzo by się wyludniła. Trochę przeginasz, nie zauważyłeś? Ale do diabła, nie chcę się z tobą spierać. Minie wiele tygodni, zanim Dana będzie mogła wrócić na pokład. Tak mi mówili. Oczywiście dalej będę jej wypłacać pensję. Poza tym ma ubezpieczenie zdrowotne, do którego jest uprawniona. Scotty wszystko to dla niej sprawdzi i zajmie się tym. Myślę...

W drzwiach pojawił się Herm i skinął na nią. Przeprosiła na chwilę i podeszła do niego. Przez moment naradzali się cicho. Ruszył dalej, a ona zbliżyła się do mnie powoli.

– Mam spotkanie, którego nie ośmieliłabym się opuścić. Cholera... chciałam odwiedzić Danę, przynajmniej raz jeszcze. Herm przemyci mnie do miasta i później sprowadzi dublerkę. McGee, kochanie, mam tysiąc rzeczy do zrobienia...

– To ty kazałaś mi się zgłosić. Prawda?

Strzeliła palcami.

– Oczywiście. Kochany, dostałeś tysiąc na wydatki? Rozumiesz, nasza umowa była taka, że masz mnie wypłatać z tej historii. Miałam być czysta. Prawda? Wszystko albo nic, rozumiesz. Jeśli twój plan się powiedzie, przyjdź do mnie, to się dogadamy. Dobrze? I skarbie, kocham Danę jak siostrę, ale chorzy ludzie strasznie mnie dołują. Mógłbyś znaleźć dla niej jakieś miłe fajne ranczo albo coś w tym rodzaju i kobietę do opieki? Poproszę Victora Scotta, żeby załatwił z tobą sprawy finansowe. Nie masz nic przeciwko temu, prawda? Przecież na pewno podobacie się sobie w jakiś sposób. A ja oficjalnie nie mam żadnego związku z tą sprawą, bo, dzięki Bogu, nie ma nawet śladu, że coś mnie łączyło z Vance'em.

Poklepała mnie po twarzy.

– Bądź taki kochany i zajmij się naszą dziewczynką. Pozdrów ją serdecznie ode mnie i przywieź mi ją, kiedy będzie już naprawdę zdrowa.

• • •

W czwartek po południu stan Dany niesamowicie się poprawił. Opuchlizna znikła, choć pozostały sińce, które powoli żółkły. Pomalowała usta. Siedziała oparta o poduszki. Uśmiechnęła się nieśmiało na powitanie.

Pozwolili mi spędzić z nią godzinę. Chciała wiedzieć, co się właściwie stało. Wiedziałem, że to może ją zmęczyć, ale musiałem przekazać jej jakieś informacje, zanim przedstawiciele prawa przyjdą do niej i zaczną wypytywać. Powiedziałem jej wszystko, żeby była na bieżąco, łącznie z planowaną pułapką na Bogena.

Kiedy wróciłem do hotelu, o czwartej po południu dostałem wiadomość, że mam połączyć się z centralą w Los Angeles. Kiedy to zrobiłem, odezwała się Lysa, cała w skowronkach.

– McGee, kochanie? Zdziałało, ty cwaniaku, spryciarzu jeden! Nasi ludzie go złapali i zabrali mu ohydny pistolecik, z którego zamierzał mnie zastrzelić. To znaczy zastrzelić dublerkę. Potem poszli do jego nory i zabrali wszystkie fotografie, a następnie oddali go z jego paskudnym pistolecikiem stróżom prawa. Mój Boże, nawet nie wiedziałam, pod jaką straszną presją żyłam. Co za ulga.

– Czy nie byłoby miło, gdybyś spytała, jak się ma Dana?

– Daj mi chwilę, na Boga! Dobrze. Jak się czuje?

– Dużo, dużo lepiej.

– Świetnie. Cieszę się.

– Ty i ja mamy trochę rachunków do rozliczenia.

– Wiem. Cholera, dlaczego jesteś taki zgryźliwy? Daj mi szansę. Co dziś jest? Czwartek. Niech zajrzę do kalendarza.

Poczekaję pięć minut, nim wróciła do telefonu.

– Kochanie, jestem w domu w poniedziałek po południu. Przyleć i przyjdź do mnie, będziesz mógł ze mną o tym porozmawiać.

– Porozmawiać?

– Kochany, nie masz przecież żadnej podpisanej umowy, prawda? A w panice obiecuje się czasem coś zbyt pochopnie. Technicznie nie brałeś udziału w ostatecznej rozgrywce, chyba nie zaprzeczysz?

– W poniedziałek po południu – powiedziałem i rozłączyłem się.

Nie wiedziałem, czemu mam do niej żal. Coś było nie tak, choć nie wiedziałem jeszcze, co.

W niedzielę po południu odkryłem, co podpowiadała mi intuicja. Razem z pielęgniarką pomogliśmy Danie usiąść na wózku i zawiozłem ją do dużej słonecznej sali. Podjechałem w zaciszny kąt.

– Planuję tak – zacząłem, trzymając ją za rękę. – Za jakieś dziesięć dni cię wypiszą. Potem jeszcze jakiś tydzień, zanim będziesz mogła podróżować, skarbie. Wtedy zabieram cię na wschód, na pokład, i po paru dniach wypłyniemy w rejs. Co o tym myślisz?

Delikatnie, ale zdecydowanie cofnęła swoją dłoń. Odwróciła wzrok.

– Travis, byłeś dla mnie bardzo dobry.

– Co się stało?

– Wszystko tak się... pokomplikowało. Zupełne szaleństwo. To nie byłam ja. Naprawdę. Nie wiem, jak ci to powiedzieć. Ja nie jestem taka. Mam męża. Nawet nie rozumiem, jak mogłam być tak... lekkomyślna. Pewnie to dlatego, że dla niej pracowałam... może. Nie wrócę do niej.

Wzięłem ją palcami pod brodę, uniosłem jej głowę i zmusiłem, żeby na mnie spojrzała. Patrzyłem na nią, aż się zarumieniła i odwróciła się. Mówiła poważnie. Nowa koncepcja. Okazuje się, że jedno uderzenie może wybić z głowy miłość raz na zawsze. Kiedy ich oczy stają się tak obojętne, nie ma sposobu, żeby zawrócić czas. Wiedziałem już, co podpowiadała mi intuicja.

– Nie musisz się mną opiekować – powiedziała. – Przyzwyczaiałam się sama troszczyć o siebie. Poradzę sobie, naprawdę. Chcę ci podziękować za wszystko. Przykro mi, że... wprowadziłam cię w błąd, przepraszam za złudne nadzieje i...

– Ale nadal potrafisz zdobyć się na szczerą, prawdę?

– Oczywiście.

– Jak się czujesz z tym, że tu do ciebie przychodzę?

Zawahała się, a potem uniosła nieco brodę.

– B... boję się twoich odwiedzin, Travis. Strasznie mi przykro. To tylko przypomina mi o czymś, o czym wolałabym zapomnieć.

I nagle pozostał nam już tylko rytuał pożegnania, który polegał – po uzgodnieniu, co zrobić z jej rzeczami i mojej obietnicy, że przyślę tu pielęgniarkę, aby odwiozła ją z powrotem do sali – na uścisku dłoni. McGee, wielki kochanek. A tę jedną chciałem przy sobie zatrzymać. Nie, nie tę. Tej właściwie nie znałem. Chciałem zatrzymać tamtą dziewczynę, którą Ullie zwała z nóg, ruszając naprzeciw własnej śmierci. Ta Dana chciała zapomnieć tamtą Danę. I na pewno niedługo zapomni. Uściśnij więc dłoń ukochanej, powiedz „żegnaj” i staraj się nie dostrzec w jej twarzy tej wyraźnej ulgi, którą stara się ukryć.

• • •

W poniedziałek po południu taksówka podwiozła mnie pod żelazną bramę posiadłości Lysy Dean. Koreańczyk wpuścił mnie na teren posesji, pokojówka do domu, a potem znikła. Panowała tu taka sama cisza jak wtedy, kiedy byłem tu z Daną. Ogromne olejne portrety Lysy Dean patrzyły na mnie czule w poświacie promieni słonecznych sączących się zza kotar.

Przechadzając się, dotknąłem dwóch klawiszy złoto-białego fortepianu. Do pokoju weszła pośpiesznie Lysa. Była w czarnych dżersejowych spodniach i białej wyłożonej na wierzch jedwabnej

bluzce. Efektowny zestaw pasujący do złotorudych włosów i wnętrza, gdzie dominowały biel, czerń i złoto. Na stopach miała puchate białe kaptcie. Zbliżyła się do mnie z dużą białą kopertą w ręce, wspięła na palce, żeby mnie pocałować z udaną słodką nieśmiałością witającego się dziecka, i poprowadziła za zdrową rękę do ogromnej kanapy w zacienionej alkwie.

– Jak się czuje nasza droga Dana? – zapytała.

– Cudownie jej się polepszyło.

– Kiedy może wrócić do pracy, kochanie? Naprawdę jest mi potrzebna, rozpaczliwie.

– Przez jakiś czas musi odpoczywać.

– McGee, kochany, użyj swoich wpływów. Powiedz jej, że Lysa Dean potrzebuje jej baaardzo, baaardzo.

– Powiem jej przy najbliższej okazji.

– Jesteś wielki i słodki. A teraz, co ze zdjęciami, które ci dałam w Miami?

– Zniszczyłem odbitki, które zrobiłem, te z wymazaną twoją twarzą. Kiedy wrócę do siebie, zniszczę i tamte... chyba że chcesz je dostać z powrotem.

– Boże, nie chcę ich więcej widzieć. Kochanie, mówią, że ten cały Bogen ma nie po kolei w głowie. Gdyby strzelił do mnie ze swojego zardzewiałego pistoleciku, rozerwałoby mu dłoń. Zamierzają go zamknąć.

– No, to teraz w twoim życiu wszystko wróciło do normy, panno Dean. Wyjdiesz za swojego ulubionego przyjaciela. Gratulacje. Czy to moje pieniądze tak kurczowo trzymasz?

Podala mi kopertę. Pogrzebałem w niej, była lekka, doliczyłem się dziesięciu tysięcy. Równiutko. Zanim zdołałem cokolwiek powiedzieć, uwiesiła się na mnie i zaczęła się śmiać i przekomarzać.

– Kochanie, bądź realistą, mimo wszystko! Dałam ci przyjemne sumki na podróżę i wysłałam w drogę z całkiem ładną, fascynującą dziewczyną. Miałeś sporo emocji i rozkoszy, wszystko na mój koszt. Ja przecież nie jestem cała z pieniędzy, skarbie. Podatki są kosmiczne. Naprawdę, jak się zastanowić, to sędzę, że bardzo dobrze na tym zarobiłeś, a niektórzy z moich doradców uważają, że upadłam na głowę, dając ci aż tyle.

Mówiąc to, wyjęła banknoty z mojej dłoni i wsunęła mi je do wewnętrznej kieszeni marynarki, po czym zaczęła się do mnie dość

skutecznie dobierać, obsypując mnie gradem szybkich pocałunków, przeżąc się, prezentując krągłości i wdzięk gwiazdy. Jej małe dłonie wykazywały wielką pomysłowość, oddech aż parzył od rosnącego podniecenia, rozgrzewała się, siedząc okrakiem na moich udach. To był majstersztyk i widać było, że na tej robocie zna się najlepiej. Opierała się na wieloletnich doświadczeniach ze zwierzęcą stroną męskiej natury i najwyraźniej miała pewność, że dobry szybki seks wprawia faceta w zbyt wielką euforię, by przykładał wagę do tego, czy go wykiwano. Oszołomiony nie będzie protestował. Zaczynała wyswobadzać się z tych swoich miękkich, dzianinowych spodni, a jednocześnie lekko napierała na mnie, żeby powalić mnie na plecy na wielkiej kanapie, pod portretem pani domu.

Wcisnąłem pomiędzy nas zdrową rękę, kładąc płasko dłoń na jej ramieniu, a potem nagle ją wyprostowałem. Lysa poleciała do tyłu i wylądowała niezdarnie na gładkiej twardej posadzce. Poślizgnęła się przy tym i pacnęła na puchaty biały dywanik, na którym pojechała kawałek jak na sankach, by zatrzymać się pod jeszcze jednym portretem tak bardzo uduchowionym, że wydawała się na nim mieć nad głową aureolę.

Skoczyła na równe nogi, włosy opadły jej na jedno oko. Wciągała szybko portki na biały tyłek.

– Co, do cholery! – wrzasnęła. – Jezus Maria, McGee, mogłam sobie zgruchotać kość ogonową!

Wstałem, poprawiając temblak i ruszyłem do drzwi.

– Dobrze, dziecinko – powiedziałem. – Nie będę się targował. Nie musisz mi tego osładzać. Znaczyłoby to dla ciebie tyle co nic, czyli tylko odrobinę więcej niż dla mnie.

Wyszedłem wśród wrzasków, poganiany gradem ciskanych we mnie słoni, których miała niezłą kolekcję. Rzuciła szybko, ale niezbyt celnie.

Moje kroki skrzypiały na brązowym żwirze najlepszej jakości, minąłem spryskiwacz wyrzucający krople wody na grube zielone liście. Koreańczyk wypuścił mnie przez bramę. Czułem lekki plik banknotów na piersi. Zatrzymałem się. Zdjąłem temblak i wepchnąłem go do kieszeni. Kołysząca się ręka bolała, zatknąłem więc kciuk za pasek.

Szedłem i myślałem: co to za dziwny sposób, żeby stracić wspaniałą kobietę. Widziałem starych mężczyzn prowadzących samochody, wszystkie bardzo do siebie podobne, z nazwami Furia, Burza czy



Strzała. Przez jakieś ogrodzenie dostrzegłem kwintet dziewczynek przebiegających z piskiem w tę i z powrotem pod srebrzystym deszczem zraszacza. Uśmiechnął się do mnie jakiś pies.

Cóż za idiotyczny sposób, żeby stracić kobietę. W tej okolicy nie lubią pieszych. Zatrzymali się przy mnie uprzejmi gliniarze, grzecznie mnie wy pytali i podwieźli ochoczo do najbliższego postoju taksówek. Wsiadłem. Jedynym miejscem, do którego mogłem pojechać, był mój pokój hotelowy. Nie chciałem się tam znaleźć, ale nie umiałem wymyślić nic innego.

Kiedy zatrzymaliśmy się przy światłach, zobaczyłem sklep dla iluzjonistów. Zapytałem kierowcę, czy sądzi, że można kupić tam eliksir miłości. Powiedział, że jak szukam czegoś konkretnego, wystarczy jedno słowo. Wróciłem do hotelu, a godzinę i dziesięć minut później siedziałem już w samolocie do Miami.